



KRYSTIAN STOLARZ

Przepojony autentyzmem kryminal
stworzony przez policjanta
wydziału kryminalnego,
znanego jako @policjant_czytaipisze

Dla
ciebie
nawet

Prószyński i S-ka

KRYSTIAN
STOLARZ

**DLA
CIEBIE
NAWET**

Prószyński i S-ka

Copyright © Krystian Stolarz, 2024

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
fot. archiwum M. Banachowicz

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8352-710-9

Warszawa 2024

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

[Przedmowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Przedmowa

Książka ta jest spełnieniem jednego z moich największych marzeń. Od ośmiu lat jestem policjantem i choć w perspektywie całej służby to doświadczenie może się wydawać nieduże, i tak czuję się już zawodowo wyeksploatowany. Nie zliczę trupów, które widziałem, bójek, które stoczyłem – czasami nawet o własne życie – wypadków drogowych, jakie analizowałem, brutalnych interwencji i świadectw wynaturzeń ludzkich, jakie obserwowałem.

W moim zawodzie ważne jest, aby znaleźć sposób na zrzucenie z siebie stresu i trudów dnia. Właśnie dlatego trzymacie w dłoniach moją debiutancką powieść lub słuchacie jej w formie audiobooka. Szybko się okazało, że pisanie jest moim sposobem na oczyszczenie się. Chciałbym też zaznaczyć, że choć nie służą w niej tylko superbohaterowie – o czym także jest moja powieść – policja została stworzona głównie po to, by pomagać. Dlatego postanowiłem, że część pieniędzy ze sprzedaży tej książki trafi do Fundacji dla Dzieci z Chorobami Nowotworowymi „Krwinka”.

To dopiero początek czegoś dobrego.

Prolog

Kto, do kurwy, wypił moje piwo?!

Groza zawarta w tych kilku słowach przebijała się przez zamknięte drzwi pokoju i wypełniała każdy zakamarek dziecięcego świata. Nawet ulubiony kocyk z Kapitanem Ameryką i ciepłe ciało matki nie mogły uchronić chłopca przed tym, co nadchodziło. Zadrżał, a jego anioł stróż natychmiast wzmacnił uścisk.

– Nie bój się, synku.

Pocałowała go w czoło i jej usta po raz kolejny rozpały w nim nadzieję. Może dzisiaj nie przyjdzie? Może w końcu znajdzie to przekłete piwsko? Albo jeszcze lepiej: pójdzie po nie do sklepu, gdzie spotka kolegów i zostanie tam do rana, noc spędzi na ławce w parku lub po prostu w krzakach... Zamknął oczy i jeszcze mocniej ścisnął dłoń matki.

Po chwili usłyszał trzask starej podłogowej deski. Tej deski. Poczł, jak lodowa kula rośnie w jego gardle. Kiedyś próbował ją naprawić, ale tylko pogorszył sprawę. W końcu skąd kilkulatek miał wiedzieć, jak naprawić podłogę? Gdy tylko odważył się poprosić o pomoc, natychmiast usłyszał, że on nie będzie tracił sił i czasu na takie pierdoły, a argumenty wzmacnił siarczystym ciosem w twarz. Widocznie piwo i mecze piłki nożnej miały pierwszeństwo.

„Masz własny alarm, mój agencie” – powiedziała z uśmiechem. Teraz alarm też go cieszył, choć pomyślał, że za chwilę bardziej przydatny byłby prywatny ochroniarz. Zastanawiał się, ile taki pan może kosztować, i szybko podsumował, że każda cena będzie dla niego za wysoka. Kiedy siedział na łóżku, nie mógł dojrzeć swojego mocno już zniszczonego biurka i wiszącego nad nim plakatu ze Spidermanem. Szkoda. Wydawało mu się, że widok człowieka pajaka dodałby mu otuchy, a może nawet trochę

odwagi. Niestety, w progu stanął ojciec, który bardziej przypominał złoczyńcę niż jednego z superbohaterów Marvela.

– Ostatni raz pytam: gdzie, do kurwy, jest moje piwo?!

Jasnopomarańczowe plamy na jego białym podkoszulku zdradzały, że prawdopodobnie sam wypił cały zapas alkoholu, po czym większość wyrzygał.

– Jarek, nie brałam twojego piwa. Skoczę do sklepu i ci kupię. – Chłopiec słyszał załamany głos matki, która próbowała załagodzić sytuację.

– Nigdzie, kurwo, nie idziesz! Co, już ci się ruchać chce i szukasz wymówki?!

Zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Jarek, proszę cię...

– Zamknij mordę!

Teraz spojrzał na syna.

– A może ty, gnoju, wypiełeś moje pierdolone piwo?! Tak cię ciągnie do dorosłego życia, że musiałeś własnemu ojcu zajebać browara?!

Zacisnął zęby i złapał chłopca za prawą rękę. Szarpnął gwałtownie i wyrwał go z objęć matki. Dziecko wydało z siebie ledwo słyszalny jęk, po czym celowo upadło i położyło się plecami na podłodze. Dziesiątki zebranych razów nauczyły chłopca jednego: należało chronić tyłek. Gdy ojciec bił go po twarzy lub żebrach, nie używał całej siły. Pewnie bał się, że ktoś ze szkoły lub znajomych zauważy sińce. Z tyłkiem było inaczej: tam bił najmocniej, jak potrafił. Tego dnia, gdy przewrócił się na rowerze i zbił butelkę bimbrowa od Więckiewicza, dostał w tyłek tak mocno, że nie mógł usiąść na krześle przez dwa dni. Na szczęście to był piątek i z nikim się nie widział. Cały weekend przeleżał w łóżku, a w poniedziałek mógł już siadać. Nadal czuł ból, ale potrafił go ukryć za ćwiczoną od wielu lat sztucznym uśmiechem.

– Myślisz, że jesteś mądrzejszy ode mnie?!

Wyciągnął ze spodni skórzany pasek.

– Jarek, błagam!

– Odsuń się, kurwo! – ryknął. Z jego ust wyleciały drobinki śliny.

Nie odsunęła się. Pierwszy cios zwałił ją z nóg. Kolejne nie powinny już paść, ale on nigdy nie zatrzymywał się na jednym. Chłopiec patrzył, jak jego anioł stróż otrzymuje kolejne kopniaki. Czemu nie krzyczała? Nie czuła bólu czy nie chciała go denerwować jeszcze bardziej? Dlaczego on

nie potrafił jej pomóc? Przecież chciał to wszystko przerwać, wyrzucić go za drzwi i jak najszybciej opatrzeć mamusię! Tymczasem niewidzialna siła wbijała go w podłogę i nie pozwalała mu oderwać się od niej nawet na milimetr.

Mijały kolejne dni, miesiące, a nawet lata – wszystkie pamiętał jak przez mgłę. Ojca zabrało z domu czterech panów, którzy podawali się za policjantów, ale nie mieli na sobie mundurów. Wprawdzie jeden z nich, ten najgrubszy, pokazał mu odznakę, a nawet broń, ale on nie był głupi. Kiedyś widział w internecie, że taką blaszkę i broń można łatwo kupić. Dopiero ładna pani policjant, która była w mundurze, wytłumaczyła mu, że w policji pracują też nieumundurowani policjanci, którzy łapią poważniejszych przestępców. „Mój tata jest takim przestępcą?” – zapytał, patrząc jej prosto w oczy. Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę, po czym sięgnęła odruchowo do kieszeni po telefon. Nie wykonała żadnego połączenia, wyglądało, jakby czegoś szukała, ale w końcu schowała urządzenie z powrotem do kieszeni. Chłopak nie zdawał sobie sprawy, że jego ojciec stał się mordercą, a ona nie chciała być tą osobą, która mu to uświadomi.

Pogrzebu też dokładnie nie pamiętał. Skupił się tylko na tym, że nikt nie pozwolił mu zobaczyć się po raz ostatni z mamusią. Mamusia miała odejść do nieba, bo podobno wezwał ją Pan Bóg, a on nie mógł się z nią pożegnać. „Przypomnij sobie sytuację, w której twoja mama była bardzo szczęśliwa i uśmiechnięta, i taką ją właśnie zapamiętaj” – doradził mu starszy mężczyzna, którego nie znał. Później zastanawiał się, dlaczego Pan Bóg mu to zrobił. Przecież on potrzebował jej bardziej. Był za mały, aby poradzić sobie samemu. Nie miał ani pracy, ani pieniędzy. Bał się, że nie będzie go stać na jedzenie i opłacanie rachunków.

Lata spędzone w domu dziecka również pamiętał jak przez mgłę, był wyprany z emocji. W gorszych chwilach kulił się w kącie łóżka i przykrywał kocykiem z Kapitanem Ameryką. Zamykał oczy i próbował przypomnieć sobie jej uśmiech. Za każdym razem widział scenę z festynu, który odbył się w Bytomcu. Motywem przewodnim imprezy było średniowiecze. Nie wiedział, co oznacza to słowo, ale nie musiał wiedzieć. Wystarczyło, że skupiał się na kobietach w długich kolorowych sukniach i mężczyznach w zbrojach. Jeden z tych panów dał mu do potrzymania stalowy miecz. Początkowo miał problem z jego utrzymaniem – myślał, że jest jeszcze za słaby – ale kiedy otrzymał kilka technicznych wskazówek,

w końcu udało mu się unieść broń. Nie trwało to długo, ale wystarczająco, aby mama mogła zrobić zdjęcie. „Widzisz, synku? Wszystko jest możliwe. Czasami po prostu musimy dać od siebie trochę więcej niż inni”. Pogłaskała go po głowie. A kiedy zapytał, czy może zostać rycerzem, zapewniła: „Synku, możesz zostać, kim tylko zechcesz. To twoje życie i zaplanuj je tak, abyś zawsze był szczęśliwy. To ty kontrolujesz swój świat. Zrób wszystko, aby tak zostało”.

Rozdział 1

Ze snu wyrwała go wibracja telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i nacisnął zieloną słuchawkę.

– Panu dyżurnemu się trochę nie pojechało? – szepnął, by nikogo nie obudzić.

– Marek, mamy alarm, dawaj do jednostki.

– Kurwa. – Usiadł na krawędzi łóżka i przetarł oczy. – Jeśli to znowu jakieś ćwiczenia... – Nie zdążył dokończyć, bo dyżurny rozłączył się bez słowa. – Kurwa! – powtórzył, tym razem nieco głośniej.

– Wszystko w porządku? – zapytała Amelia, odwracając się w jego stronę.

– Tak, muszę jechać do roboty.

– Uważaj na siebie.

Położyła mu dłoń na plecach, jakby chciała przekazać mu trochę swojej energii. Zamknęła oczy i wróciła do krainy snów. Lubiła do niej wracać.

Przetarł ciężkie niczym ołów powieki. Nie pomagało też klepanie się po twarzy, zagryzanie policzka czy nawet opuszczona szyba. Takie manewry nie zastąpią potrzebnej mu do życia kofeiny, ale nie chciał budzić domowników. Stwierdził, że kawę wypije na komendzie.

Po jakichś dwudziestu minutach wjechał na policyjny parking. Od razu zauważył, że i parking, i budynek komendy tętnią życiem – rzecz niespotykana o drugiej w nocy. Pomyślał, że albo komenda zorganizowała ćwiczenia z przytupem, albo...

Gdy mijali kolejnych prewencjuszy¹, nie patrzył im w oczy. Standardowa procedura – młodzi posterunkowi lub sierżanci z góry zakładali, że kryminalny będzie szybciej wiedział, co mogło się wydarzyć. Marek nie miał ochoty tłumaczyć, że jest inaczej. Teraz liczył się tylko łyk gorącej kawy. No, dwa łyki, jeśli wzięć pod uwagę, że poprzedniego dnia pracował piętnaście godzin.

Udało mu się przejść do windy i błyskawicznie uciec na drugie piętro. Wszedł do wydziału, zastanawiając się, czy siekiera z trzech czubatych łyżeczek poradzi sobie z jego brakiem entuzjazmu.

– Kurwa, wreszcie – powiedział Paweł Kruśko, wkładając do kabury waltera. Wyglądał inaczej niż zwykle, znacznie gorzej. – Zbrój się² i zapierdalamy na glinianki.

– Gdzie reszta?

– Już w terenie. Mam jeździć z tobą. Dawaj.

Czyli jednak nie ćwiczenia – skwitował w myślach Marek.

Poszedł do swojego pokoju po broń i ŚPB³. Kątem oka spojrzął na czajnik elektryczny i ciężko westchnął.

– Gotowy. Masz auto?

Paweł wymownie machnął kontrolką⁴ od pojazdu i skierował się do wyjścia.

– Ty, a jakaś odprawa czy coś?

– Nie ma czasu, połowa komendy już w terenie. Coś tam wiem, a resztę dyspozycji wyda nam Bandura.

– Czemu Bandura?

– Kurwa, Bary! Nie pierdol tyle, tylko zapierdalaj do auta!

Kruśko nie patrzył na partnera. Ruszał się chaotycznie, dynamicznie i nie do końca z sensem. Cokolwiek się wydarzyło, solidnie nim wstrząsnęło. Auto prowadził też zbyt szybko i niebezpiecznie. Wprawdzie miał włączone bulaje, ale Marek nie chciał ginąć za sprawę, o której nawet nie miał pojęcia.

– Wita... nie żyje... – Ostatnie słowo Kruśko wymówił z trudem.

– Kurwa! Jak?!

– Nie znam szczegółów, ale ktoś zadzwonił na straż, że przy gliniankach pali się samochód. Po zgaszeniu okazało się, że to auto Wity.

Niegdyś glinianki były miejscem schadzek młodzieży: imprezy, alkohol, dragi i seks, ale od momentu, gdy miasto wykopało własny staw i zamontowało wokół niego ławeczki, altany i prąd, wszyscy przenieśli się właśnie tam. Nie dlatego, że nowa miejscówka była lepsza. Po prostu znajdowała się znacznie bliżej. Tym samym zniknął problem siedmiu kilometrów do przebycia. Miasto miało w tym swój cel. Po pierwsze, na gliniankach nie było żadnego nadzoru. Dzikie imprezy często zmieniały się w krwawe sparingi i wielu imprezowiczów kończyło z połamanymi

zębrami czy wybitymi zębami. Po drugie, rocznie kilku z nich topiło się w resztkach wody i znacznej ilości błota. Za każdym razem takie utopienie kończyło się śledztwem z uwagi na podejrzenie ingerencji osób trzecich. W końcu jak można utopić się w wodzie po kolana? Ostatecznie śledztwa umarzano, a winę zwalano na zbyt duże ilości narkotyków w organizmie denata.

– A sam Wita? – zapytał Marek zszokowany.

– Siedział w aucie. – Paweł zacisnął palce na kierownicy.

– Jaja sobie robisz?!

Miał wrażenie, że to wszystko to jego kolejny dziwaczny sen. Wprawdzie poszedł z problemem bezsenności do policyjnego psychiatry, który nawet przepisał mu jakieś leki na uspokojenie, ale nie zrealizował recepty. Od dwóch miesięcy musiał mocno oszczędzać. Miał ważniejsze rzeczy na głowie, na spokojny sen mógł jeszcze poczekać.

Do glinianek dojechali w niecałe dziesięć minut, już w milczeniu. Marek rozumiał zachowanie kolegi. W końcu Wita był kumplem Pawła, jeśli nie przyjacielem. Spotykali się na imprezach, dojeżdżali razem do pracy, a nawet urlopy spędzali wspólnie ze swoimi rodzinami. Kryminalni często nazywali ich relację „gej party”. Teraz było mu głupio z tego powodu, chociaż zarówno Paweł, jak i Filip nie mieli problemu z takimi żartami. „Jestem hetero, w żyłach czysty testosteron!” – wykrzykiwał często Paweł, machając przy tym rękoma, jakby odganiał stado komarów. Tłumaczył się, że to tekst piosenki jakiegoś polskiego rapera. Wspominał jego pseudonim, ale Marek go nie zapamiętał. W głowie utkwiło mu tylko, że to musiała być jakaś część ludzkiego ciała. Stopa, Pięta, a może Kciuk. Nie słuchał takiej muzyki i nie zamierzał. „Twoja nie narzeka” – dodawał z nonszalancją Wita. Gruby kaliber docinki, ale on i tylko on mógł sobie na to pozwolić. W taki sposób zawsze kończył homoseksualne żarty, bo nikt nie chciał przesadzić, ale podczas jego nieobecności ta granica była brutalnie masakrowana. Wita nigdy się o tym nie dowiedział. Chyba.

Szybko znaleźli miejsce zdarzenia. Trudno było nie zauważyć kilku zastępów straży pożarnej, licznych radiowozów oraz skorupy jeszcze niedawno niezłego sportowego auta. Marek za żadne skarby nie poznałby, że to samochód przełożonego. Patrolowcy na miejscu pewnie znaleźli numer VIN, a sprawdzenie go w bazie dało im informacje o właścicielu. No tak, ale gdzie Wita...

– Kurwa mać!

Odwrócił się w stronę Pawła. Musiał zrobić wszystko, aby jego aktualny partner nie spojrzał na spalone zwłoki przyjaciela. Może i nie była to dla nich nowość, ale śmierć bliskiej osoby miała zdecydowanie większy kaliber.

– Paweł, jedziemy w teren. Nic tu po nas. Naszych jest od najebania.

Złapał go za ramię i pociągnął za sobą. Paweł ani drgnął.

– Chcę zobaczyć – powiedział jakby do siebie.

– Nie chcesz, kolego.

Kruśko spojrzał na Marka, jakby widział go po raz pierwszy. W ogóle cała ta sytuacja ociekała grozą, mrokiem i nutą abstrakcji. Widział, jak kolega porusza ustami, ale nie docierały do niego żadne słowa. Wbił wzrok w techników. Dzieliło ich jakieś czterdzieści metrów, ale i tak zauważył, że jeden zrobił się kompletnie błądy. To ten nowy, na przyuczeniu. Wyglądał, jakby za chwilę chciał się pochwalić przed wszystkimi, co zjadł na kolację.

Paweł postanowił ruszyć w ich stronę. Znowu poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, ale nie zwolnił kroku. Przeszedł pod policyjną taśmą i stanął kilka metrów od miejsca oględzin. Nie zamierzał utrudniać pracy kolegom, chciał jedynie potwierdzenia.

Przez zapach spalonego plastiku i gumy brutalnie przebijał się odór śmierci. Znał go doskonale. Wielokrotnie wgryzał się w jego ubranie i znikał dopiero w pralce przy dziewięćdziesięciu stopniach prania. Tym razem to nie była woń trzytygodniowego, wysuszonego jak śliwka trupa, lecz ostrawy, lekko kwaśny smród spalonego mięsa. Spojrzał w kierunku pojazdu i poczuł skurcz żołądka. Dwa jajka i łyżka majonezu, które zjadł na kolację, zgodnie przygotowały się do opuszczenia układu pokarmowego w sposób iście widowiskowy. Przełknął ślinę i jęknął cicho. To jedyny dźwięk, jaki był w stanie z siebie wydobyć. Czy to coś, ten skrawek zwęglonego mięsa, to pozostałości po jego najlepszym przyjacielu?

Usłyszał krzyk. Cichy i oddalony. Odwrócił głowę. Świat wokół niego nadal poruszał się swoim tempem. Spojrzał na kolegów, ale żaden nie zareagował. Krzyk narastał, zamieniał się w rozpaczliwy wrzask, wdzierał się w jego uszy i wypełniał głowę. Znów się rozejrzał. Nic. Teraz ten sam krzyk sprawiał mu fizyczny ból. Złapał się za głowę. Jakim cudem tego nie słyszą?!

Zamarł, gdy zrozumiał, że to jedynie wytwór jego umysłu. Przecież spalony trup nie ma prawa wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Ej! – zawołał po raz trzeci Bandura.

Paweł potrząsnął głową. Spojrzał na komisarza i zauważył stojącego przy nim Marka.

– Potrzebuję was w terenie. Technicy i prewencjusze tu ogarną.

– Co?

Cisza była ciężka i nieprzyjemna, nie oszczędzała ich barków. Jedno słowo mieściło w sobie tonę smutku i rozpacz.

– Skąd w ogóle wiemy, że to Wita? Przecież tam leży pierdolony kawał spalonego mięsa! – Odruchowo wskazał głową w kierunku pojazdu. – To może być każdy. – Kruśko nie patrzył rozmówcom w oczy.

– Od kiedy Wita pożyczał komuś auto? – zapytał Bandura.

– Może, kurwa, właśnie od dzisiaj?! – warknął Paweł.

– Patrol pojechał do jego żony. Wita przed dwudziestą drugą wyszedł z domu, mówiąc, że coś się zesrało i musi jechać na komendę.

– To może pojechał na dziwki?!

– Nieważne. Nie odbiera telefonu i nie możemy go znaleźć. Do momentu nadejścia wyników przyjmujemy, że to ciało Wity. Chwilowo ja przejmuję dowodzenie.

Bandura nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nigdy nie chciał być naczelnikiem, tym bardziej w takich okolicznościach.

– Tak, kurwa, ciało nie ostygło, a już sobie dzielicie stanowiska!

Kruśko zrobił dwa kroki w kierunku Bandury.

– Przeginasz, Kruśko! – warknął ten przez zaciśnięte zęby. – Wita nie żyje. Nie wiemy, czy to samobój, czy wyrok, a ty mi tu, kurwa, czas zabierasz! Wypierdalaj w teren albo sam cię wywiozę!

– Samobój? Wyrok? – powtórzył prawie bezgłośnie. – Co ty wygadujesz? To musiał być wypadek.

– Nie – wtrącił się jeden z techników. – To na pewno nie był wypadek. – Podszedł do mężczyzn. – Auto nie ma żadnych innych uszkodzeń oprócz tych spowodowanych pożarem. Do tego nasz piroman zadbał o źródło tlenu: wszystkie szyby były opuszczone.

– Awaria? – zapytał Paweł niepewnie.

– Srania! – warknął Bandura.

– Mechanizmy szyb są w pozycji otwartej – powiedział technik. – Biegłymi nie jesteśmy, ale wydaje nam się, że ogniskiem pożaru jest – spojrzał na Pawła – Wita.

– Jednak samobój? – zapytał Marek trzeźwo.

– Nie wiem. Nie pasuje mi ułożenie zwłok. Spalenie żywcem to koszmar. Powinien próbować uciec, wyskoczyć przez okno czy chuj tam wie, co jeszcze.

– Czyli dalej gównu wiemy? – zapytał Bandura ze złością.

Nigdy nie chciał tego pieprzonego stanowiska, a teraz nie dość, że odgrywał szefa wydziału kryminalnego, to jeszcze został wrzucony na głęboką wodę. Tylko to nie były wody spokojnego bajorka – trafił do oceanu targanego przez sztormy. Wiedział, jak postępować przy włamaniach, zaginięciach, nawet strzelaninach, ale nie miał bladego pojęcia, co robić, gdy oficer policji zostaje brutalnie zamordowany.

– Jak doszło do zapłonu?

– Chyba czuję tu benzynę albo inne paliwo. No i te grudy w kroczu Wity. To chyba resztki jakiejś bańki czy innego plastikowego pojemnika.

– Czekaj! Czyli że co? Wylał na siebie cokolwiek, odłożył bańkę i spokojnie się podpalił? A później... grzecznie czekał?

– Kurwa, Jacek! Za szybko te pytania. Chciałem rzucić wam ogólnikami. Więcej szczegółów będzie po oględzinach i wizycie biegłego.

Nagle usłyszeli głośnie charczenie rozchodzące się z miejsca oględzin. Drugi z techników stał zgięty w pół i trzymał się za brzuch. Pierwsza fala skurczów żołądka przyniosła ze sobą kawałki bliżej nieokreślonego pokarmu. Odgłos, jaki wydał z siebie młody policjant, rozniósł się po polu, po czym zderzył się ze ścianą drzew. Dalej popłynęła żółć. Trzecia i zarazem ostatnia fala nie przyniosła ze sobą nic oprócz charczenia, łez i stłumionych przekleństw.

– Patrzcie gnoja! Zarzyga mi ślady! Co jest z tobą, młody?! – krzyknął w jego kierunku technik, który rozmawiał z policjantami. – Aż taka panienska z ciebie?

Mężczyzna spojrzał w ich stronę. Nadal klęczał na prawym kolanie. Jedną ręką utrzymywał równowagę, a drugą wycierał moką od wymiocin i łez twarz.

– To wyrok – wydusił z trudem.

¹ Prewencjusz – w policyjnym slangu określenie policjanta pracującego w wydziale prewencji, który służy na ulicy (OPI, OPP, SPP).

² Zbroić się – zaopatrzenie w środki przymusu bezpośredniego i broń palną (w przypadku policjanta kryminalnego także w dodatkowy magazynek z amunicją, kajdanki i gaz obezwładniający), także pałkę teleskopową.

³ ŚPB – środki przymusu bezpośredniego, określone w ustawie z 24 maja 2013 roku.

⁴ Kontrolka – książka kontroli pracy pojazdu służbowego.

Rozdział 2

To wszystko to jakaś pierdolona abstrakcja!

Paweł nawet nie spojrział na Marka. Tak naprawdę nie mówił do niego. Nie mówił do nikogo. Słowa mimowolnie opuściły jego usta, jakby same chciały podkreślić dramat tej nocy. Abstrakcja – proste słowo określające poziom niezrozumienia rzeczywistości, często nadużywane. Niestety, swoboda w wypowiedaniu doniosłych słów, intrygujących definicji czy śmiałych tez szybko obniża ich powagę i naturę. Dla pięciolatka abstrakcją będzie związek chłopca z dziewczynką, dla nastolatka – pizza z ananasem bądź ponadnormatywna ciężka praca za minimalną płacę, a dla biednych – życie bez długów.

– Byliście najbliżej. Podejrzewasz kogoś? – Marek nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Co?

– Kto mógł to zrobić?

– Kurwa, Bary! Czy ty mnie właśnie pytasz, kto mógł jebnąć Wicie kulkę w łeb, a później spalić go jak jebaną marzannę?! Serio?! Serio, kurwa?!

– Skoro i tak kręcimy się bez sensu, to spróbujmy kogokolwiek wytypować. W komendzie i na mieście zrobił się zajebisty bałagan, którego Bandura nie ogarnia. Zresztą jedynka⁵ pewnie też nie. Jak go znam, kurwuje na wszystko i wszystkich, miotając się przy tym jak dziwka w klasztorze. A w tym aucie siedzą dwa wściekłe psy i wydaje mi się, że chcą dorwać skurwiela, który zajebał im szefa. Dobrze mi się wydaje?

– Grizzly.

– Marcinkowskiego dwanaście?

Paweł skinął głową, lekko się uśmiechając. Marek był naprawdę bystrym gliną.

– Jakiś plan?

Paweł nie zareagował. Zatrzymał się dwa budynki przed domem Łukasza Niedźwiedzkiego i wyszedł z samochodu. Zazwyczaj Marek nie działał bez planu. Musiał wiedzieć, ile osób znajdowało się w domu, kogo i co mogą tam znaleźć. Czy są psy, a jeśli tak, to jak duże. Ile jest możliwych dróg ucieczki...

Wysiadł tuż za Pawłem i ruszyli w kierunku metalowej bramy. Od razu wyciszyli telefony – nie chcieli zwracać na siebie uwagi, choć o tej porze na ulicy panowała cisza. Zatrzymali się kilka metrów przed podwórkiem Niedźwiedzkiego, tak aby widzieć jego garaż. Zauważyli trzech mężczyzn, pierwszym z nich był na pewno Grizzly. Pseudonim nie wziął się tylko z nazwiska – szerokie plecy, masywny brzuch i krzaczasta broda były tak charakterystyczne, że tylko ślepy nie zauważyłby podobieństwa. Dwóch pozostałych nie znali. Marek zrobił kilka kroków do przodu, by usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Pijacki bełkot – szepnął po chwili w odpowiedzi na pytające spojrzenie kolegi.

Paweł jednym ruchem przeskoczył metalową bramę i dobył broni. Metaliczny szczęk zamka dał wszystkim znać, że nabój został wprowadzony do komory.

– Stać, policja! – Wycelował w Niedźwiedzkiego.

Zaskoczonemu Markowi pozostał jedyny słuszny ruch: pokonał bramę górą, choć nie poszło mu to tak dobrze jak Pawłowi.

– Grizzly, rzuć to! – krzyknął, widząc, jak mężczyzna podnosi ze stołu butelkę po piwie.

– Jest nakaz?!

Odłożył szkło i spojrzał hardo na policjantów.

– Ja ci, kurwa...

– Panowie ziomki, zapraszam wypierdalać w podskokach. – Marek celowo przerwał Pawłowi.

– Ale...

– Żadne, kurwa, ale! Albo wy się zawijacie, albo my was zawijamy.

Wszystko poszło po myśli Barczyńskiego. Koledzy Niedźwiedzkiego byli leszczami. Marek znał bandziora od kilku lat i wiedział, że ten lubi otaczać się konformistami, zwykłymi pionkami, które bez wahania wykonają każde

polecenie. Ot, idealne stado płochliwych baranów, któremu łatwo zaimponować, wydać rozkaz, a także je przestraszyć.

– Czemu wyganiacie moich ludzi z mojej posesji? – wybełkotał po chwili Niedźwiedzki.

– Im mniej świadków, tym lepiej.

Marek zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Dla nas lepiej – dodał Paweł, chowając broń do kabury.

Szybki cios otwartą dłonią narobił więcej hałasu niż szkód. Grizzly ledwo go poczuł i teraz uśmiechał się bezczelnie. Poszanowanie godności człowieka, naruszenie etyki służbowej, przekroczenie uprawnień, postępowanie dyscyplinarne i w końcu zarzut popełnienia czynu zabronionego, z karą penalizacji w kodeksie – zmora każdego policjanta. Słuchacz na policyjnym kursie podstawowym – zanim nauczy się przeprowadzać interwencje, sprawdzać ludzi w systemach informatycznych, a nawet strzelać – ma wbijane do głowy możliwe konsekwencje swoich czynów. Wykładowcy straszą postępowaniami dyscyplinarnymi, wydaleniami ze służby, a nawet widmem zakładu karnego. I tak oto policjant, zamiast skupić się na sprawie, musi pamiętać o przestrzeganiu przepisów. Nie liczy się wynik, lecz uniknięcie skargi lub postępowania wyjaśniającego. Lecz wraz ze śmiercią Wity wszelkie granice i obawy zniknęły – przynajmniej dla Pawła. Doskoczył do mężczyzny i tym razem uderzył pięścią w brzuch. Grizzly się skulił, co jeszcze bardziej nakręciło policjanta. Paweł złapał go za szyję i dwa razy kopnął kolaniem w okolicę splotu słonecznego. Niedźwiedzki padł na ziemię, charcząc. Marek przyglądał się całej tej scenie.

– I co, zadowolony? – rzucił przez zęby rozjuszony Paweł. Od momentu przeskoczenia bramy stał się inną osobą. Pizdowatość zniknęła, a pojawił się twardziel prosto z amerykańskich slumsów.

– O chuj ci chodzi?! – Grizzly nie był już hardy. Nie miał widowni, więc nie musiał udawać.

– Filip Witczyński.

Paweł włączył latarkę i wycelował światło prosto w twarz Niedźwiedzkiego.

– Nie znam gościa.

Bandzior podniósł się na łokciach i usiadł na ziemi.

– Komisarz Filip Witczyński – poprawił Marek.

– Aaa, ten skurwiel. To przez niego taka akcja? Męskie ego go zabolalo czy ki chuj? Czemu sam nie przyszedł?

Kopnięcie było brutalne, zdecydowanie zbyt brutalne jak na policjanta wykonującego czynności służbowe. To nie był Paweł, którego znał Marek.

– Kurwa! – wysyczał Grizzly. – Pojebało was do końca?! Gość dostał z bara, a wy mnie torturujecie, jakbym mu matkę zgwałcił!

– O czym ty mówisz? – Marek podszedł bliżej.

– Tydzień temu widzieliśmy się w Kafłowym. Naćpałem się i coś tam skoczyłem do niego. Ale zajebałem mu z bara i tyle, kurwa! Coś tam pokrzyczałem i kumple mnie zabrali. Przecież tam byłeś! – Ostatnie słowa skierował do Pawła.

Barczyński nie do końca rozumiał sytuację. Po drodze nie pytał o szczegóły – zaufał koledze i wierzył, że ten ma powody, aby tu przyjechać i tak się zachowywać.

– Groziłeś mu, gnoju, że go dojedziesz! – Paweł zacisnął zęby.

– Mówię przecież, że się naćpałem! Nie widziałem go od tamtej pory! Robicie akcję, a on przecież nic nie zgłosił. – Spojrzał zdezorientowany w oczy policjanta. – Chyba?

Paweł próbował kopnąć go jeszcze raz, ale teraz Marek stanął pomiędzy nimi, odwrócony plecami do partnera. Grizzly i tak zasłonił się panicznie.

– Kurwa, daj mi spokój! Przepraszę go! Ja pierdolę! Przepraszę chuja i nigdy się do niego nie zbliżę!

– Zabiłeś go, gnoju! – wrzasnął Paweł.

Grizzly zbladł i złapał się za głowę.

– Co? Kurwa! To nie ja! Kurwa! Teraz będzie na mnie, bo mu groziłem? Ja jebię! – lamentował. Głos mu drżał, a dłonie zaczęły się trząść.

– Groziłeś mu, są świadkowie. Masz przejebane. – Marek ciągle obserwował mężczyznę.

Paweł przełknął ślinę. Zrozumiał, że przemocą nic więcej nie ugra.

– Areszt masz niewyjęty – wtrącił.

– Kurwa, jaki areszt?! Ja pierdolę! – Zakrył twarz dłońmi. – Kurwa, kurwa, kurwa! Nic chujowi nie zrobiłem!

Policjanci stali w ciszy przez dłuższą chwilę. Może Niedźwiedzkiemu przydałby się dołek⁶, ale nie mieli podstaw. Marek zaczął się kręcić po garażu w poszukiwaniu chociażby pół grama trawy. To dałoby im zbawienne czterdzieści osiem godzin.

Podszedł do mężczyzny, który najwyraźniej zaczął szlochać. Bez słowa sprawdził jego kieszenie. Ten, jako cel wielu policyjnych interwencji, nie oponował. Nawet wyprostował nogę, aby ułatwić policjantowi dostęp do kieszeni. Funkcjonariusz nic nie znalazł. Wstał i podszedł do Pawła. Spojrzał na niego wymownie, po czym odwrócił się na pięcie i skierował do wyjścia. Paweł stał chwilę w miejscu, ale w końcu ruszył za kolegą. Grizzly nie zabił Wity. Trochę mu było głupio przed Markiem, ale musiał spróbować.

Gdy odchodzili, znów usłyszeli szlochanie.

⁵ Jedyńka – komendant danej jednostki policji.

⁶ Dołek – inaczej pedezet (PDOZ), pomieszczenie dla osób zatrzymanych znajdujące się w budynku komisariatu.

Rozdział 3

Czyli Klaudyński, Marszak i Szlarski. Ktoś jeszcze?

– Jacek, to dobry pomysł? – zapytał Mączyński.

Nikt nie zwrócił uwagi na wąpiącego. Wprawdzie po powrocie z terenu następca naczelnika nakazał im najpierw zaparzyć kawę, a dopiero później zebrać się w pokoju odpraw, ale zmęczenie narastało. Obudzone w środku nocy psy wpadły w szal i ruszyły na łowy, gdy usłyszały o bestialskim zamordowaniu szefa. Wszyscy za wszelką cenę chcieli pomścić przełożonego. Nawet Jarek Mączyński ruszył w pieszy pościg za mężczyzną, który wydawał się mu podejrzany. Pięćdziesiąt dwa lata, nadciśnienie i kolano wymagające operacji nie przeszkodziły mu w doścignięciu faceta, który okazał się zwykłym ćpunem z dwoma gramami trawki. Rozpaczliwy zryw wiernego stada nie przyniósł efektów, a teraz ciężar rzeczywistości przygniatał każdego. Brawura i chęć działania zostały zmiażdżone konsekwencjami zbrodni, do której nie powinno dojść. Obława na własną rękę, wyciąganie przestępców z domów, a nawet przekraczanie niewidocznej granicy pozwalającej im na co dzień tytułować się funkcjonariuszami prawa były planem A, który miał szanse zadziałać. Małe, ale wciąż szanse. Nie udało się, dlatego teraz przyszedł czas na plan B.

Jacek Bandura postanowił, że drugie podejście do wykrycia sprawcy lub sprawców musi odbyć się niezwłocznie po wypiciu pierwszej kawy. Kazał swoim ludziom przeanalizować ostatnie dni, a nawet tygodnie, pod kątem rozmów z Witą. Może naczelnik wspomniał komuś w rozmowie, chociażby w żartobliwej formie, że ktoś mu się naraził. Bo wiedzieli, że Witczyński naraził się bandytom. Wita był psem z krwi i kości. Nie miał żadnych znajomości, które mogły pomóc mu w policyjnej karierze. Swoją dość niedawny awans wywalczył dziesiątkami zatrzymanych ludzi, kilogramami zabezpieczonych narkotyków i odzyskanym mieniem, którego wartość

liczono w setkach tysięcy złotych. Miał też kilka głośnych sukcesów, które odbiły się echem w regionalnych gazetach, jak chociażby odnalezienie porwanego dziecka.

– Ktoś jeszcze? – powtórzył Bandura.

– Kurwa, Jacek! Mamy dać im te nazwiska, a święte krowy przyjadą na gotowe i spiją śmietankę?

– Jaką, kurwa, śmietankę?! – ryknął Bandura niespodziewanie. – Popierdoliło cię do reszty, Kuba?! Wita nie żyje, a ty pierdolisz o spijaniu śmietanki?!

Wstał i podszedł do okna.

– Nie to miał na myśli. – Marek obserwował reakcję Bandury.

– Słucham, kurwa! O co mu chodziło, panie psychologu?

Odwrócił się nerwowo i ponownie usiadł na swoim miejscu.

– Znamy tych skurwysynów jak własne żony. Wiemy, kiedy są na głodzie, kiedy ściemniają, a kiedy mówią prawdę. Kurwa, Jacek, my znamy nawet ich pierdolone tiki nerwowe!

– I co z tego? – zapyta Bandura, po czym szybko zganił się w myślach. Przecież znał odpowiedź, do wczoraj on też nosił miano zwykłego kryminalnego.

– A to z tego, że przyjadą wielkie policjanty z wojewódzkiej, gównu zrobią i gówno z tego wyjdzie! Myślisz, że im zależy na złapaniu sprawcy tak samo jak nam? – wtrącił Jakub Życzyński.

– Bary ma rację. Nawet jeśli zechcą się przyłożyć, to nie znają ich tak dobrze jak my – poparł go inny kryminalny.

– Kurwa mać. Za mało nas jest! Nie damy rady wszystkich obrobić.

Bandura ponownie wstał z fotela.

– To będziemy jebać, dopóki wszystkich nie przesłuchamy – rzucił beztrąsko Marek.

– Nie. – Bandura chrząknął. – Słuchajcie. Za chwilę będzie tu piętnastu kryminalnych z wojewódzkiej, łącznie z ich bucowatym naczelnikiem. Zerwali się w nocy tak samo jak wy. Przejechali ponad sto kilometrów z zapalkami w oczach i mam im teraz, do kurwy nędzy, powiedzieć, że sorry, ale wracajcie do siebie, nic się nie dzieje?

Odpowiedziała mu cisza. Odczekał chwilę, aby sprawdzić, czy ktoś z podwładnych ponownie postanowi wyjść przed szereg.

– Dziękuję.

Wyciągnął telefon i sprawdził godzinę.

– Myślę, że będą najpóźniej o szóstej. Dajcie mi wszystkie nazwiska, które mogą mieć cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Jeśli faktycznie znacie jakieś dziwne zachowania czy tiki nerwowe, zapiszcie je na kartkach dla przesłuchujących. Dziś nie czas na kłótnie. Poszukiwacze² napierdolą tyle billingów Wity i każdego z podejrzanych, ile wojewódzka nie widziała przez rok. Narkotykowcy³ lecą w rejon zdarzenia i rozpytują każdego okolicznego mieszkańca w promieniu... – urwał na kilka długich sekund – w zajebicie dużym promieniu. Ktoś w końcu przyniesie nam gapia³. Pegowcy¹⁰ przepierdolą portale społecznościowe, fora i grupy, do których mamy wstęp. Wydrukują i powiążą z prawdziwymi osobami każdy dziwny wpis nawiązujący do jakiejś grubej akcji czy innego przypadku. Mieniowcy¹¹ zabezpieczą monitoring z całego kurewskiego miasta. Na nagraniach macie znaleźć mi auto Wity i śledzić je do momentu spalenia. Jak wyhaczycie trasę, macie prześledzić ją szczegółowo przed przejazdem Wity i po nim. Każde dziwne auto... – Poprawił się na krześle i chrząknął. – Każde auto sprawdzacie w bazie i drukujecie właścicieli łącznie z info z KSIP-u¹². Teraz życiówka¹³. – Spojrzał na Barczyńskiego. – Razem z Czarnym pojedziecie do żony Wity. Rozpytacie ją o każdy szczegół. Jak często się kłócili, jak często wyjeżdżał w nocy, ile razy w tygodniu się bzykali, a nawet ile kaw dziennie pił. Macie pytać o wszystko, aż wpadnie wam jakiś szczegół, który wyjaśni, gdzie, do kurwy nędzy, zachciało mu się jechać o tej porze i dlaczego ukrył ten fakt przed żoną. A, i zadbajcie o to, aby przy rozmowie nie było ich dzieciaków. Prawdopodobnie żona Wity jest naszym jedynym sensownym źródłem informacji. Zagwarantujcie jej tę naszą osławioną swobodę wypowiedzi¹⁴.

– Pojadę z nimi – wtrącił Paweł Kruśko.

– Mało masz roboty? – zapytał Bandura.

– Chłopaki ogarną, a ja znam Iwonę lepiej niż wy wszyscy razem wzięci.

– Dobra, ale po rozpytaniu¹⁵ pomagasz swoim. Nie żartowałem z zabezpieczeniem nagrań z całego miasta.

– Wolelibyśmy przesłuchiwać – powiedział Czarny.

Nie patrzył na przełożonego. W sumie sam nie wiedział, co wolał robić. Na pewno wolałby, aby to Wita prowadził poranną odprawę dotyczącą statystyki, która była tak ważna dla przełożonych, a bezwartościowa dla policjantów na froncie.

– Ja nie. Sami powiedzieliście, że ci z wojewódzkiej nie będą się przykładać do roboty tak dobrze, jak wy. Dlatego chcę, abyście ogarnęli boki. Kurwa, nie rozumiecie? Bezpośredni atak nam nie wyszedł! Dłubmy w szczegółach tak długo, aż coś zauważymy. Kogo jeszcze typujecie?

Barczyński i Kruško spojrzeli po sobie. Żaden nie wykonał ruchu, który dałby drugiemu ciche przyzwolenie. Marek spojrział na Bandurę. Kruško poruszył się nerwowo. Próbował chrząknąć, ale skończyło się jedynie na poruszeniu szczęką.

– To musi być przestępca? – zapytał Marek.

– Co masz na myśli?

– Raczej kogo. Byłego męża Iwony. Banicki? Baniacki?

– Kamil Barnecki – wtrącił Paweł.

– Kurwa! – warknął Bandura. – Czemu wcześniej nikt na to nie wpadł?

– Bo Barnecki siedzi za granicą. W dodatku gość jest wyjątkowo ugodowy. Mają ze sobą dziecko, o które dba, głównie finansowo. Dogadali się, każde poszło w swoją stronę i tyle. Ani Wita, ani Iwona nie skarżyli się na niego.

– To nic. Marek, rozpytaj Iwonę o tego gościa i wyciągnij od niej jego numer telefonu. Sprawdzimy go, a później przesłuchamy.

– Jeśli jest w Polsce... – wtrącił Kruško.

– Jeszcze sprawdzimy dwóch bananów. Zaraz przyniosę ci dokładne nazwiska – powiedział Jakub Życzyński.

– Czemu oni?

– Swego czasu zajmowali się u nas wpierdołem na zamówienie.

– Już nie?

– Zajmują, ale nie na naszym terenie.

Dyskusję przerwał dźwięk telefonu Bandury. Szef zaczerpnął głębiej powietrza i odebrał:

– Już ktoś po was schodzi.

Rozłączył się i kazał Kubie iść po tych z wojewódzkiej. Policjant westchnął ciężko i wyszedł bez słowa z pokoju.

² Poszukiwacze – policjanci wydziału kryminalnego służący w zespole poszukiwań i identyfikacji osób.

³ Narkotykowcy – policjanci wydziału kryminalnego służący w zespole do walki z przestępczością narkotykową.

² Gap – w tym przypadku naoczny świadek zdarzenia.

¹⁰ Pegowcy – policjanci wydziału kryminalnego służący w zespole do walki z przestępczością gospodarczą.

¹¹ Mieniowcy – policjanci wydziału kryminalnego służący w zespole do walki z przestępczością przeciwko mieniu.

¹² KSIP – Krajowy System Informacyjny Policji, czyli centralny zbiór danych o podejrzanych, osobach poszukiwanych oraz skradzionym mieniu.

¹³ Życiówka – policjanci wydziału kryminalnego służący w zespole do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu.

¹⁴ Swoboda wypowiedzi – art. 171 § 1 Kodeksu postępowania karnego to jedna z procesowych zasad przesłuchania. Przesłuchujący ma obowiązek zapewnić osobie przesłuchiwanej swobodne wypowiedzenie się w granicach określonych celem danej czynności.

¹⁵ Rozpytanie – nieformalna czynność polegająca na rozmowie. Jej celem jest zdobycie informacji na dany temat. Może być udokumentowana zapisem w notatniku służbowym lub sporządzoną notatką służbową czy urzędową.

Rozdział 4

Trzeba ją zrozumieć. Przeżyła tragedię.

– Paweł, ale my chcemy znaleźć mordercę Wity – powiedział Czarny.

– No i? Co to zmieni w jej życiu?

Zapiął pasy. Jechali dość szybko i na zakrętach musiał przytrzymywać się fotela, żeby nie wpadać na szybę.

– Ty nie chciałbyś wiedzieć?

– Ja zajebię skurwiela własnymi rękoma! Ale... – zamknął oczy i wypuścił głośno powietrze – myślę, że teraz nic nie może jej pomóc.

– A ty co myślisz, Bary? – Czarny spojrział na kolegę.

– Dajmy jej czas.

Marek wcisnął gaz do samej podłogi, ale zbyt wysoki bieg nie pozwolił na efektowne przyśpieszenie. Widział wiele reakcji na śmierć mężów czy żon – różniły się, ale nadal mieściły się w pewnych schematach. Pamiętał, jak kiedyś – gdy jeszcze pracował w OPI¹⁶ – musiał poinformować kobietę o nagłej śmierci jej męża i dziesięcioletniego syna w wypadku samochodowym. Ta bez zastanowienia pobiegła do kuchni, chwyciła za nóż i zaczęła ciąć sobie żyły. Iwona zachowywała się inaczej. Nie próbowała opanować płaczu czy rozpacz, ale robiła wszystko, aby ukryć niechęć do policjantów, co wychodziło jej wyjątkowo nieudolnie. Nie wpuściła ich do środka, a oni nie nalegali. Była opryskliwa i bezpośrednia, co chwilę nawiązywała do ich nieudolności. Marek nie miał z tym większego problemu, bo w końcu nie znał jej w ogóle. Zdziwiło go jedynie, że w taki sposób potraktowała przyjaciela rodziny. Bo właśnie za takiego uważał się Paweł Kruško. Zresztą Marek miał wrażenie, że gdy tylko nie patrzył na kobietę, ta spoglądała na Kruškę. Tyle że to nie było przyjacielskie spojrzenie wołające o pomoc. Dostrzegł coś, czego nie potrafił zrozumieć.

Nagle poczuł klepięcie w bark i usłyszał głos Czarnego:

– Śpisz, panie?

- Za kierownicą jest to dość trudne – skwitował z ironią.
 - E tam. Znacie dowcip o...
 - Kurwa, Czarny! Nawet nie próbuj! – warknął Marek, posyłając koledze mordercze spojrzenie.
 - Ej! Patrz na drogę! – krzyknął Czarny, pokazując ręką na zatrzymujący się przed nimi samochód.
 - Jak dokończysz ten żart – Marek spojrzał na niego ponownie i się poprawił – jakkolwiek żart, to zapierdolę w coś, co utrudni ci mowę przez co najmniej dwa tygodnie.
 - Czarny uśmiechnął się złowrogo.
 - I tak wiem, że lubisz moje poczucie humoru – mruknął.
-

¹⁶ OPI – ogniwo patrolowo-interwencyjne.

Rozdział 5

Druga część planu Bandury była w trakcie realizacji. Pokoje zostały zajęte przez policjantów z wojewódzkiej. Każda para miała co najmniej jednego zatrzymanego. Prawdopodobnie zatrzymanego, bo Marek wątpił, by nagle pojawiły się twarde materiały dowodowe pozwalające na pozbawienie wolności aż ośmiu mężczyzn. Takie zagęszczenie go zaniepokoiło. Gdy wchodził do wydziału, zauważył w pokoju Życzyńskiego dwóch skutych kajdankami bananów. To tyle, jeśli chodzi o profesjonalizm wojewódzkiej. Jak mieli ich złamać, skoro siedzieli obok siebie? Pokręcił głową z dezaprobatą i poszedł dalej. Było już prawie południe i czuł głód i zmęczenie. Rano nie miał czasu na przygotowanie kanapek.

Podszedł do czytnika znajdującego się tuż obok drzwi i przyłożył kartę dostępu. Pisk i zapalenie się zielonej diody świadczyły, że nadal tutaj pracuje i nikt nie wyrzucił go z pokoju. Chyba – zaraz dodał w myślach, bo gdy otworzył drzwi, zobaczył dwóch starszych, grubszych i bardziej smutnych niż on mężczyzn, którzy zajmowali miejsca Czarnego i jego. Spojrzeli na niego obojętnie, a ten siedzący bliżej wykonał głową ruch, jakby chciał spytać, kim Marek jest i co tu robi.

– Sorry. Wezmę tylko kubek i już wam nie przeszkadzam. – Kurwa, ale ze mnie pizda! – zganił się w myślach za swoją uprzejmość.

Policjant z wojewódzkiej wrócił do zgarbionej pozy. Flegmatycznie uderzał palcami w klawiaturę laptopa, powtarzając pod nosem wolno:

– Ja nic nie wiem na temat zabójstwa jakiegokolwiek policjanta... – Bardziej skomplikowane słowa sylabizował, aby mieć czas na ich napisanie.

Bary spojrział na siedzącego Marszaka. Stały bywalec komendy postarzał się co najmniej o kilka lat, chociaż razem z Czarnym widzieli go niecały miesiąc temu. Znów musiał być w narkotycznym cugu. Piko¹⁷ nie oszczędzało ludzi. Kusilo swoją nieograniczoną mocą, niekończącymi się

zapasami energii, przebojowością i długim czasem działania. A wszystko to w postaci kryształu, którego dwie dziesiąte grama za pięćdziesiąt złotych rozświetli smutne życie na kilka godzin. W pakiecie otrzymać można zatrucie organizmu, a nawet zapaść, co oczywiście nie ma prawa się wydarzyć w przypadku tak doświadczonego gracza jak Marszak. On w nagrodę za wieloletnią wierność produktowi wygrał schizofrenię, brak uzębienia i chroniczne bóle brzucha.

– Ja w nocy z piętnastego na szesnastego października siedziałem u mojego kolegi o pseudonimie Łysy, tak? – zapytał policjant.

Barczyński udawał, że nadal szuka kubka.

– Tak.

Mężczyzna poprawił się na krześle, jakby właśnie został wywołany do tablicy.

– Jak się nazywa „Łysy”? – zapytał drugi funkcjonariusz.

– Nie pamiętam.

– To lepiej sobie przypomnij.

– Kurwa, ćpam od trzynastego roku życia! W głowie mam większe dziury niż w zębach! – Wyszczrzył w uśmiechu poczerwiałe resztki czegoś, co kiedyś faktycznie mogło być zębami.

Bary poczuł odór ludzkiego kału. Tak właśnie śmierdział oddech ćpunów, którzy nie myli tego, co pozostało po zębach, od miesięcy. Dotknięcie zniszczonych dziąseł szczoteczką sprawiało im potworny ból.

Mimowolnie zacisnął zęby i spojrzał na policjanta siedzącego na jego miejscu. Ten niewzruszony podniósł wzrok na Marszaka.

– No widzisz, a my już wiemy. Ten twój „Łysy” to Jakub Majewski.

Znużony wyraz twarzy gliniarza działał Markowi na nerwy.

– Tak! Tak, właśnie. Przypomniało mi się! Byłem w nocy u Jakuba Majewskiego. Ćpaliśmy całą noc. – Odetchnął z ulgą, układając się nieco wygodniej na krześle. Wyprostował się i dumnie skrzyżował ręce na piersi.

Czemu, do chuja, Marszak nie ma kajdanek? Czemu podpowiadają mu podczas przesłuchania? Co tu się, kurwa, dzieje?! – głos w głowie Marka krzyczał coraz głośniejsze.

– Znalazłeś już kubek? – zapytał ten drugi.

– Tak, już wychodzę. – Nie tylko pizda, ale i mięczak.

Marek zatrzymał się w progu i spojrzał po raz ostatni na Marszaka. Ten uchwycił jego wzrok i parsknął prześmiewczo.

– I zamknij za sobą drzwi – rzucił policjant siedzący na jego miejscu.

Krew uderzyła mu do głowy. Poczł pulsowanie w skroniach. Został potraktowany jak żółtodziób, jak ktoś obcy. A przecież to był jego pokój, jego komenda! Tak nie może być i tak nie będzie! Postawił na posadzce kubek z niebiesko-białym nadrukiem „PMF”, ponownie odbił swoją kartę dostępu i wszedł do pomieszczenia.

– Chłopaki, naczelnik was woła.

– Który? – zapytał ten drugi.

– Wasz. Ponoć macie odprawę u komendanta.

– Teraz nie możemy! – syknął ten siedzący na miejscu Barczyńskiego.

– Ponoć jeden z waszych wie, kto zajebał Witę.

Policjanci spojrzeli po sobie nerwowo.

– Spokojnie, przypilnuję go.

Marszak poprawił się na krześle. Jako jedyny przeczuwał, co za chwilę się wydarzy. Policjanci z wojewódzkiej wyszli w pośpiechu. Barczyński spojrział na świadka i zatrzasnął drzwi. Marszak zbladł, gdy ujrzał twarz gliniarza.

– Kto zajebał Witę?

– Ciach bajera¹⁸ – rzucił zdenerwowany.

Nie patrzył na Marka. Nie chciał go prowokować, ale nie domyślił się, że jest o jedną śmierć za późno. Poczł potężny ból w klatce piersiowej. Stęknął głośno i zamknął oczy. Skulił się, nieudolnie próbując ochronić głowę chudymi, bliznowatymi rękoma. Bezskutecznie. Uderzenia były tak silne, że prawie połamały mu przedramiona. W całym ciele czuł przeszywający ból i strach, że to jego ostatnie sekundy życia. Chaos zamieniał się w panikę i pragnienie przetrwania.

– Kurwa! Stój! Powiem! – wrzasnął.

Bary wyprostował się i zrobił krok do tyłu. Spojrział na mężczyznę i poczuł strach. Tak, chciał go uderzyć, bo Marszak nie znał innego języka, ale ta konwersacja miała skończyć się na trzech siarczystych lepacach.

– Ja jebię! – wysapał. – Nie wiem za dużo! – Marszak spojrział w kierunku drzwi.

– Mów, kurwa!

Marek doskoczył do niego.

– Mówię, kurwa! Nie bij, proszę!

– Barczyński, otwieraj! – dobiegł ich zza drzwi krzyk Bandury.

Marek złapał Marszaka za szyję.

– Gadaj, do kurwy nędzy!

– Czarny, do chuja! Dawaj swoją kartę! – wrzeszczał Bandura.

– Na mieście mówią – zaczął Marszak – że wasz pies miał kosę z...

Elektroniczne brzęczenie zamknęło mężczyźnie usta. Zobaczył w progu czterech policjantów, po czym błyskawicznie osunął się na ziemię. Zamknął oczy i rozłożył ręce na bok tak, aby żaden z nich nie miał wątpliwości, że stracił przytomność.

– Kurwa, Barczyński! Coś ty odjebał?! – krzyczał Bandura.

– Udaje!

– Wiem, kurwa, że udaje! W chuju go mam! Niech tu zdycha! – Twarz Bandury była purpurowa.

Marszak otworzył oczy i westchnął ciężko.

– On wie, kto zabił Witę – warknął Marek.

Wszyscy spojrzeli na Marszaka. Ten wgramolił się z powrotem na krzesło.

– Nic nie wiem, kurwa! Ten psychol prawie mnie tu zajebał! Kłamałem, żeby przeżyć.

Przejechał palcem po ustach, po czym wytarł krew w spodnie.

– Barczyński! – ryknął znów Bandura. – Do mnie!

– Ale...

– Do mnie, kurwa, bo sam po ciebie przyjdę!

Komisarz Jacek Bandura lata świetności miał już dawno za sobą, ale Bary nie chciał sprawdzać, jak bardzo za sobą. Choć sam nigdy nie widział go w akcji, to słyszał wiele historii i jeśli choć połowa z nich zawierała ziarno prawdy, to wołał pójść za przełożonym.

Siedział tutaj już dobre dziesięć minut. Bandura zostawił go w gabinecie, a sam gdzieś wyszedł. Gniew nie opuszczał Barczyńskiego. Z Marszakiem może trochę przegiął, ale dzięki temu prawie wyciągnął od niego niezbędne informacje. Stara szkoła nigdy nie zawodzi.

– Ale odjebałeś – rzucił szorstko Bandura, trzaskając drzwiami.

– Jacek, miałem go! – Marek zerwał się z krzesła.

– Siadaj, kurwa! – Przełożony spiorunował go wzrokiem.

– Serio, miałem go – powiedział policjant i usiadł posłusznie.

– Chuja w dupie miałeś! – Bandura ponownie wybuchnął, choć obiecywał sobie, że rozwiąże to bez niepotrzebnych krzyków. Westchnął głęboko i opadł zmęczony na fotel. Oparł łokcie o biurko i ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę rozmasowywał skronie. Grube linie zmarszczek orały jego czoło i szyję, a głębokie zakola i siwe włosy go postarzały. Miał czterdzieści dziewięć lat, a wyglądał na dobre sześćdziesiąt.

– Jacek, od kiedy mi nie ufasz? – spuścił z tonu Barczyński.

– Chyba zacznę od dzisiaj...

Przełożony spojrzał mu prosto w oczy. Chciał coś dodać, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i westchnął. Odrzucił połączenie od żony. Nie miał ochoty wysłuchiwać jej wymyślonych problemów, gdy mierzył się z prawdziwymi.

Marek napiął mięśnie, wyprostował się i wbił w Bandurę wzrok pełen złości.

– Nawet nie próbuj, chłopie – powiedział ze stoickim spokojem komisarz.

– Zjebałeś i taka jest prawda. Ustaliliśmy, że Marszak coś wie. Uchol¹⁹ Życzyńskiego nawinął mu ten temat. Ponoć Marszak widział, jak Wita napierdalał się z jakimś bandytą. Padły groźby. Chcieliśmy go przycisnąć, ale brakowało nam podstaw do zatrzymania. To przesłuchanie trzeba było poprowadzić z głową. Dowiedzieliśmy się, z kim spędził noc, i czekaliśmy, co sam powie. Z naszych ustaleń wynikało, że latał po mieście i sprzedawał dragi razem z Krocińskim. Krociński to pizda nad pizdami. Przycisnęliśmy go i wszystko nam wyśpiewał. Nawet to, że chciał sprzedawać narkotyki, ale nie pomówił Marszaka. Celowo. – Spojrzał na Barczyńskiego. – Celowo – powtórzył, przeciągając sylaby – naprowadziliśmy go na takie zeznania. Wiedzieliśmy, że będzie ściemniał. Dlatego z racji faktu, że przesłuchiwaliśmy go w charakterze świadka, moglibyśmy go wsadzić za fałszywe składanie zeznań.

– Kurwa – rzucił Barczyński. Teraz wszystko rozumiał.

– No. Powiedziałbym nawet, że kurwa jego mać – potwierdził komisarz. – Poszedłem ratować sytuację, ale chuj z tego wyszło. Marszak najpierw się obraził, a potem zaciął i zaczął mówić, że albo go wypuszczamy, albo zamykamy, ale on ma to w dupie. Nic już nie powie. Odmówił składania zeznań i podpisania protokołu.

– I?

– I co, Marek? Przecież wiesz, jak to wygląda. Grzecznie przeprosiłem pana i poprowadziłem do wyjścia, dając mu delikatnie do zrozumienia, że wszelkie skargi z jego strony mogą wywołać nasze niepożądane zainteresowanie jego osobą.

– Kiedyś to byłoby nie do pomyślenia.

– Kiedyś skończyło się dobre kilka lat temu. Już powinienes to wiedzieć.

– Jacek...

Bandura pokręcił głową.

– Nie musisz mnie przeproszać. Wydaje mi się, że z wojewódzką też wyprostowałem. Z Kubą jesteśmy z jednego rzutu, a nawet plutonu. Litry wypitej wódki łączą ludzi na długie lata. – Westchnął, gdy przypomniał sobie dawne czasy.

– Mam jaja. Przeproszę ich.

Wstał i skierował się do wyjścia.

– Marek! Szanuję cię, ale ostatni raz odjechałeś taką akcją. Jeśli to się powtórzy, zawitasz do cywila²⁰.

¹⁷ Piko – metamfetamina, twardy narkotyk o podobnym, lecz znacznie silniejszym i dłuższym działaniu niż amfetamina.

¹⁸ Ciach bajera – zakończenie rozmowy, oświadczenie przesłuchiwanego, że nie zamierza nic więcej mówić na dany temat.

¹⁹ Uchol – osoba współpracująca z policją.

²⁰ Zawitać do cywila – przejść na służbową emeryturę.

Rozdział 6

Wybiła dwudziesta pierwsza. Opadali z sił. Intensywna dziewiętnastogodzinna służba dawała w kość. Wojewódzka zmyła się godzinę temu – stwierdziła, że jutro też jest dzień. Naczelnik uznał, że skoro blisko trzydziestu kryminalnych w asyście całej komendy nie ujawniło mordercy za dnia, to w nocy też im się to nie uda. Kazał wszystkim iść do domu i stawić się ponownie o szóstej.

Poszukiwacze przeanalizowali billingi ponad stu numerów – żaden z nich nie logował się w rejonie i o przybliżonej godzinie morderstwa. Miejski monitoring nagrał Witę, jak około dwudziestej drugiej jechał swoim autem w stronę glinianek. Jeśli nigdzie wcześniej nie zajechał, to droga powinna mu zająć jakieś dziesięć minut. Ostatni kilometr stanowiła polna droga, która nie pozwalała na szybką jazdę – chyba że kierowca miał ochotę stracić miskę olejową lub cały układ wydechowy. Czyli na pewno nie Wita. Jego auto było mu droższe niż żona.

Przypadkowy kierowca wracający z miasta do pobliskiej wioski zauważył ogień o pierwszej w nocy i natychmiast zadzwonił po pomoc. Oczywiście sprawdzili jego wersję. Dwudziestopięcioletni Marek Kutczyński telefon do wojewódzkiego centrum powiadamiania ratunkowego wykonał o godzinie pierwszej zero jeden i – jak zeznał później w charakterze świadka – wracał od Joanny Białko, dziewczyny. Kobieta obudzona w środku nocy przez patrol bez wahania potwierdziła jego wersję, pokazała nawet wspólne zdjęcia wykonane tej nocy, ale to zrobiła już mniej chętnie. Na widok fotografii młodszy policjant zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

Wywnioskowali, że morderstwo mogło nastąpić między dwudziestą drugą a pierwszą w nocy. Szkoda, że żona Wity nie chciała im pomóc.

Potrzebowali odpowiedzi na pytanie, gdzie mógł jechać, z kim ostatnio rozmawiał lub czy poznał jakichś nowych ludzi.

Skoro Wita dojechał do glinianek około dwudziestej drugiej, to dlaczego samochód spalił się dopiero o pierwszej? Tak długo na kogoś czekał? Czy spotkał się z tym kimś, a dopiero później doszło do zabójstwa? Gdyby mieli jego telefon, byłoby znacznie łatwiej. Ten jednak stopił się w pożarze. Doskonale zdawali sobie sprawę, że numery odbijające się w billingach Wity to zaledwie połowa możliwych kontaktów. Te wymagające większej konspiracji prowadzone były za pomocą aplikacji. Sami policjanci również je stosowali z obawy przed ludźmi polującymi na nich. Kryminalni podsłuchiwali bandytów, a BSW²¹ podsłuchiwało kryminalnych. Sprawdzenie portali społecznościowych nie dało efektów. Ktoś musiałby być bardzo nierozgarnięty, gdyby pisał o takich sprawach w internecie. Problem polegał na tym, że nikt nierozgarnięty nie porywałby się na naczelnika wydziału kryminalnego. To wyglądało na morderstwo z zimną krwią.

Komisarz Jacek Bandura zwołał wszystkich do swojego pokoju. Zbierali się mozolnie, narzekając przy tym to na ból głowy, to na zmęczenie. Nie było w nich już nawet śladu po energii, z którą ruszyli w miasto w środku nocy. Zawziętość została przygnieciona ciężarem zmęczenia i brakiem snu. Przez kilka długich chwil siedzieli w milczeniu. Bandura chciał coś powiedzieć, ale co rusz to otwierał, to zamykał usta.

Do pokoju wszedł Mączyński. Był zmęczony, ale na jego twarzy widniał delikatny uśmiech. Bez pardonowo położył na stole dwie reklamówki i w pomieszczeniu rozległ się stukot szklanych butelek. Połowa policjantów ze zdziwieniem spojrzała na Jarka, a druga połowa – z zakłopotaniem – na Bandurę.

– Nie gapcie się tak. Wita zasługuje na toast. Idźcie po kubki – rzucił komisarz ponuro.

Gdy wszyscy wrócili do pokoju naczelnika, usłyszeli, jak ktoś wchodzi do wydziału. Życzyński rzucił się do stołu, żeby schować wódkę, ale Bandura powstrzymał go ruchem ręki.

Do pokoju wszedł inspektor Tomasz Zaborowski. Mimo zmęczenia większość kryminalnych wstała, by go powitać. Chociaż niemal wszyscy prywatnie byli z nim na ty, pierwsze powitanie brzmiało zawsze oficjalnie.

Szanowali jego stanowisko, ale przede wszystkim szanowali to, jakim był przełożonym.

Bandura skinął szefowi tylko głową i dał znać, by usiedli. Na co dzień elegancki i pachnący, dziś wyglądał jak zaniedbany, śmierdzący robol. Nawet jego napakowane mięśnie wydawały się znacznie mniejsze. Cóż, dziś nikt nie był sobą.

Zaborowski bez słowa złapał jedną z butelek, odkręcił, po czym zaczął polewać. Policjanci nie zareagowali – nigdy wcześniej, nie licząc Wity i Bandury, przełożony nie polewał im wódki. Nawet Czarny powstrzymał się od komentarza, co nie było w jego stylu. Kiedy inspektor skończył, wyprostował się i spojrzał na podwładnych.

– Dziś wykonaliście kawał roboty. Jutro czeka nas kolejny ciężki dzień. Nie odpuścimy, dopóki nie dorwiemy tego skurwiela. Komisarz Filip Witczyński był zajebistym gliną. Za Witę.

Przechylił butelkę i wziął trzy duże łyki. Kryminalni też wznieśli toast. Inspektor odłożył flaszkę i skierował się do wyjścia.

– Pamiętajcie, że jutro na szóstą – rzucił i wyszedł.

Po chwili usłyszeli elektroniczny dźwięk zamka, oznaczający, że szef opuścił wydział. Życzyński złapał za butelkę i znowu polał każdemu.

– Czegoś tu nie rozumiem. Przecież Wita umiał się napierdalać jak żaden z nas. Tak łatwo poddał się bez walki? – zaczął Mączyński.

– Na kłamkę nie ma mocnych – odpowiedział ponuro Marek.

Wszyscy pokiwali głowami.

– A pamiętacie tego jebniętego z Wrocławskiej? Jak mu było? Siniak? – wtrącił Czarny.

– Siny – poprawił go Bandura. – Kawał chuja, reszta dziada.

– Ale elektryczny to on był – dodał Mączyński.

– A Wita uparty – odpowiedział Bandura. – Zaciął się na niego tak, że nawet po nocach siedział u niego pod blokiem. W końcu po jednym z włamań weszliśmy mu na kwadrat. Wiedzieliśmy, że nic tam nie znajdziemy, ale były naciski z góry. Przeszukiwaliśmy chyba z pięć godzin, bo Wita nie chciał odpuścić. Byliśmy zmęczeni, głodni i wkurwieni, a ten szukał i szukał. Siny oczywiście, jak to Siny, śmiał się z nas, ale inteligentnie. Nawet nie otarł się o znieważenie, bo wtedy każdy z nas gotowy był zareagować. Potrzebowaliśmy tylko pretekstu.

– I co, udało się? – chciał wiedzieć Życzyński.

– No tak, Kubuś, ciebie jeszcze u nas nie było – zaczął Bandura. – W końcu dorwał Sinego dzięki zabawce z jajka niespodzianki – roześmiał się chrapliwie. – Ten psi kutas dostał wyrok za plastikowego hipopotama, kurwa. Za hipopotama – powtórzył, sylabizując. – Nie wiem, jak Wita zapamiętał taki szczegół. Każdy z nas szukał złota i kasy. Nikt nie doczytał, że pokrzywdzonemu zginęła figurka, która tylko dla niego była cenna, dlatego postanowił umieścić ją razem z kosztownościami. Mieliśmy na tyle szczęścia, że pokrzywdzony oznaczył ją swoimi inicjałami.

– Nieźle – pokiwał Życzyński z uznaniem.

– A pamiętacie, jak kupował kurwie czapkę zimową?!!! – ryknął Mączyński jeszcze głośniej niż poprzednio.

Nagle wszyscy zaczęli się śmiać i grobowa atmosfera zniknęła.

– Posłuchaj tego, Kubuś – mówił przez śmiech Bandura. – Zima, chyba ze dwadzieścia stopni na minusie. Wracamy z terenu i mijamy kurwę stojącą przy drodze. Ona, wiesz, ubrana jak to kurwa, miniówka, cienkie rajstopki, jakaś tam kurteczka cieniutka i dekolt po same suty. Trzęsie się jak osika na wietrze. Mijamy ją i widzimy, że Wita odwraca się, jakby co najmniej zmarłą babcię zauważył. „Zakochałeś się?” – pytamy, a on do nas, żeby zajechać do sklepu. No to zajeżdżamy. Po chwili wychodzi z niego z czapką zimową, kurwa. Różową, wełnianą, kurwa, czapką z napisem „Princess”. I do nas: „Dawajcie do Lissy”, bo tak właśnie miała na imię ta lissa.

Bandura pęka ze śmiechu, wszyscy pękają, nawet Kuba Życzyński, który jeszcze nie poznał całej historii.

– I co, przyjęła prezent? – zapytał, czym wzmocnił śmiech kolegów.

– Ty byś widział jej minę! – wtrącił się Mączyński. – Zmierzyła go wzrokiem jak stara baba, której właśnie powiedziałaś, że jesteś za Tuskiem.

– Taki był właśnie Wita – skwitował Barczyński. – Twardy skurwiel, co poskładał niejednego bandziora, ale umiał zatrzymać się na chwilę i spojrzeć na ludzką tragedię.

– Taki Rambo i Matka Teresa z Kalkuty w jednym – podsumował Mączyński, ale tym razem się nie zaśmiał.

Życzyński poderwał się w kierunku stołu i znów zaczął polewać.

– Ja podziękuję.

Barczyński zasłonił kubek ręką.

– Marek, nie pierdol, tylko pij – powiedział Bandura, jakby wydawał oficjalne pozwolenie.

– Muszę wracać do córy.

– Jeszcze jednego i wracasz.

Życzyński wyrwał mu kubek. Napełnił go do połowy i postawił przed Markiem.

– Za Witę.

Czarny klepnął go w ramię i chwycił swój kubek.

– Za Witę.

Bandura teatralnie uniósł naczynie.

Paweł Kruško opróżnił swoją szklankę jednym haustem i wystawił ją przed siebie. Życzyński bez słowa polał następną kolejkę. Marek również przechylił kubek. Skrzywił się, gdy wypijał ostatni łyk.

– Dorwę skurwiela – powiedział, patrząc na punkt na ścianie.

– Dorwiemy – poprawił go Kaniecki.

Nie przepadali za sobą. Chore ambicje Kana często nakazywały mu mieć w dupie wszystko i wszystkich, chyba że ktoś lub coś mogło pomóc mu osiągnąć wymarzony cel – czyli zostanie oficerem. Bary miał to już za sobą. Kiedyś odmówił awansu i od tamtej pory nie dostał drugiej szansy. Zresztą znowu musiałby odmówić. Są rzeczy ważne, ważniejsze i takie, które wiążą cię z własnym domem.

Marek wyszedł bez słowa. Nie miał ochoty na uprzejmości i kulturę. Pozostali spojrzeli po sobie i kontynuowali picie. Siedzieli już dobrą godzinę. Butelki przyniesione przez Mączyńskiego zostały opróżnione. To nie był problem – każdy z nich miał w swojej pancерnej szafie oprócz broni palnej i amunicji ukryte co najmniej pół litra czystej. Tak na czarną godzinę, która właśnie wybiła.

– Przychodzi trup do...

– Kurwa, Czarny! Nawet nie próbuj! – Bandura spiorunował go wzrokiem.

– Spierdalaj, Czarny, bo więcej wódki nie dostaniesz – odezwał się jeden z poszukiwaczy.

– Chuja się znacie. Wita lubił moje kawały.

– Co ty pierdolisz? Nikt ich nie lubi!

Mączyński otwierał kolejną butelkę.

– Pierdolisz! – syknął Czarny.

– Ciebie pierdolę.

Mączyński rzucił zakrętką i trafił Czarnego w klatkę piersiową. Przyłożył usta do butelki i zaczął pić.

– Jebnąć ci, staruchu?! – Czarny zerwał się z krzesła.

Mączyński pokiwał głową, nie przerywając hejnału. Czarny wyciągnął telefon z kieszeni i odłożył go na stół. Zrobił krok w stronę Mączyńskiego.

– Lubił je – przerwał im Kruśko. Chwiał się na krześle i bełkotał.

– Co? – zapytał Życzyński.

– Te zjebane kawały Czarnego – wybełkotał. – On je naprawdę lubił.

– Paweł, załatwić ci transport? – Bandura wyciągnął z kieszeni telefon.

– Nie. Jeszcze piję. – Wskazał ręką na Czarnego. – Po... Powie...
Powiedz – przewyciężył niemoc.

Czarny najpierw spojrzał na coraz bardziej pijanego Kruśkę, a następnie na trzymaną przez niego butelkę. Była do połowy pusta.

– Przychodzi trup baby do lekarza – zaczął mówić – kładzie się na kozetce, a lekarz na to: „Co się pani tak rozkłada?”. – Spojrzał na swoich rozmówców z uśmiechem na twarzy. – „A co? Mam gnić w poczekalni?” – Ryknął śmiechem.

Inni uśmiechali się pod nosem, jakby odgłos radości miał być obrazą dla tragicznie zmarłego Wity.

– Jesteś pojebany – skwitował Mączyński bełkotliwie.

Czarny był pojebany. Nie krył się z tym i nie obrażał, gdy ktoś tak o nim mówił. „Gdybyś przeżył to, co ja, też byś był” – odpowiadał zawsze w myślach. Jego przeszłość ukształtowała jego osobowość i nie miał z tym problemu. Zaakceptował siebie. Rzeczy lub sytuacje, które innych przerażały lub obrzydzały, on traktował jako normalność. Wyjątkowo ohydne akcje wręcz go fascynowały. Nawet kilka godzin wcześniej musiał zajrzeć do samochodu i zobaczyć spalone ciało swojego szefa. Pomyślał, aby zrobić zdjęcie, ale szybko się za to zganił. To był Wita – policjant, którego lubił i szanował. Z innymi trupami nie miał takiego problemu. Za każdym razem robił im zdjęcia. Im dłuższy czas rozkładu, tym większy uśmiech na twarzy Czarnego. Miał nawet swoje ulubione zdjęcie. Jeszcze w prewencji dostał zgłoszenie o kobiecie mającej mieszkać z denatem. Zaciekawiony pojechał na miejsce, gdzie czekały dwie pracownice MOPS-u. Zszokowane i przerażone opowiedziały, że przyszły na kontrolę do Zbigniewa Malczyńskiego, który pobierał z gminy zasiłki. Początkowo

drzwi otworzyła im siostra Zbigniewa, upośledzona fizycznie i psychicznie. Kobiety zapytały chorą, gdzie jest jej brat, na co ona wskazała jego pokój i dodała, że śpi. Poprosiła, aby mu nie przeszkadzać. Ale odór panujący w mieszkaniu zaniepokoił pracownice. Widok trupa sprawił, że wybiegły z domu jak poparzone i natychmiast powiadomiły policję. Zofia Malczyńska nie chciała wpuścić funkcjonariuszy. Czarny wszedł do środka dopiero po wyważeniu drzwi przez strażaków. Kobieta rzuciła się na niego, krzycząc, że nic nie zrobiła. Zanim zobaczył swojego upragnionego trupa, musiał ją obezwładnić i wyprowadzić z mieszkania. Jego partner został na klatce, by oddychać powietrzem wpadającym przez uchylone okno. Czarny wszedł do pokoju i spojrzał Malczyńskiemu prosto w oczy, a raczej oczodoły wypełnione lepką mazią i dziesiątkami białych, żwawo ruszających się robaczków. „Ładny” – powiedział do siebie, po chwili zreflektował się i rozejrzał po mieszkaniu. Wolał, aby nikt tego nie usłyszał. Napięta skóra na twarzy była czarna i popękana w okolicach kości policzkowych. W miejscu ust wiły się kolejne tuziny robaków, których następnym celem był miękki i delikatny język. Zrobił mu zdjęcie, po czym zaczął przeszukiwać ciało. Sięgał kolejno do kieszeni w spodniach, co chwilę zerkając na twarz denata. Uśmiechał się do siebie i nucił znaną tylko sobie melodię. Zanim znalazł dowód osobisty potwierdzający jego tożsamość, na miejsce przyjechał technik kryminalistyki wraz z referentem²². Oględziny ciała powinny odbywać się w obecności prokuratora, choć ten oświadczył, że będzie najwcześniej za dwie godziny. Referent wraz z technikiem mieli dokonać oględzin miejsca, ale doświadczony technik dogadał się z prokuratorem przez telefon, że sam zajmie się ciałem, a tamten tylko machnie podpis. Jurysta zgodził się bez wahania. I właśnie wtedy Czarny zobaczył coś, co sprawiło, że w trudnych chwilach wracał do zdjęcia zgniłego Malczyńskiego. Gdy technik przewracał trupa na drugą stronę, aby sfotografować jego plecy, okazało się, że truposz stał się jednością ze starym tapczanem. Gdy w końcu udało im się przewrócić zwłoki na brzuch, Czarny po kryjomu najpierw zrobił zdjęcie przegniłego miejsca, w którym kiedyś znajdowały się plecy – zauważył kawałek kręgosłupa – a następnie równie dyskretnie kanapy, w której tkwiły resztki zgniłego mięsa i mnóstwo uczłujających larw.

Tak, Czarny zdecydowanie był pojebany.

²¹ BSW – Biuro Spraw Wewnętrznych Policji, jednostka organizacyjna zapobiegająca przestępstwom popełnianym przez policjantów i pracowników policji oraz ścigająca winnych.

²² Referent – policjant pionu dochodzeniowo-śledczego lub kryminalnego, pełniący dyżur zdarzeniowy.

Rozdział 7

Musiał wyjść z wydziału. Ostatnie, czego potrzebował w tej chwili, to pijackie wspomnienia o byłym naczelniku. Wita był mu bliski, jako jeden z nielicznych wprowadzał go w tę robotę. Inni mieli go gdzieś, byli zajęci swoimi sprawami, wtedy trwała walka o każdy grosz, na co dzień stare psy gryzły się ze sobą, ale gdy do ich stada wchodził nowy, młodszy i bardziej zdeterminowany, zgodnie rzucali się na niego. Nawet podkładali mu różne babole, z których później musiał się tłumaczyć, i to właśnie Wita nauczył go, jak to robić. Z czasem inni dali mu spokój, a on stał się na tyle samodzielny i dobry w tym, co robił, że jego mentor przestał patrzeć mu na rękę. Stali się bardziej jak kumple.

Kiedys Barczyński zgubił broń. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale cały dzień jej szukał, aż w końcu załamany postanowił pójść po pomoc do Wity. Ten, doświadczony w bojach, szybko się domyślił, że jest to psikus ze strony starszych gliniarzy, poszedł do jednego z nich, dał mu w dziób, po czym przyniósł „zagubiony” pistolet.

Przenikliwie zimno sprawiało, że nie mógł oddychać. Serce waliło jak oszalałe. Słyszał każde jego uderzenie. Zamknął oczy. Wsłuchał się w rytm własnego ciała. Wyrównał oddech i wszedł głębiej do wody. Czuł jeszcze resztki alkoholu krążące we krwi. Dłonie położył na głowie. Nie chciał ich moczyć. Razem z nogami marzły najszybciej, a on musiał wytrzymać co najmniej dziesięć minut. Zaczęły pojawiać się myśli. Najtrudniejsza i najważniejsza była twarz jego córki. Śliczna mała Róża. Uśmiechnął się.

Nie! Otworzył oczy. To był jego czas, jego chwila ciszy. Nie chciał żadnych myśli, żadnych trudności życia codziennego. Teraz liczył się on i atakujący go chłód. Ponownie zamknął oczy, ale odegnał myśli. Skupił się na ciszy. Koła jego serce i duszę. To jedyny moment, kiedy był w zgodzie ze sobą i swoim ciałem.

Kilka lat temu bandyta, którego aktualnie uważał za przyjaciela – chyba? – zdradził mu pewną zasadę. „Rzeczy materialne są ważne, ale nie najważniejsze. Sukcesem jest żyć w zgodzie ze sobą. Codziennie zadbaj o ciszę. Kompletną i niezakłóconą. Wystarczy piętnaście minut. Niektórzy nazywają to medytacją, inni – modlitwą. Mam w dupie, jak ty to nazwiesz. Po prostu bądź cicho przez pierdolone piętnaście minut dziennie”. Początkowo był sceptyczny. Nie rozumiał sensu takich rytuałów. Ale pewnej nocy, gdy wszystko w nim pękło, miał do wyboru albo pociągnąć za spust, albo znaleźć sposób. Odłożył broń na brzeg i wszedł do lodowatej wody. Płakał, nie zważając na zimno wyciskające oddech z płuc. Szedł coraz szybciej, zaciskał zęby i dłonie w pięści. Zatrzymał się, gdy woda dotknęła szyi. Tej nocy jego serce i umysł chciały zginąć, ale ciało na to nie pozwoliło. Atakujące go zimno nie pozwoliło na żadną myśl. Jego umysł się oczyszczał. Wtedy zrozumiał – cisza. Zbawiła go zwykła cisza, tak niedoceniana. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy wytrzymał ponad piętnaście minut. Otarł się o hipotermię, a skończył z czterdziestostopniową gorączką i dwutygodniowym zwolnieniem lekarskim. Od tamtej pory morsował.

Znalazł własny sposób na ciszę, ale słuchał już organizmu i starał się nie przekraczać dziesięciu minut. Znajomi mówili mu, że to i tak za długo jak na jednorazowe wejście. Powinien zanurzać się w wodzie najwyżej na pięć minut, a jeśli czuł, że to za mało, zawsze mógł zrobić trzy serie po pięć minut każda.

Takie rozwiązanie go nie satysfakcjonowało. Potrzebował niezakłóconej ciszy. Z czasem zrozumiał, że cztery razy w tygodniu po dziesięć minut to jego sposób na wszystko. Wychodził z wody oczyszczony, orzeźwiony i gotowy do dalszej walki.

Rozdział 8

Barczyński był na siebie zły. Powinien odmówić tej drugiej szklanki. Zbyt kręciło mu się w głowie, żeby wsiąść na rower, co oznaczało dłuższy powrót do domu. Już dawno nie musiał prowadzić roweru. Nigdy nie traktował alkoholu jako przyjaciela czy rozwiązania.

Jeszcze przed wypiciem toastu planował ponownie odwiedzić żonę Wity. Coś nie pasowało mu w jej zachowaniu i chciał to sprawdzić. Bał się, że ta wyczuje od niego alkohol i źle to odbierze. On nie chciałby, aby policjant prowadzący jego sprawę, zwłaszcza tak poważną, odwiedzał go pod wpływem. Wyciągnął z kieszeni paczkę miętowych gum. Jedną z nich rozgryzł, po czym połknął. Dwie kolejne włożył do ust i zaczął użytkować we wskazany przez producenta sposób. Nie wiedział, czy autorski pomysł na zamaskowanie woni alkoholu pomoże, ale nie miał innego wyjścia.

Kiedy pukał, poczuł, że się stresuje. Usłyszał kroki i mimowolnie się cofnął. Drzwi otworzyła Iwona. Najpierw spojrzała na niego, a później się rozejrzała jakby w poszukiwaniu jeszcze kogoś.

- Dobry wieczór – zaczął Marek.
- Koledzy chowają się po krzakach?
- Przyszedłem sam. Chcę porozmawiać na spokojnie.
- Tej pizdy też nie ma?

Marek zdębiał. Poprzednio przyszedł tu z Czarnym i Pawłem. Kogo miała na myśli?

- Przyszedłem sam – powtórzył. – Mogę zadać pani kilka mało wygodnych pytań?
- Nie.
- Rozumiem, ale może dowiem się czegoś, co pomoże nam ustalić mor...
- Urwał. To słowo brzmiało zbyt brutalnie. – Sprawcę.
- Ustalenie mordercy – drugie słowo wycodziła przez zaciśnięte zęby – nic nie da ani mnie, ani moim dzieciom.

– Rozumiem, ale bardzo nam zależy na schwytaniu tego skurwiela.

– Teraz wam zależy?! To wszystko stało się przez was! Przez tę pieprzoną robotę i zgrywanie bohatera!

Wybuchła. Bardzo dobrze. Ludzie pod wpływem emocji mogą wyjawiać nawet najgorszą prawdę.

– Co ma pani na myśli?

– Wszystko. – Wbiła spojrzenie w Barczyńskiego. – I nic – dodała, spuszczając wzrok. – Nie będę z wami rozmawiać. Dajcie mi spokój!

Weszła do domu i trzasnęła drzwiami.

Szlag! – skwitował w myślach Barczyński. Odwrócił się na pięcie i podszedł do opartego o drzewo roweru. Nagle usłyszał łoskot otwieranych drzwi. W progu stanęła Iwona.

– Może jakbyście pracowali, za co płacę wam z moich podatków, a nie chlali w czasie służby, to morderca już dawno by siedział! – wrzasnęła głosem przepełnionym rozpaczą i wściekłością.

To tyle, jeśli chodzi o autorskie pomysły.

– Piłeś? – zapytała, przytulając się na powitanie.

– Dwa kieliszki. Toast za Witę.

Wiedziała, co się stało. Pisał jej w esemesie, że zakończenie służby się przedłuży.

– Jak się czujesz, skarbie?

Dotknęła jego policzka.

– Dobrze.

Pocałował jej dłoń i na chwilę zamknął oczy.

– Wiecie już, kto to zrobił?

– Nie – westchnął i zdjął kurtkę.

– A tobie coś grozi? – zapytała z troską.

Była taka delikatna. Długie blond włosy opadały jej na czoło i lekko przysłaniały niebieskie oczy. Piękne, pełne miłości i troski. Nie znał czystszej istoty. To właśnie jej długie do pasa włosy i błękit oczu sprawiły, że ponad piętnaście lat temu zauważył ją na wiejskich dożynkach i zdecydował się zagadać. Później szło jak z góry. Okazało się, że w parze

z nieprzeciętną urodą idzie także nieprzeciętny charakter. Dziś była już starsza, a zmęczenie dodawało jej nadprogramowych lat.

– Marek? – zapytała drżącym głosem.

– Tak?

– Zapytałam, czy coś ci grozi.

– Nie, coś ty. Skąd ten pomysł?

Wziął ją w ramiona.

– A jeśli ktoś na was poluje?

Spojrzał na nią ze słabym uśmiechem.

– To my polujemy na niego – odpowiedział stanowczo, choć nikt z nich nie pomyślał o tym w taki sposób. Może znalazł się psychol, który urządził polowanie na policjantów, a makabrę zaczął od najgrubszego zwierza? Będzie musiał rano przegadać to z Czarnym albo Bandurą.

– Mała śpi?

– Tak. Czekala na ciebie, ale zasnęła jakąś godzinę temu.

Puścił ją i poszedł do pokoju córki.

– Marek, nie budź jej! – szepnęła. – Dzisiaj miała ciężki dzień. Boi się jutra.

– Chcę ją tylko zobaczyć.

– Proszę. Znowu będzie trudno ją uspić.

Kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

– No to pójdę się wykąpać.

Chciał wejść do łazienki, ale usłyszał słodkie westchnięcie, kilka mozolnych kroków, a następnie dźwięk otwieranych drzwi.

– Tatus! – Dziewczynka przecierała oczy.

Marek spojrzał wymownie na żonę.

– Moje żyjątko!

Ruszył w jej kierunku.

Uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała, gdy ojciec tak ją nazywał. Podbiegła do niego, trzymając w lewej ręce pluszowego misia. Z teatralnym stęknięciem wziął ją na ręce.

– Pinczuś dalej z tobą śpi?

– Tak, ale tylko wtedy, jak cię nie ma. On wtedy pilnuje mnie i mamusi.

– Tatus już wrócił i możemy Pinczusia odłożyć do łóżeczka.

– Taaak! – Uśmiechnęła się szeroko, wtulając w pierś Marka. – Ale najpierw zagramy? – zapytała z nadzieją.

Marek spojrział na Amelię, tym razem ona uśmiechnęła się szeroko.

– No dobra, moje żyjątko. W co chcesz zagrać?

– Jak to?! W dla ciebie naaaweeet!

Zmarszczył brwi, przechylił głowę i udał, że się zastanawia.

– Hmm, a co to było? – przekomarzał się.

– No wiesz przecież! To ta gra, w którą bawiłeś się z wujkiem Michałem, jak byliście mali.

– Ale ja nie mam wujka Michała.

– Taaatooo, weeeź. Z twoim bratem.

– Dobrze, dobrze. Już wiem. Kto zaczyna? – zapytał, prowadząc córkę do pokoju.

– Ty! – krzyknęła radośnie, unosząc ręce.

– No dobra, niech pomyślę... – Podrapał się po brodzie. – Dla ciebie naaaweeet... – zamyślił się, po czym dodał obniżonym tonem: – Zjadłbym robaka!

Wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia.

– Fuuuuj, tato! Nie dałabym ci już nigdy buzi.

Dziewczynka położyła się na swoim łóżku i poklepała miejsce obok siebie, aby zaprosić ojca. Marek się roześmiał. Podniósł prawą dłoń i udawał, że trzyma w niej robaka, po czym otworzył usta.

– Błeee! Dlaczego chcesz jeść robaka?

– Widzisz, córuś, czasami z miłości robi się różne rzeczy – powiedział całkiem poważnie, kładąc się obok.

– Ja ciebie bardzo kocham, ale nie będziesz mi kazał zjeść robaka?

Roześmiał się głośno i pokręcił głową.

– To teraz moja kolej. Dla ciebie naaaweeet – zmrużyła oczy – posprzątam swój pokój! – powiedziała szybko, jakby właśnie przyszło jej do głowy coś genialnego.

Marek rozejrzał się po pomieszczeniu i zmarszczył brwi.

– To dlaczego jeszcze tego nie zrobiłaś?

Chwilę myślała nad odpowiedzią.

– Bo nie poprosiłaś o to! Ta zabawa polega na tym, że mówimy sobie, co byśmy zrobili dla siebie, gdybyśmy o to poprosili.

– Ty spryciu! Nie jesteś za mądra jak na swój wiek? Skąd wiesz, o co chodzi w tej zabawie, skoro wymyślił ją wujek Michał, a nie ty?

– Bo z wujkiem też w to gram! I on mi to wszystko wytłumaczył. I mówił mi, że jak mam osiem latek, to jestem już dużą dziewczynką i już dużo rozumiem.

Czasami zbyt dużo – pomyślał.

– Dobra, moja dorosła kobietko. Idziemy spać?

– Jeszcze jedna rundka?

– Ale jeszcze musimy przeczytać bajkę.

– Nie. Dzisiaj nie było cię cały dzień. Chcę ostatni raz zagrać w grę i usnąć bez bajki. Obiecuję!

– Dobrze, księżniczko. – Przyłożył policzek do jej głowy. – Dla ciebie naaaweeet – szepnął delikatnie – ukradłbym gwiazdkę z nieba.

Uśmiechnęła się lekko i wtuliła w niego. Głaskał ją po włosach, które zdecydowanie odziedziczyła po matce. Zresztą czego to nie odziedziczyła? Ponoć klonowanie ludzi jest zabronione, mimo to im udało się stworzyć małą wersję Amelii Barczyńskiej.

Ulżyło mu, że dzisiaj nie zadawała wielu pytań. Gdy zasnęła, patrzył na nią jeszcze dobrych kilka minut, ale sam też w końcu poczuł znużenie. Zostało mu zaledwie kilka godzin na sen.

Wyszedł z pokoju. Amelia siedziała na krześle w kuchni. Podniosła wzrok i już wiedział, że teraz czas na trudniejszą część wieczoru.

– Jutro wizyta u lekarza.

– Ile? – zapytał, jakby to miało coś zmienić.

Nie miał przy sobie nawet złotówki. Pierwsza runda walki z guzem mózgu pochłoneła ich wszystkie oszczędności. Sprzedali dom i kupili znacznie mniejsze mieszkanie. Taki zastrzyk gotówki wystarczył zaledwie na kilka zabiegów. Następnym luksusem, którego musieli się pozbyć, był jego wymuskany motor. Zamienił go na rower, i to używany, bo potrzebowali każdej złotówki. Później sprzedali samochód i kupili jakiegoś grata. Jedyne rzeczy świadczące o dawnych pasjach Marka to zestaw wędzisk z włókna węglowego, o których zapomnieli, bo akurat pożyczył je teść. Gdy teść w końcu je zwrócił, nie mieli aż tyle wydatków, by myśleć o sprzedaży. Ale teraz przyszła druga runda, na którą nie byli przygotowani. Lekarze zapewniali, że ich córka jest w pełni zdrowa, a nawrót choroby w jej przypadku jest prawie niemożliwy. Prawie.

– Sama wizyta to dwieście pięćdziesiąt złotych.

– Okej. Sprzedam wędkę. Myślę, że dostanę coś koło tysiąca.

Spojrzała na niego żałośnie.

– A co później? Jeśli jutro potwierdzi się diagnoza... Tym razem nie mamy domu do sprzedania.

– A zbiórki? – zapytał. Chciał wspomnieć o nagrodzie, ale szybko stwierdził, że znowu się ośmieszy.

Nawet nie opowiadał jej o tej sytuacji. Dwa tygodnie temu razem z Czarnym miał drugą zmianę. Jeździli po mieście i obserwowali swoich figurantów, aż w końcu zainteresowało ich srebrne audi. Nie spodziewali się typowej kryminalnej roboty – po prostu auto jechało od krawężnika do krawężnika, bez zwracania uwagi na znaki stop lub przejścia dla pieszych. Początkowo tłumaczyli sobie, że to nie ich działka, i chcieli wezwać ruchaczy²³, ale szybko się okazało, że wszystkie patrole są zajęte. Ani Bary, ani Czarny nie mogliby spojrzeć w lustro, gdyby pozwolili tak naprztemu gościowi na dalszą jazdę.

Aby nie rozpoczynać pościgu i nie ryzykować wypadku, poczekali, aż auto zjedzie na stację lub parking. Długo to nie trwało – po stu metrach kierowca zatrzymał się przy osiedlowej Żabce. Chociaż słowo „zatrzymał” było na wyrost. Dziesięć metrów przed parkingiem równoległym wjechał na chodnik i jechał nim do momentu, aż wyrósł przed nim metalowy śmietnik. Ściął go i rumor go otrzeźwił. Zanim wysiadł z samochodu, policjanci byli już przed nim. Pierwsze minuty zeszły na tłumaczeniu starszemu mężczyźnie, gdzie się znajduje i co się właśnie wydarzyło. Policjanci musieli poczekać, aż przewencjusze podwiozą im pompę²⁴, ale już po samym oddechu zgadywali, że petent ma co najmniej trzy promile. Trochę się pomylili – wynik wyniósł dwa miligramy na litr, co w przeliczeniu dawało ponad cztery promile. Starszy i elegancki pan nie wyglądał, jakby pił od tygodnia, ale pozory mylą. W innym przypadku musieliby zbierać go z chodnika. Po chwili, gdy jakimś cudem zrozumiał swoją sytuację, wyciągnął ze schowka samochodu spory plik dwustuzłotowych banknotów i zaferował każdemu z kryminalnych po dziesięć tysięcy. Tę propozycję Czarny skwitował uśmiechem i spojrzał dziwnie na Marka. Marek nie zastanawiał się ani sekundy. „Chowaj to, gościu!” – warknął. Mężczyzna rzucił pieniądze na ziemię, jakby nie były jego. Czarny podniósł plik i poruszał nim w dłoni, jakby go ważył. Marek natomiast z kamienną twarzą wyciągnął kajdanki i poinformował mężczyznę, że jest zatrzymany za kierowanie pod wpływem alkoholu

i próbę wręczenia korzyści majątkowej osobom pełniącym funkcje publiczne. Czarny ze smutkiem wrzucił plik pieniędzy do audi i wyciągnął mężczyznę z samochodu. Gdy komendant usłyszał o ich wyniku, podobno tak się ucieszył, że obiecał im nagrody, jakich komenda jeszcze nie widziała. Okazało się, że w ich statystyce brakowało właśnie zatrzymania za korupcję. Dzisiaj Marek dostał esemesa informującego o przelewie przychodzącym. Dwieście pięćdziesiąt złotych zasiliło jego konto jako rekompensata za brak dziesięciu tysięcy.

– Na zbiórce jest około czterdziestu tysięcy – głos żony wyrwał go z rozmyślań – ale to raptem dwa zabiegi i dwutygodniowa rehabilitacja. Jest jeden gość, który łącznie przelał już prawie trzydzieści tysięcy. Jakoś dwa tygodnie temu zaczął i robił to przez dziewięć dni, po czym przestał. To było dziwne, że nie przelał naraz całej kwoty, tylko tak rozbijał.

– Pewnie wrzucił to jakoś w koszty. Są jego dane? Może pojedę do niego i pogadam?

– Już sprawdzałam. Podpisuje się tylko pseudonimem Samiec Alfa.

– I tyle?

– Tak. Chciał zostać anonimowy.

– Zadzwońię do Michała.

– Marek, on i tak s płaca za nas kredyt. Nie możemy...

– Ale musimy. Co innego nam zostaje? Mam się zwolnić i wyjechać za granicę? – podniósł głos.

Amelia zganiła go wzrokiem.

– To nic nie da. Dobrze wiesz, że nie mamy miesiąca. Musimy polegać na zbiórkach. Mówiłeś, że rzecznik napisze artykuł o Róży i wrzuci na stronę wojewódzkiej.

– Tak. Jutro mu się przypomnę.

– To nie przeszkodzi ci w pracy?

Spojrzał na nią wymownie.

– W dupie mam pracę, skoro nie pozwala mi ratować własnego dziecka!

Odwrócił się i poszedł pod prysznic. Nie chciał się kłócić z Amelią, ale ostatnio było to coraz trudniejsze.

²³ Ruchacze – funkcjonariusze wydziału ruchu drogowego.

²⁴ Pompa – alkomat.

Rozdział 9

Siedział w pokoju naczelnika, wciąż przecierając oczy. Rozmowa z Amelią sprawiła, że nie mógł zasnąć.

– Dobra, zaczynamy – powiedział Bandura.

Dziś wyglądał jeszcze gorzej, zresztą jak wszyscy. Marek zastanawiał się, jak długo wznosili toasty za Witę.

– Brakuje Pawła – zauważył Barczyński.

– Pisał, że dzisiaj nie da rady – odpowiedział naczelnik.

– Serio? Przecież zaciął się na tego chuja.

– Zaciął to się nam, jak poszedłeś – skomentował Czarny.

– Co masz na myśli? – Marek spojrzał na niego pytająco.

– Ujechał się jak zły – dodał z uśmiechem Mączyński jakby dumny z Pawła.

– Ty też, jak się domyślam, mimo to jesteś! – warknął Barczyński.

Mączyński spoważniał, ale nic nie odpowiedział.

– Bełkotał jakieś farmazony. Nikt nie mógł go zrozumieć.

– Był najbliżej Wity. Może powiedział coś ciekawego – zauważył Marek.

– Chuja tam! – Bandurę wyraźnie irytowała ta dyskusja. – Odcięło go i pierdolił o jakiejś zwierzynie.

– Zwierzynie? – Marek zmarszczył brwi.

– O niedźwiedziu – wtrącił Marian Krystek, aspirant sztabowy.

– Co?

Marian podniósł głowę i zmarszczył brwi. Światłowstręt był jednym z objawów mocnego kaca.

– Mówię, że najebany Kruško pierdolił coś o niedźwiedziu. – Aż sapnął ze zmęczenia.

– Jesteś pewien? – Marek się zaniepokoił.

– Taaa. – Marian Krystek od prawie trzydziestu lat służył w policji, a od piętnastu polował. – Jak tylko usłyszałem, że gada coś o zwierzynie, to

się zainteresowałem. Pomyślałem, że będę miał kompana do moich tematów, ale nie chodziło mu o prawdziwego niedźwiedzia.

– Jak to nie? – wtrącił Czarny.

– Skąd wiesz? – Marek zignorował pytanie Czarnego.

Marian spojrzał na Barczyńskiego z irytacją.

– Bo jestem, kurwa, myśliwym! Cokolwiek Kruško pierdolił, na pewno nie miał na myśli dzikiej zwierzyny.

Pewnie, że nie miał. Ta cipa boi się nawet królika – pomyślał wrednie Marek. Owszem, Łukasz Niedźwiedzki był gruby, brzydki, a nawet owłosiony, ale w systemie nadal widniał jako człowiek. Tylko czemu Kruško wspominał o nim po pijaku? Marek myślał, że ten temat jest już załatwiony.

Potrząsnął głową, aby wrócić do rzeczywistości. Bandura właśnie wydawał dyspozycje. Musiał przynajmniej udawać, że słucha.

Rano komenda wojewódzka ponownie wyruszyła w miasto. Marek był zaskoczony ich profesjonalnym podejściem: pełne skupienie, zero narzekań i mozolnych ruchów. Punkt szósta ponad tuzin eleganckich, luksusowo pachnących kryminalnych opuściło parking komendy. Z powiatowymi było trochę trudniej. W trakcie odprawy wypili swoje kawy i zebrali się jakieś dwadzieścia minut później. Niektórzy zostali na miejscu. Wciąż mieli wiele rzeczy do zrobienia. Nie udało się im przejrzeć całego monitoringu i nie uda przez kolejne kilka dni. Na szczęście wszystkie najważniejsze miejsca mieli zabezpieczone i sprawdzone. A raczej prawie wszystkie. Sąsiad Wity z naprzeciwka miał monitoring, ale nie pamiętał hasła – musiał poprosić o pomoc syna, który był w pracy i nie odbierał telefonu. Zapewnił policjantów, że jeśli chodzi o jego sąsiada, pana Witczyńskiego, to sam jak najszybciej dowiezie materiał na komendę. Koniec końców nie dowiózł, a teraz Marek z Czarnym jechali się o niego upomnieć.

Następnie cały wydział miał wywołać spotkanie z każdym znanym im ucholem. Nawet z takim, który nie dawał o sobie znać przez kilka miesięcy. Bary i Czarny będą mieli sporo roboty, bo łącznie znali z ośmiu typków, którzy musieli z nimi porozmawiać, mniej lub bardziej chętnie. W takiej sprawie poszanowanie ucholi schodziło na drugi plan. Nawet jeśli miałyby

to zakończyć ich dotychczasową współpracę, to nie mieli z tym większego problemu. Cel był jeden. A sposób, w jaki go zrealizują? Bez znaczenia.

– Ale jak to? Przecież sam zawiozłem nagranie na komisariat! – powiedział zaskoczony Janusz Suchacz, gdy zobaczył w drzwiach dwóch policjantów.

Na komendę, baranie jeden – pomyślał Czarny. Zawsze drażnił go elementarny brak wiedzy na temat jedyne go budynku policji w tym mieście. Komisariaty to najmniejsze jednostki organizacyjne. Działają w obrębie gminy, miasta lub – w przypadku znacznie większych miast – dzielnicy. Komendy natomiast to jednostki nadrzędne i dzielą się na powiatowe, miejskie i wojewódzkie, a ich pozycja w hierarchii i liczba personelu rosną zgodnie z podaną kolejnością.

– To komu pan je przekazał? – zapytał równie zdziwiony Marek.

– A bo ja wiem? Mówił nazwisko, ale ja nie mam głowy do takich rzeczy. Panie, mam pięćdziesiąt sześć lat, cukrzycę i reumatyzm. Kolana mnie tak napier...

– A jak wyglądał? – Czarny przerwał mu z uśmiechem. W karierze już się nasłuchał o licznych chorobach swoich rozmówców.

– Chuj go wie. Taki nijaki. Dość chudy jak na psa, to znaczy policjanta – poprawił się szybko mężczyzna.

Bary i Czarny nie zareagowali.

– W ogóle taki trochę pizdowaty. O, czekaj pan! – Mężczyzna podrapał się po łysinie. – Kuśka! – krzyknął, wyraźnie dumny, że sobie przypomniał.

Czarny parsknął śmiechem. Suchacz spojrzał pytająco na Barczyńskiego.

– Rozmawiał pan z Pawłem Kruską – sprostował Marek.

– No przecie mówię.

– A ma pan może kopię tego nagrania? – zapytał Marek, ignorując wciąż śmiejącego się Czarnego. Będzie wałkował dowcip jeszcze przez wiele dni.

– Ta. Syn zgrał mi na pulpit. Mówił, że jak znowu przyjadą policjanci, to wystarczy to skopiować czy jaki pierun.

– Na pulpit. I tak, wystarczy skopiować. Pozwoli pan, że wejdziemy?

– Wchodźta, jak musita. – Machnął dłonią. – Dam wam numer do syna, bo tam ponoć ten film jest w kilku częściach. On wam wszystko

wytłumaczy.

Marek zadzwonił do młodego Suchacza:

– Dzień dobry, Marek Barczyński, wydział kryminalny w Bytomcu. Dzwonię w sprawie nagrań.

– A witam, ale tata chyba już je zawiózł na komendę.

Barczyński nienawidził tłumaczyć się z takich rzeczy.

– A jest szansa znowu je zgrać?

– Nie dam rady podjechać, ale podam panu hasła do aplikacji, dobra? Pozwoliłem sobie obejrzeć nagranie, bo panowie pewnie mają co robić. Do powrotu pana Witczyńskiego z pracy, czyli do szesnastej, nic się nie działo. Do tego momentu łącznie przejechało pięć samochodów i wszystkie sąsiadów. Zdarzyło się kilka ciekawych rzeczy, które porzbiąłem na osobne pliki. Nagrał się dziwny biegający gość, który zawiązywał buty akurat tuż przed domem policjanta. Był też biały bus, który nieudolnie zakręcał przed domem sąsiadów, a także kilka nieznanymi mi osobówek stojących tuż przed bramą Witczyńskiego.

– Dziękuję.

Było za co. Zaoszczędzili dzięki niemu kilka dobrych godzin.

Chłopak podał hasła i się rozłączył. Marek zgrał pliki na przenośny dysk. Nie zamierzał oglądać nagrań przy tym denerwującym facecie.

Razem z Czarnym podzielili się plikami. Czarny dostał nagrania do godziny osiemnastej, a Marek – do dwudziestej trzeciej. Jakość wideo była zaskakująco dobra, dzięki czemu Czarny mógł odczytać tablice rejestracyjne i sprawdzić je w bazie. Dotarł także do dziwnego biegacza, który okazał się znajomym Czarnego jeszcze ze szkoły – aktualnie uczył matematyki. Biały bus zawracający tuż przed domem Witczyńskich należał do syna tutejszego piekarza. Umówili się z Barym, że każdy z nich zrobi listę potencjalnych świadków wraz z krótkimi opisami sytuacji, w których znaleźli się przed domem Wity. Marek skupił się szczególnie na momencie, w którym Wita wyjeżdżał z domu. Kamera nie obejmowała miejsca, w którym stało zaparkowane bmw kolegi, ale ujęła sam moment odjazdu. Nic specjalnego nie przykuło uwagi Barczyńskiego. Nikt nie ruszył za Witą, choć sam Filip wystartował z piskiem opon.

– Masz coś? – zapytał Czarnego.

– Raczej nie. Spisałem kilku, ale nie robią nic specjalnego. Jeden gość pojawia się kilka razy, ze cztery. Parkuje przed domem gościa od monitoringu i grzebie coś w telefonie.

– U mnie też za dużo nie ma. Sprawdziłeś to auto?

– Land rover należący do – zerknął na kartkę, po czym pokręcił głową z dezaprobatą – kurwa, ale ja paskudnie piszę... Niedźwiadzki – przeczytał powoli.

Marek podniósł głowę i spojrzał na Czarnego.

– Niedźwiadzki czy Niedźwiedzki?

– Kurwa! – warknął Czarny. – Czekaj, sprawdzę jeszcze raz.

Marek zaczął się denerwować. A co, jeśli już na samym początku mieli sprawcę i go wypuścili?

– Łukasz Niedźwiedzki.

– Kurwa! – Marek zerwał się z fotela. – Zbieraj się, jedziemy.

– Gdzie?

– Zbrój się, powiem w aucie.

Czarny posłusznie podszedł do pancерnej szafy, wyjął broń i wsadził do kabury, która przylegała do jego ciała. Lekko za długa koszulka wystarczyła, by zakryć całość²⁵.

– Bransolety²⁶ też brać? – zapytał Czarny.

– Nie, wszystko mam. Chodź.

W samochodzie Marek opowiedział Czarnemu o akcji z Pawłem i Niedźwiedzkim. Zaznaczył, że ten drugi zapewniał ich o swojej niewinności, ale jakoś nie wspominał o tym, że w dniu morderstwa obserwował chatę Wity. Według Marka pojawiła się podstawa prawna do zatrzymania Niedźwiedzkiego chociażby na cztery osiem²⁷. Obawiał się, że przez to wyjdzie na jaw ich krzywa akcja na własną rękę, ale cel uświęcał środki.

Nawet nie zauważył, kiedy stał się makiawelistą. Pewnie w trakcie zdobywania – i to za wszelką cenę – pieniędzy na ratowanie córki.

Niedźwiedzki mieszkał sam. Duży nowobogacki dom i brak stałego zatrudnienia potwierdzał przypuszczenia co do jego profesji. Ale budynek

był zamknięty na cztery spusty. Nikt nie reagował na pukanie, dzwonienie, a nawet okrzyki „policja”. Po kilku minutach uciążliwego walenia w drzwi z domu obok wyszła starsza kobieta, która stwierdziła, że nie widziała Niedźwiedzkiego od dwóch dni. Próbowali wypytać ją bardziej szczegółowo, ale tylko utyskiwała na hałaśliwego sąsiada, który „wiecznie imprezuje i sprowadza typów spod ciemnej gwiazdy”.

Marek i Czarny postanowili, że przyjrzą się bliżej Niedźwiedzkiemu. Może uda się go znaleźć po telefonie. Ale najpierw musieli zaliczyć kilka spotkań z uchołami. Zbliżała się jedenasta, pozostali pewnie już dawno byli po swoich rozmowach.

²⁵ W Polsce ustawa zakazuje noszenia przeładowanej broni. Wprowadzenie naboju do komory możliwe jest dopiero wtedy, gdy występuje podstawa do użycia lub wykorzystania broni.

²⁶ Bransolety – kajdanki.

²⁷ Cztery osiem – czterdzieści osiem godzin, czyli okres zatrzymania sprawcy czynu zabronionego. W niektórych przypadkach można go wydłużyć do siedemdziesięciu dwóch godzin, jeśli zatrzymany zostanie przekazany do dyspozycji sądu.

Rozdział 10

Ich uchole nie mieli nic interesującego do powiedzenia – inni policjanci też nie przynieśli nic wartościowego. Krzyki, a nawet obietnice głębszego przyjrzenia się ich osobom nie poskutkowały. Albo nagle wszyscy nabrali wody w usta, albo naprawdę nic nie słyszeli o morderstwie Wity. Jedno i drugie świadczyło o tym, że zrobił to ktoś znacznie poważniejszy niż byle ulicznik – tylko tacy nie dopuszczali do siebie płotek, które dadzą z ucha przy najbliższej okazji. Marek wiedział, do kogo się zwrócić. Akurat był wtorek, musiał tylko poczekać do czternastej.

Tymczasem zbillingowali numer Niedźwiedzkiego. Bandura pytał, dlaczego akurat jego, ale Marek go zbył: „Sprawdzamy każdego, Jacek”. Taka odpowiedź mu wystarczyła. Nieważne jak – mieli znaleźć mordercę i kropka.

Esemes od Amelii przypomniał mu o prywatnych problemach. Marek najpierw zadzwonił do rzecznika, który zapewnił go, że artykuł o jego córce będzie już dzisiaj i na stronie komendy wojewódzkiej, i na wszystkich portalach społecznościowych. Następnie wszedł na stronę zbiórki i odnalazł wpłaty Samca Alfa. Faktycznie, dziewięć pojedynczych wpłat, każda kolejnego dnia i każda zaokrąglona do pełnego tysiąca. Największa wynosiła sześć tysięcy złotych i powtórzyła się dwa razy, natomiast najmniejsza to tysiąc, aż trzykrotnie. Marek pokiwał głową z szacunkiem. Zastanawiał się, czy nawet jeśli byłby bogaty, to przekazałby taką sumę obcym ludziom.

Próbował wejść w szczegóły przelewu, ale widział tylko informację „płatność anonimowa”. Zadzwonił na infolinię, ale nic nie wskórał. Ochrona danych osobowych. Wiedział, jak może uzyskać odpowiednie dane, ale to byłoby już grube przegięcie z jego strony. Wystarczyło użyć legitymacji służbowej. To jednak oznaczałoby, że nie jest policjantem, tylko przestępcą.

Jak w każdy wtorek o godzinie czternastej Lektor położył na pomniku czerwoną różę i usiadł na drewnianej ławeczce. Wiele lat temu Marek widział, jak ten osobiście ją montował. Szpakowaty mężczyzna wolno i metodycznie przesunął dłonią po swoim ciele. Kolejno dotykał czoła, klatki piersiowej, lewego, a następnie prawego ramienia. Październikowy wiatr sprawił, że schował ręce do kieszeni płaszcza. Teraz będzie tak siedział przez co najmniej piętnaście minut. To była jego chwila ciszy.

Marek postanowił mu nie przeszkadzać – jak zawsze. Miał czas. Czarnego zostawił na komendzie. Powiedział mu, że ma do załatwienia sprawy rodzinne. Nikt z wydziału nie wiedział, że jego najważniejszym ucholem jest sam Lektor. Tak samo nie mógł pozwolić, aby dowiedzieli się o tym policjanci z innych jednostek, w tym ci z CBŚP. Szybko spróbowaliby go zwerbować, a przecież Lektor zapewnił kiedyś Marka, że albo będzie współpracował z nim, albo z nikim. Miasta nie było stać na taką stratę. To dzięki temu kontaktowi Marek zatrzymał wielu bandytów, którzy chcieli podbić Bytomiec narkotykami i przemocą.

Swego czasu Edmund Lektoryński trząsł nie tylko całym miastem, ale także pobliskimi gminami. Zajmował się wszystkim, co nielegalne. Zaczynał od przemytu tytoniu, alkoholu i narkotyków, później przyszedł czas na rozboje, a nawet porwania i handel ludźmi. W pomysłowości i bezwzględności nie miał sobie równych. Wśród policjantów słynął z ekstrawaganckiego podejścia oraz umiejętności stworzenia wokół siebie hermetycznego środowiska. Gdy tylko jakieś przestępstwo cechowało więcej polotu niż zwykłe wyłamanie drzwi, od razu wiedzieli, że Lektor lub jego ludzie brali w tym udział. Problem polegał na tym, że trudno było im cokolwiek udowodnić. Niektórzy tłumaczyli to geniuszem Lektora, inni obwiniali skorumpowanych gliniarzy, którzy kryli bandytę i jego ludzi. Lektor siedział tylko raz. Jak się później okazało, prawdopodobnie zrobił to celowo, by zagwarantować sobie niepodważalne alibi na czas największej masakry w historii miasta.

W dziewięćdziesiątym piątym w Bytomcu pojawiła się ekipa Romów, którzy postanowili przywłaszczyć sobie połowę miasta. Zaczęli handlować wszystkim, co akurat mieli na stanie. Dopóki sprzedawali noże i zegarki, Lektor nie miał z tym problemu. Jego podejście zmieniło się, gdy

w asortymencie konkurencji pojawiły się spirytus i ruskie papierosy. Pojechał na dyplomatyczną rozmowę z królem społeczności, ale Romowie w odpowiedzi zaczęli opychać jeszcze heroinę. Wyjątkowo opanowany Edmund wciąż chciał z nimi negocjować, lecz w swojej pogoni za pieniędzmi zrobili w końcu krok za dużo. Rok później, gdy ekipa Romów rozrosła się o kilkunastu nowych członków, zabawili się w jednym z lokali Lektoryńskiego. Gadzio²⁸ nie miał wstępu na imprezę. A Romowie w dzikim szale – spotęgowanym alkoholem i heroiną – najpierw brutalnie pobili kucharza i sześć kelnerek, po czym zabrali im klucze. Kelnerkom kazali tańczyć na stole, a później zażądali, by się rozebrały. W razie nieposłuszeństwa grozili śmiercią... Ale to też było za mało. Po zmuszeniu pracownic do zrobienia loda kucharzowi trzech najbardziej agresywnych rzuciło się na mężczyznę. Tłukli go tak długo, aż ten przestał oddychać. Półnogie kelnerki płakały, modląc się o przeżycie. Wtedy Romowie rozpoczęli gwałt zbiorowy. Po wszystkim opuścili lokal, zostawiając na drzwiach napis „*Romanipen*”²⁹. Z życiem uszły jedynie dwie kelnerki, w tym siostrzenica Lektoryńskiego. Obie odmówiły zeznań i jakiegokolwiek współpracy z policją. A ta dokonała kilku zatrzymań, ale brakowało twardych dowodów.

Siostrzenica ze szczegółami opowiedziała Lektorowi o wydarzeniach z tamtej nocy. Na szczęście Romowie nie mieli pojęcia, kim była. Lektor słuchał i milczał, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Niedługo potem Julia wróciła do swojego mieszkania i powiesiła się na klamce od drzwi. Trzy dni później Lektoryński został zatrzymany za zaatakowanie policjanta na służbie. Jednym ciosem złamał nos posterunkowemu Kapelczakowi, który dopiero zaczynał swoją przygodę w policji. W pomieszczeniu dla osób zatrzymanych spędził czterdzieści osiem godzin, po czym w trakcie przesłuchania przyznał się do naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariusza, okazał skruchę i obiecał poprawę. Dobrowolnie poddał się karze. Cały wydział kryminalny chciał mu przyklepać³⁰ przestępstwa, o które go podejrzewano. Ale ten tylko uśmiechał się i twierdził, że wszystko to marne pomówienia. Zresztą szybko się okazało, że nie ma czasu na rozmowy. Gdy Lektoryński siedział, spłonął cały blok zasiedlony wyłącznie przez Romów, w tym rywalizującą z nim grupę przestępczą. Co dziwne, nikt nie zdołał uciec z pożaru.

Edmund Lektoryński dostał rok bezwzględnego pozbawienia wolności, po czym opuścił dołek – karę miał odbyć w przyszłości. Sekcja ciał ofiar pożaru wykazała obecność w nich chlorometanu. Pożar wybuchł w nocy, co oznaczało, że ktoś uspił mieszkańców za pomocą gazu, po czym podpalił budynek. Ogień pochłonął cały blok w zaledwie trzydzieści minut. Nie znaleziono sprawcy lub sprawców podpalenia. Dopiero kilka lat po zdarzeniu zaczęły spływać informacje, że to była sprawka Lektora. Jedni twierdzili, że przekupił policjantów, by na kilka godzin pozwolili mu opuścić dołek – oczywiście bez zapisania tego gdziekolwiek – inni byli przekonani, że zatrzymano kogoś podającego się za Lektoryńskiego i legitymującego jego dowodem osobistym. Ale po kilku latach znajomości z Lektorem Marek wiedział, że jeśli chodzi o niego, żadne odpowiedzi nie mogą być proste. Jak choćby w kwestii jego pseudonimu. Oczywiście powszechnie uważano, że pochodzi on od nazwiska. Ale Lektor tuż po wymierzeniu kary swoim wrogom podobno pochylał się nad nimi i argumentował swoje zachowanie. Na wpół żywy mężczyzna, często pozbawiony którejś części ciała, taplał się we własnej krwi i słuchał, co sprawiło, że znalazł się w takiej sytuacji. A monolog ten, prowadzony niskim głosem, z odpowiednią modulacją i teatralną dykcją, mógł trwać i kilkanaście minut, co dla ofiary było wiecznością. Marek nie wnikał w takie niuanse. Wystarczało mu, że miał do czynienia z najpoważniejszym bandytą w swojej karierze. Ale że los potrafi być przewrotny, pewne wydarzenia sprawiły, że uważał Lektora za swojego przyjaciela. Jedyne i niepodważalne.

– Zmarzniesz – usłyszał nagle charakterystyczny niski głos. – Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział spokojnie mężczyzna z bezbłędną dykcją, poprawiając poły płaszcz.

– Musiałem, panie Edmundzie.

– Pytaj więc, przyjacielu. – Uśmiechnął się delikatnie.

– Kto?

– Nikt tego nie wie. Ten, który zabił waszego, nie pochodzi z tego miasta.

– To skąd?

Lektor spojrział na niego wymownie.

– Gdybym wiedział, wiedziałbym też, kim jest.

– Jaki cel miałby w tym obcy gość?

– Nie wiem.

Lektor spojrzał Markowi w oczy. Jego spojrzenie mroziło.

– A kto aktualnie rządzi w Bytomcu?

– Nikt. Te czasy dawno minęły.

Mężczyzna spojrzał przed siebie, jakby oddawał się wspomnieniom.

– Ale bandyci nie wyginęli!

– To tylko płotki. Nikt ich nie kontroluje. Tych grupek jest więcej niż krost na dupie zasłużonej prostytutki.

– Panie Edmundzie, to bardzo ważne.

Lektor spojrzał na niego wymownie i westchnął teatralnie, chwytając go za ramię. Ten przyjacielski chwyt miał w sobie więcej siły niż niejedno wrogie uderzenie.

– Posłuchaj, Marek. Postaram się dowiedzieć. Ale nic nie obiecuję. Dobrze wiesz, że od dawna jestem na emeryturze. Przestałem się liczyć w tym czy innym mieście.

Marek wiedział, że gdyby tak było, nie przekazywałby mu co jakiś czas informacji pozwalających na zamknięcie wspomnianych płotek. Mało kto orientował się, który sklep ma być obrobiony czy w której stodole znajduje się samochodowa dziupla.

– Czekaj na mój telefon. Bądź cierpliwy i proszę, nie rób nic głupiego.

Lektoryński poklepał go po ramieniu.

– Mam jeszcze jedną prośbę – powiedział Marek.

Mężczyzna zachęcił go skinięciem głowy.

– Głupia sprawa, ale jestem w ciężkiej sytuacji. Moja córka ma nawrót choroby i znów potrzebujemy pieniędzy. Mamy trochę nazbierane, ale...

– Wybacz, Marku – przerwał mu Lektor – ale nie mam pieniędzy. Jestem tylko starszym panem na emeryturze. To, co widzisz, to iluzja podtrzymująca moją legendę. Nie mogę ci pomóc.

Edmund Lektoryński wyszedł z cmentarza, po czym wsiadł do swojego bentleya.

²⁸ Gadzio (język romski) – obcy, ktoś spoza społeczności.

²⁹ *Romanipen* (język romski) – ogół tradycji romskiej, niepisany kodeks postępowania.

³⁰ Przyklepać – udowodnić winę poprzez zebranie odpowiedniego materiału dowodowego i przedstawienie zarzutu popełnienia przestępstwa.

Rozdział 11

Czarny odwalił kawał dobrej policyjnej roboty, gdy Marek był nieobecny. Szczegółowo sprawdził billing Niedźwiedzkiego – okazało się, że jego komórka przez ostatni tydzień logowała się aż dwadzieścia razy w rejonie miejsca zamieszkania Wity. To oczywiście nie świadczyło od razu o winie, ale Niedźwiedzki mieszkał na drugim końcu miasta. Teraz musieli go znaleźć, co mogło okazać się trudniejsze, niż początkowo zakładali. Marek obawiał się, że niechcący go ostrzegli i Grizzly albo się ukrył, albo zwiął z kraju. Od momentu ich wizyty miał wyłączony telefon. Pewnie kupił nowy i wymienił kartę SIM.

Gdy Czarny opowiadał Markowi o swoich ustaleniach, do pokoju wszedł Bandura i oświadczył, że mają przyjrzeć się Barneckiemu, bo okazało się, że były mąż Iwony Witczyńskiej w chwili morderstwa znajdował się w Polsce.

– Trzeba to zrobić i szybko, i z głową – rzucił Bandura.

– I jak jeszcze? – zapytał Marek złośliwie.

– I srak. Dalej jest w kraju. Chuj go wie, do kiedy. Ale jak dzisiaj po niego pojedziecie, to chuja na niego mamy. Z głową i szybko! – powtórzył komisarz stanowczo.

– Panowie, mam pytanie... – Czarny wychylił głowę zza monitora.

– Co jest? – zapytali zgodnie.

– Co mają ze sobą wspólnego śledź i pieprz?

– Co, kurwa? – Bandura zmarszczył brwi.

Marek przewrócił oczami i westchnął ciężko.

– Śledź swoją, pieprz inną – rzucił Czarny. Ryknął śmiechem, nawet nie patrząc na rozmówców, i pokiwał głową, by docenić swoje poczucie humoru, po czym bez słowa wrócił do analizowania połączeń.

– Całe życie z debilami – skonstatował Bandura, zamykając za sobą drzwi.

Marek spojrział z uśmiechem na Czarnego, ale ten był już w zupełnie innym świecie. Wpatrywał się w monitor, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło.

Miał dobre stosunki z Jackiem, dlatego przełożony pozwolił mu urwać się na godzinę. Zresztą i tak nie opuściłby wizyty córki u onkologa, nawet jeśli miałyby się to skończyć walką na noże i zwolnieniem lekarskim.

– Jasne, Marek, nie ma problemu. Tylko wcześniej podjedź z Czarnym przed dom Barneckiego. Oficjalnie jest naszym kolejnym figurantem³¹. Sprawdźcie, jakim autem jeździ i z kim może mieszkać – zastrzegł Bandura.

Do wizyty zostały dwie godziny. Szybka akcja i będzie mógł wspierać córeczkę. Żałował Wity i jego rodziny, ale nic nie było ważniejsze od Róży.

³¹ Figurant – osoba, którą interesuje się policja.

Rozdział 12

Z drogi, pecie³², Czarny jedzie! – krzyknął radośnie policjant, dodając gazu. Skręcił w kierunku młodego funkcjonariusza, który musiał odskoczyć. Przerażenie w jego oczach uradowało Czarnego.

– Byłeś z tym u lekarza? – zapytał Marek niewzruszony.

– Tak, najpierw się popłakał, a później kazał mi wypierdalać.

Czarny odwrócił się w stronę kolegi i przekrzywił głowę w lewą stronę. Kilka razy poruszył nią szybko, jakby dostał drgawek.

– To skoro na głowę za późno, to idź chociaż na nogi.

– Na nogach to niech się nauczy chodzić ten sierściuch³³ jebany! – krzyknął Czarny, tym razem kierując głowę w stronę uchylonej szyby. – Założą te pierdolone taktyki³⁴ i szeryfów udają!

Spojrzał w lusterko i upewnił się, czy młody na pewno słyszał jego wrzaski. Ten, zdenerwowany, podniósł gwałtownie latarkę i wszedł do budynku. Gdy Czarny siedział za kierownicą, policyjny parking nie był bezpiecznym miejscem dla nowych funkcjonariuszy. Starszy policjant miał z nimi problem, choć nigdy nie wytłumaczył Markowi jego genezy.

Czarny uśmiechnął się szeroko i wrzucił wsteczny bieg.

– Krzychu, kurwa!

Funkcjonariusz uśmiechnął się jeszcze szerzej. Użycie przez Marka jego imienia oznaczało wysoki poziom wkurwienia, a Czarny lubił ten stan. Podjechał w miejsce, gdzie wcześniej posterunkowy ratował swoje życie, zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z pojazdu. Zrobił kilka kroków w kierunku trawnika i coś podniósł. Wrócił do samochodu, nucąc melodię, której Marek nie znał. Dumnie pomachał zdobyczą przed oczami kolegi.

– To wszystko dla kajetu³⁵ jakiegoś kota?

– To wszystko dla paniki i chaosu.

Schował notatnik do kieszeni kurtki i ruszył w kierunku bramy wyjazdowej.

– Serio, zbadaj się – rzucił Marek. – A teraz zapierdalaj pod dom Barneckiego. Tylko tak, żeby nas nie zauważył.

– Spoko loko, partnerze.

– Poruchałeś, że masz taki dobry humor?

– Ta, tylko muszę uważać.

Czarny przyłożył do czytnika kartę dostępu.

– Czemu?

– Bo seks jest jak pieczenie ciasta. Za późno wyciągniesz i musisz skrobać – powiedział poważnie, obserwując reakcję rozmówcy.

– Kurwa, Czarny. – Marek się skrzywił i westchnął rozczarowany.

Czarny wkurwiał go swoim aroganckim podejściem do wartości takich jak dziecko czy rodzina. Wiedział, że to tylko żarty, ale dla niego i tak były zbyt mocne. Czarny nie miał ani dzieci, ani żony. Może dlatego nie potrafili się dogadać w tej kwestii. Musiał jednak przyznać, że żarty Czarnego obejmowały każdą możliwą dziedzinę. Tak, lubił go, ale z upływem czasu miał coraz mniejszą tolerancję na jego dowcipy.

– Lubisz to, suko! – krzyknął Czarny, gwałtownie przyśpieszając.

³² Pet – posterunkowy.

³³ Sierściuch/kot – młody funkcjonariusz policji, zazwyczaj będący jeszcze w trakcie służby przygotowawczej.

³⁴ Taktyk – kamizelka taktyczna.

³⁵ Kajet – notatnik służbowy.

Rozdział 13

Dzwoń po jakąś sukę i włączaj bomby! – wykrzyczał Czarny podekscytowany.

– Zluzuj. Jeszcze nas nie zauważył. Jedź za nim, zobaczymy, co się wydarzy.

– Kurwa, na co tu czekać?! Mamy chuja!

– Jedź, a ja zadzwonię do dyżurnego, czy ma jakieś pieczary³⁶ w rejonie. Zatrzymają go, a my przejmujemy.

– Pizda – mruknął Czarny.

Marek zignorował przytyk i wybrał numer do dyżurnego.

Gdy jechali do domu Barneckiego, na skrzyżowaniu Marcinkowskiego z Moniuszki zauważyli stojącego na światłach land rovera Niedźwiedzkiego. Z daleka nie widzieli dokładnie, kto siedzi za kierownicą, ale Grizzly nie należał do osób chętnie dzielących się swoimi rzeczami, zwłaszcza terenowym autem. Dyżurny z przekąsem stwierdził, że nie ma żadnego wolnego patrolu, nie wspominając o drogówce.

– Dobra. Włączam bulaje i się zobaczy.

Czarny pokiwał głową. Już się nie uśmiechał. Na jego twarzy pojawił się grymas świadczący o pełnym skupieniu. Zacisnął palce na kierownicy, przyśpieszył i zbliżył się do land rovera na jakieś pięć metrów. Marek otworzył boczną szybę i położył na dachu koguta, po czym włączył sygnały. Modulowany dźwięk syreny widniejący pod nazwą „wilk”³⁷ rozniósł się po okolicy. Jak mogli się spodziewać, uzyskali efekt odwrotny do zamierzonego. Pojazd przed nimi gwałtownie przyśpieszył.

– No to jedziemy z koksem! – krzyknął Czarny.

Wcisnął gaz do samej podłogi. Na szczęście dzisiaj do służby pobrali kłopotliwy sportage, stworzoną do pościgów. Techniczne szanse były równe, teraz znaczenie miały umiejętności kierowcy oraz losowe zdarzenia drogowe, takie jak czerwone światła, korki, piesi, psy, koty, a nawet dziury w drodze.

Pojazd uciekał coraz szybciej. Mknęli przez teren zabudowany z prędkością blisko stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Zero zero do siedemdziesiąt – zgłosił Marek przez radiostację.

– Zgłaszam dla siedemdziesiąt – odpowiedział mu zmęczony głos oficera dyżurnego.

– Mamy pościg. Pojazd nie zatrzymał się do kontroli drogowej. Jedziemy ulicą Marcinkowskiego w kierunku wylotu z miasta. Czarny land rover o tablicach Barbara, Tomasz, Anna, dwadzieścia trzy, dziewiętnaście, Justyna.

Czarny gwałtownie skręcił w prawo. Uciekający kierował się do lasu, gdzie będzie próbował ich zgubić.

– Przyjąłem, siedemdziesiąt. Wysyłam wsparcie. Mów na bieżąco, gdzie jesteś.

– Skręciliśmy w prawo. Jedziemy polną drogą w kierunku starego cmentarza.

– Przyjąłem.

Land rover podskoczył na koleinach. Po chwili to oni wjechali w dziurę i podskoczyli, by uderzyć głowami o dach samochodu.

– Kurwa! – krzyknął Marek.

– W porządku?

– Ta, tylko szczekaczka³⁸ mi przyjebała.

– Zajebię w niego! – powiedział Czarny, widząc, że uciekający zwalnia.

– Nie! – zaprotestował Marek.

– To jebnij z klamki³⁹!

– Ogarnij się!

– Kurwa, Marek! To jak mamy go zatrzymać?!

Land rover znowu przyśpieszył i tym razem skręcił w lewo. Wjechał w wąską leśną drogę. Nie jechali szybko, ale przy tak gęsto rosnących drzewach po obu stronach drogi odczuwalna prędkość była dwukrotnie większa.

– Zero zero, jedziemy leśną drogą w stronę wysypiska śmieci.

– Ja trzydzieści. Jedziemy do was. Wjedziemy od strony wysypiska.

– Ja dwadzieścia pięć, my jedziemy od strony miasta. Wjeżdżamy w las. Widzimy błyski.

– Kurwa! – krzyknął Marek chwilę przed uderzeniem.

Land rover z impetem uderzył w coś, co wbiegło na drogę. Ciało zwierzęcia odbiło się od maski i wyleciało w górę na ponad dwa metry. Czarny nie zdążył wyhamować i wjechał prosto w tył terenówki, którą siła uderzenia przesunęła o kilka metrów. Przód radiowozu został zmiażdżony przy akompaniamencie metalowego chrzęstu. Marek poczuł silne uderzenie w twarz. Po chwili, gdy pisk w uszach i czarne plamy przed oczu zniknęły, zrozumiał, że wystrzeliły poduszki powietrzne. Odpiął pas i otworzył drzwi. Poczuł przeszywający ból w całym ciele, zakręciło mu się w głowie. Przyklęknął na lewe kolano i spojrzał w stronę rozbitego land rovera. Drzwi od strony kierowcy otwierały się powoli.

Marek kątem oka spojrzał na Czarnego. Ten trzymał się za czoło i szarpał z pasami bezpieczeństwa. Żyje – pomyślał z ulgą i podbiegł do drzwi kierowcy land rovera.

Kierowca poruszał się chaotycznie, jakby zapomniał, jak się wysiada z samochodu. Marek szarpał drzwiami. Na widok mężczyzny zdębiał, a ciężar opierdolu wiszącego w powietrzu przygniótł jego barki.

– Kim ty, kurwa, jesteś?!

³⁶ Pieczary – policjanci wydziału ruchu drogowego.

³⁷ Radiowozy policyjne wyposażone są w kilka rodzajów syreny, a każdy z nich ma przypisaną nazwę. Wyboru można dokonać za pomocą panelu.

³⁸ Szczekaczka – mikrofon radia policyjnego.

³⁹ Klamka – policyjna broń służbowa.

Rozdział 14

Popierdoliło was do reszty?! – grzmiał przez telefon Bandura.

– Jacek, chcieliśmy dobrze. – Marek próbował załagodzić konflikt.

– Jakie dobrze?! Jakie, kurwa, dobrze?! Rozjebaliście służbowe auto, rozjebaliście auto cywila i jeszcze, kurwa wasza mać, chcesz mi powiedzieć, że się pomyliliście?! Gdzie jest ten pierdolony Niedźwiedzki?!

– Nie wiem, Jacek. To na pewno jego auto, ale za kierownicą mamy jakiegoś szczyła.

Marek spojrział na Czarnego, który siedział na leżącym na brzuchu szczupłym chłopaku. Twarz kierowcy była pokryta liśćmi, ziemią i sporą ilością krwi.

– I jak my się z tego wytłumaczymy?

– Normalnie. – Marek wzruszył ramionami. – Koleś nie zatrzymał się do kontroli, a to przestępstwo⁴⁰. Podstawę mamy.

– Do czego ty masz podstawę, do chuja?! Do rozjebania dwóch aut i pewnie jeszcze siebie i jakiegoś gówniarza?

– Do zatrzymania przestępcy, który nie zatrzymał się do kontroli drogowej. – Marek miał już dość krzyków przełożonego. – Nie wiem, czemu miał auto Niedźwiedzkiego, i nie wiem, dlaczego uciekał, ale się dowiem. A ty, zamiast się na mnie wydzierać, powinieneś zapytać, czy jesteśmy cali.

Bandura westchnął głęboko.

– A jesteście?

– Teraz to się pierdol.

Marek odchylił telefon od ucha i sprawdził godzinę.

– Słuchaj, za czterdzieści minut muszę kończyć. Mówiłem ci, że moja mała ma lekarza.

– Marek... – zaczął Bandura, a jego głos był chłodny i ponury, choć chciał brzmieć przyjacielsko: – Po takiej kaszanie nie możesz skończyć

służby.

– Co, kurwa? – Marek zacisnął palce na telefonie.

– Nie wściekaj się, ale dobrze wiesz, jak to wygląda. Jest chryja, muszę przyjechać na miejsce razem z ruchaczami, a po czynnościach musicie ogarnąć łebka i go przesłuchać.

– Czarny ogarnie, już z nim rozmawiałem.

– Przesłuchanie może i ogarnie, ale ja muszę was dmuchnąć⁴¹, a wy musicie zrobić zajebicie mądrą notatkę i przyjąć zjeby od dwójki⁴². Dzisiaj dyżur ma Ręczyński, a wiesz, jaki on jest. Jak zobaczy, że cię nie ma, to razem będziemy mogli podbijać obiegówkę na emkę⁴³.

– Kurwa! – rzucił przez zaciśnięte zęby Marek.

Rozłączył się i szybkim krokiem podszedł do Czarnego.

– Podnieś go.

– Już wiemy, co dalej? – zapytał Czarny, łapiąc chłopaka za lewą rękę.

Ścigany podniósł głowę i spojrzał na policjantów. Spuchnięty, lekko przekrzywiony nos był pokryty ziemią i skrzepami krwi. Chłopak był przestraszony. Wpadł w sidła i nie do końca wiedział, co się dzieje. Potężny cios Marka zwałił go z nóg. Odgłos głuchego plaśnięcia rozszedł się pośród sosen.

– Kurwa! Za co?! – wrzasnął chłopak, wypluwając resztki ziemi z ust.

Za to, skurwysynu, że gdy lekarka poinformuje moją córeczkę o nawrocie raka, ja, zamiast być z nią, będę cię niańczył – pomyślał Marek, a głośno powiedział:

– Za morderstwo.

Chłopak zeszywniał. Natychmiast zapomniał o bólu rozlewającym się po twarzy.

– Co?!

– Gówno. Dostaniesz dwadzieścia pięć lat i społeczeństwo nam podziękuje.

Marek nawet na niego nie patrzył. Zaciskał dłonie w pięści, walcząc z obrazem zapłakanej Róży.

– Albo dożywocie. Za dwadzieścia lat to ty będziesz tam bogiem.

– Kurwa, panowie! Ja nikogo nie zabiłem! – W jego oczach pojawiły się łzy.

– A najgorsze, że jesteś całkiem ładny. – Czarny nie zwracał uwagi na płacz. – Tacy mają najbardziej przejebane. Jak wlecisz na celę jako

świeżynka, to będą się o ciebie zabijać. Co nie, Marek? – Spojrzał na partnera.

Tym razem Marek nie podjął tematu, chociaż zawsze wspierał Czarnego w takich rozmówkach, które często łamały młodych ludzi lepiej niż niejeden służbowy liść⁴⁴. Zrobił tylko kilka kroków w bok, patrząc w stronę lasu.

– Kolega nam odleciał, bo już jednego takiego przystojniaczka mieliśmy. Pewnie wspomina jego pogrzeb.

– Ale ja naprawdę... – Mężczyzna pobladł jeszcze bardziej.

– Ciii! – Czarny przyłożył mu palec do ust. – Tamtego dosłownie zaruchali na śmierć. Przeruchało go tylu kudłatych bydlaków, że gość zwyczajnie nie wytrzymał i zszedł. Na odbycie to mu chyba z dziesięć szwów zakładali, chociaż nie wiem, na chuj trupowi zszyty odbył.

– Proszę pana, ja naprawdę... – Zatrzymany łkał.

– Ale mam dla ciebie wskazówkę! – Czarny się uśmiechnął.

W tym momencie zadzwonił telefon Marka, ale ten nie zwrócił na to uwagi.

– Jak będą wciskali ci do gęby swoje sterczące paałyyy – ostatnie słowo przeciągnął, by obserwować reakcję chłopaka – to wsadź do ryja dwa palce i się zrzygaj. Najlepiej to na maksa. Nie patrz na nic. Z tego, co wiem, ich konie nie lubią brudnych stajni – kontynuował z pełną powagą Czarny.

Gdy Marek usłyszał ostatnie zdanie, wrócił do żywych i podszedł do chłopaka, by dodać:

– A jak będą chcieli cię wyruchać w dupsko, to się zesraj.

– Po błocie nie będą chcieli jeździć – zakończył zadowolony Czarny.

⁴⁰ Od czerwca 2017 roku niezatrzymanie się pojazdu mechanicznego do kontroli drogowej w Polsce jest przestępstwem z art. 178b Kodeksu karnego. Wcześniej nie skutkowało to konsekwencjami prawnymi.

⁴¹ Dmuchać – zbadać trzeźwość. Każdy policjant zgłaszający wypadek na służbie jest badany na zawartość alkoholu w organizmie.

⁴² Dwójka – zastępca komendanta jednostki policji.

⁴³ Emka/ema – emerytura.

⁴⁴ Służbowy liść – uderzenie otwartą dłonią w twarz.

Rozdział 15

Nie dam rady przyjechać, miałem wypadek w służbie. Wszystko ok. Przepras Różę.

Gdy wysyłał wiadomość, miał łzy w oczach. Żadna wymówka nie miała znaczenia. Rozczarowanie córki było bólem, który wypalał blizny na jego sercu. Jak mogło jeszcze bić, skoro jego służba raniła je nieustannie? Nie zliczy rozgoryczeń, spóźnień czy nagłych alarmów, które kradły mu czas przeznaczony dla córki. Czas, który znowu biegł szybko, za szybko. Czy po stracie Róży służba pomoże mu w walce z rozpaczą? Czy przywróci mu stracone chwile? Ale już sobie obiecał: gdy tylko Róża wygra z rakiem, odejdzie na emeryturę. Poświęci czas rodzinie. Ewentualnie pójdzie do pracy na dwa, trzy dni w tygodniu, by odkładać pieniądze na sytuacje takie jak ta.

Młodym kierowcą land rovera okazał się Piotr Marciszak – drobny złodziejaszek mający na koncie kilka włamań do aut czy osiedlowych sklepów. Był napływowy⁴⁵, dlatego Bary i Czarny go nie znali. Marciszak płakał przez całe przesłuchanie. Przekonywał, że nie ma nic wspólnego z morderstwem właściciela pojazdu. Wczoraj jak każdego dnia pił piwo przed sklepem, a później wracał rowerem bocznymi drogami, żeby go – jak to ładnie określił – żadna pała nie złapała. Mieszkał w Rakutnie, pobliskiej wiosce. Gdy jechał polem, zauważył land rovera przy małym zagajniku. Początkowo chciał wybić szybę i oskubać go z fantów, ale okazało się, że auto jest otwarte, a kluczyki w stacyjce. Marciszak stwierdził, że tylko debil by nie skorzystał. Chciał jak najszybciej sprzedać terenówkę, zwłaszcza że nie posiadał prawa jazdy, ale jeździło mu się nią tak dobrze, że przeciągał tę chwilę – aż w końcu wpadł.

Policjanci nie mieli wątpliwości, że złodziejaszek nie miał nic wspólnego ze śmiercią Wity. Do końca przesłuchania był przekonany, że chodzi

o morderstwo właściciela pojazdu, a oni nie zamierzali wyprowadzać go z błędu. Niech dzieciak naje się trochę strachu, może odechce mu się kraść, przynajmniej na jakiś czas.

Materiału dowodowego było tyle, że zamknęli go na czterdzieści osiem godzin. Chcieli zyskać czas na znalezienie Niedźwiedzkiego.

Czas płynął. Czarny i Bary tonęli w kwitach⁴⁶. Spisali protokół zatrzymania osoby, protokół badania na zawartość alkoholu w wydychanym powietrzu, protokół przeszukania pojazdu, protokół przeszukania osoby, postanowienie o przedstawieniu zarzutów, protokół przesłuchania podejrzanego i wreszcie notatkę urzędową opisującą całe zdarzenie. O dziwo, w tej stercie papierów nie było żadnego raportu, które tak chętnie wymieniano w prawie każdym polskim kryminale. Kiedyś, gdy Marek miał więcej czasu, lubił je czytać, choć często drażniły go przeinaczenia oraz brak związku z polskimi realiami.

Z zamyślenia wyrwała go wibracja telefonu. Spojrzał na ekran i odczytał wiadomość od Amelii:

Rak wrócił, musimy natychmiast zacząć chemię. Lekarka powiedziała, że jeśli chcemy szybką i skuteczną, to musi być płatna. Mała jest na ciebie wściekła. Kup jej coś.

Poczuł, że serce mu zamiera. W oczach pojawiły się łzy. Znow rozpoczął się wyścig o życie córki. Tym razem przystępowali do niego zmęczeni, kontuzjowani, bez zapasu sił, chęci i pieniędzy.

Koszmar powrócił.

Jak zwykle wracał do domu rowerem. Tym razem musiał wstąpić do jakiegoś sklepu i kupić coś córce. Dzisiaj potrzebowała ojca, a on zawiódł. W głowie miał tylko jedną myśl: pieniądze.

Nie miał już nic cennego, kredyt też odpadał. Spłacali jeszcze poprzedni, a żaden bank nie da im kolejnego. Brat Marka pracował jako nauczyciel i jego pensja nawet nie dorównywała zarobkom funkcjonariusza. Michał wprawdzie mieszkał sam, ale też spłacał kredyt, który wziął ostatnim razem dla Róży. Marek był mu za to wdzięczny – walczył z nimi ramię w ramię, oddawał ostatnie pieniądze, organizował zbiórki w pobliskich szkołach...

Teraz poprosi go o wznowienie zbiórek. Ale to wszystko będzie zbyt wolne. Potrzebowali pieniędzy na już.

Nie mógł się skupić. Odgłosy miasta nie pozwalały mu myśleć. Co chwilę jakiś niecierpliwy kierowca trąbił, szczęśliwe dzieci biegały i śmiały się bez troski. Kobiety plotkowały i chichotały przy tym, jakby usłyszały świetny kawał. Marek miał wrażenie, że każda osoba w pobliżu tętni pozytywną energią – przesadną, przytłaczającą. Odetchnął głęboko i podjął decyzję. Potrzebował ciszy.

Jego ulubiony staw był na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło przejechać siedemset metrów w kierunku wylotu z miasta. Wprawdzie nie miał przy sobie żadnych rzeczy do morsowania, ale tym razem to nie stanowiło przeszkody.

Październikowe popołudnie było chłodne, lecz nie zimne – poważny minus. Marek lubił zanurzać się w czasie mrozów. Im chłodniej, im trudniej, tym przyjemniej dla głowy. Najlepsze efekty osiągał, gdy musiał kruszyć lód.

Najpierw powinien zrobić drobną rozgrzewkę, ale nie miał na to ani czasu, ani chęci. Rozejrzał się i sprawdził, czy nikogo nie ma w pobliżu: zabłąkanych staruszek czy pary nastolatków na pierwszej randce. Rozebrał się do naga i bez wahania wszedł do wody. Ostry, lecz przyjemny chłód zaatakował po kolei stopy, uda, brzuch i klatkę piersiową. Przykucnął, by barki znalazły się pod wodą. Wyrównał oddech. Przez moment zastanawiał się, czy nie zanurzyć głowy, ale myśl, że wraca rowerem, go otrzeźwiła.

Dziś cisza nie będzie celem, lecz środkiem. Ma piętnaście minut, żeby coś wykombinować. Jeśli nie poradzi sobie w tak sterylnych warunkach, to tym bardziej nie uda mu się to w domu, gdzie będą mu towarzyszyły smutek, rozpacz i złość. I nie chodziło o rozwikłanie zagadki śmierci Wity. Tak, chciał znaleźć mordercę. Ale dziś? Dziś miał większy problem. Jego córka umierała, a on nie mógł jej pomóc.

– Okradnę bankomat – wypalił.

Ta myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Owszem, jako gliniarz wiedział, jak dostać się do bankomatu, ale nadal zamierzał pozostać po jasnej stronie mocy. Chociaż... w takim bankomacie może znajdować się nawet trzysta tysięcy. Zamiast skupiać się na zarabianiu, mógłby w pełni oddać się wspieraniu córki.

Wszelkie kasyna czy zakłady bukmacherskie także odpadały. Nie miał złudzeń, że można tam coś zarobić, jeśli nie jest się ich właścicielem.

Uspokoił oddech. Skóra przyzwyczała się do zimna, już nie miał wrażenia, że przebijają się przez nią tysiące szpilek.

Ten skurwiel Alfa! – pomyślał. Jak go znaleźć? Dlaczego przelał pojedyncze kwoty i o różnych wartościach, po czym nagle przestał? Ile było tych przekazów? Dziewięć.

Już wcześniej je analizował. Kwoty wydawały mu się losowe. Przez pierwsze dwa dni przelał po sześć tysięcy złotych, by następnego dnia jedynie tysiąc. Później już nie było tak wysokich sum, ale ostatnia wpłata wynosiła cztery tysiące. Za każdym razem darowizna przekraczała tysiąc. Alfa nie rozdrabniał się do setek, zawsze wysyłał pełne tysiące.

Zamknął oczy. Oddychał powoli. W myślach próbował przypisać ksywkę do znanych mu osób. Może to ktoś z kręgu znajomych albo z pracy? Tyle że znajomi raczej by mu o tym powiedzieli, a na komendzie nikomu się nie przelewało na tyle, aby wesprzeć kogoś prawie trzydziestoma tysiącami. Może to ktoś z otaczającego go półświatka? Pokiwał głową. To była chyba najgłupsza z odpowiedzi. Jasne, bandyta wspierający córkę gliniarza!

Stoper w jego zegarku przerwał milczenie. Piętnaście minut minęło i niestety nic nie zmieniło. Musiał coś wykombinować. Nie mógł wrócić do domu z niczym.

Wstrzymał oddech i zanurzył głowę. Usiłował przypomnieć sobie kolejność przelewów.

– Sześć tysięcy, sześć, tysiąc, dwa, jeden, jeden, cztery... nie, chyba trzy...

Czuł, że zaczyna brakować mu tchu. Płuca próbowały wymusić oddech. Zasłużył na walkę z własnym ciałem i ograniczeniami. Chciał wrócić do przypominania sobie przelewów, ale mózg skupiał się tylko na przetrwaniu. W jego głowie zapadała ciemność. Zaczynała ogarniać go panika. Każda część ciała krzyczała, żeby się wynurzył.

– Kurwa! – ryknął, gdy zaczerpnął powietrza.

Szybko kierował się do brzegu. Chaotycznie łapał kolejne hausty powietrza. Chciał iść jak najszybciej, ale niedotlenienie oraz wszechobecne zimno skutecznie mu to uniemożliwiały.

Wyszedł z wody i podbiegł do swoich rzeczy. Wytarł ręce w koszulkę i zaczął szukać telefonu w kieszeni spodni. Trzęsącymi się od zimna

palcami wpisał w przeglądarce adres internetowy zbiórki i zaczął przesuwać listę przelewów. Znalazł datki Alfy. Na piasku zaczął pisać palcem cyfry odpowiadające kwotom przelewów. Zaczął od najstarszego. Sześć, sześć, jeden...

– Wszystko w porządku? – zapytała młoda dziewczyna z psem.

– Tak.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Kątem oka zauważył, że wyciąga telefon i trzęsącymi się rękoma wybiera jakiś numer. Dopiero po chwili zrozumiał, że nagi mokry mężczyzna piszący coś na piasku może przerazić. Odwrócił się do niej tyłem i wyprostował. Podniósł koszulkę i zaczął się wycierać.

– Spokojnie, tylko morsowałem! – krzyknął.

Spojrzał w jej stronę i się uśmiechnął. Dziewczyna popatrzyła na niego niepewnie i odeszła w przeciwnym kierunku.

Gdy się osuszył i ubrał, wrócił do napisów. Do widniejących już trzech cyfr dopisał kolejne: dwa, jeden, jeden, trzy, dwa, cztery. Spojrzał na całość. To nie mogło być to, o czym myślał, jednak nie miał czasu na dalsze analizy. Wpisał w telefonie ciąg dziewięciu cyfr i nacisnął zieloną słuchawkę.

Zamarł, gdy usłyszał sygnał połączenia. Jego ciało przeszył dreszcz. Nie wiedział, czy jest spowodowany zimnem, czy raczej podnieceniem.

– No w końcu! – W telefonie rozbrzmiał niski męski głos.

⁴⁵ Napływowy – osoba spoza rejonu służbowego jednostki macierzystej.

⁴⁶ Kwity – dokumenty.

Rozdział 16

Gdy odjeżdżał na rowerze, minął patrol. A więc jego zapewnienia, że tylko morsował, nie wystarczyły. Dobrze, że społeczeństwo jest jeszcze czujne.

Głos, który słyszał w słuchawce, mógł należeć do mężczyzny w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat. Nic więcej nie udało się Markowi wywnioskować z rzucanych półsłówki. Alfa chciał się spotkać i stwierdził, że im szybciej, tym lepiej dla Marka. Gliniarz nie słyszał w tym groźby, ale zdawał sobie sprawę, że to wejście w paszczę lwa.

Dziś dał dupy. Zawiódł córkę... ale jeszcze mógł to uratować. Zamierzał poprosić nieznanego mu mężczyznę o wsparcie finansowe. Postanowił, że schowa dumę do kieszeni i zrobi wszystko, aby zdobyć pieniądze.

Zamówił kawę i zaczął się rozglądać po restauracji. Miał przyjechać do Złotej Kury o osiemnastej, ale nie miał pojęcia, jak w ogóle wygląda Alfa. W środku było kilkanaście osób – w tym dwa małżeństwa z dziećmi, dwóch młodych mężczyzn siedzących osobno, dwie młode dziewczyny i jeden starszy facet. Ten ostatni wyglądał na bogacza. Dobrze skrojona koszula opinała umięśnione ciało. Na lewej ręce błyszczał złoty zegarek – Marek nawet nie potrafił zgadnąć, ile mógł kosztować. Na nogach mężczyzny dostrzegł półbuty marki Dolce & Gabbana, warte ponad trzy tysiące złotych. Ich cenę znał, bo akurat kilka dni temu Czarny pokazywał mu je w internecie. Sam podczas pobytu w Turcji kupił podróbki i udawał Markowi, że niczym się nie różnią od oryginału.

Starszy mężczyzna spojrzał na niego i się uśmiechnął. Nawiązali kontakt wzrokowy. Wyobrażenie Alfę, które Marek stworzył na podstawie jego głosu, dość mocno różniło się od wyglądu dziadka. Ale tylko on mógł być Alfą.

Marek złapał za filizankę i już zaczął wstawać, gdy nagle poczuł na swoim barku czyjąś dłoń. Silny, zdecydowany uścisk zatrzymał go na krześle.

– Bardzo łatwo jest oceniać, nic nie rozumiejąc. Trudniej jest zrozumieć, nie oceniając⁴⁷ – usłyszał.

Stanął przed nim wysoki, dobrze zbudowany czterdziestolatek. Marek wkurzył się, że został potraktowany w taki sposób. Przełamał opór trzymającej go dłoni i wstał. Spojrzał prosto w oczy Alfę.

Bary nie był chucherkiem – miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył lekko ponad sto kilogramów. Od dawna nie trenował, ale i tak wciąż potrafił jednym ciosem zwalić z nóg rosnącego oponenta. Ale gdy popatrzył na Alfę, stracił rezon. Ten był od niego wyższy co najmniej o głowę. Jego kwadratowa szczęka, pokryta gęstą czarną brodą, sprawiała wrażenie niezniszczalnej. Usta – spuchnięte, czerwone i błyszczące, jakby opryszczka zaatakowała ich każdy centymetr – wyglądały co najmniej nienaturalnie, niczym kaczki dziób. Materiał koszuli niebezpiecznie napinał się w barkach i ramionach.

– Chcesz sobie jeszcze popatrzeć?

Marek usiadł bez słowa. Zdenerwował się, ale wiedział, że nie stać go na takie emocje. Sięgnął po filizankę i zbliżył ją do ust. Wziął łyk kawy – wyjątkowo wolno, aby dać sobie czas na uspokojenie się.

– Marek.

Wyciągnął przed siebie dłoń.

Nieznajomy uśmiechnął się szyderczo.

– Darujmy sobie konwenanse. Mam coś, co interesuje ciebie, a ty masz coś, co interesuje mnie. Dobijmy targu.

– Nie mam nic, a chcę jedynie wsparcia. – Policjant uważnie obserwował mężczyznę.

– Masz dokładnie to, czego potrzebuję. A wsparcie, mój drogi, w tych czasach jest nieocenione. Zwłaszcza finansowe. – Mówiąc to, wyciągnął na stół skórzany portfel, aż pękający od banknotów.

– Przepraszam, czy mogę coś podać? – zapytała młoda kelnerka z długimi blond włosami i intensywnie błękitnymi oczami.

– Swój numer telefonu – odpowiedział Alfa, szczerząc śnieżnobiałe zęby. Dziewczyna zachichotała i położyła dłoń na jego barku.

– Przecież już masz. – Uśmiechnęła się z gracją.

– Tak? A jak masz na imię? – zapytał obojętnie.

Twarz dziewczyny zastygła, a po chwili pojawił się na niej grymas złości.

– Asia – odpowiedziała, zaciskając zęby.

– No tak, Asia. No to, Asiu, proszę cię uprzejmie, nie wpierdalaj się, jak dorośli panowie rozmawiają o dorosłych sprawach.

Oczy dziewczyny się rozszerzyły. Chciała coś powiedzieć, ale z trudem powstrzymywała płacz. Odwróciła się na pięcie i odeszła energicznym krokiem.

– Ty serio masz w dupie konwenanse. – Marek piorunował go wzrokiem.

– Niezbędne rzeczy są – postukał się palcem po brodzie – niezbędne – powiedział z drwiącym uśmiechem. – Jestem w stanie znacznie wesprzeć leczenie twojej córki.

– Czego chcesz w zamian? – Marek zacisnął dłonie w pięści. Nie podobała mu się ta sytuacja.

– No! – Mężczyzna wyszczerzył zęby. – W końcu zrozumiałeś. – Nachylił się ku niemu i ściszył głos: – Wierności.

– Co, kurwa?!

– Cicho! – szepnął, znów kręcąc głową z dezaprobatą. – Jako kryminalny powinieneś umieć działać bardziej konspiracyjnie. Nazywaj mnie Alfa. Dzisiaj wpłynie na waszą zrzutkę równe dziesięć tysięcy. Przyda się?

– Bardzo – wydukał Marek.

– Wpłynie... jeśli coś dla mnie zrobisz.

Rytmicznie stukał palcami w blat stołu. Miał zadbane dłonie i paznokcie.

– Ilu kryminalnych będzie na nocnej służbie dwudziestego piątego października?

– Jaja sobie robisz? Pojebało cię?

Marek zerwał się z krzesła. Lewą ręką zahaczył filiżankę i kawa rozlała się po stole. Mężczyzna uśmiechał się złowrogo, obserwując krzątającego się policjanta. Marek nerwowo wkładał kurtkę.

– Jak zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Marek rzucił na stół banknot dziesięciozłotowy i wyszedł bez słowa. Alfa wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– To co, Asiu? Dzisiaj znowu u ciebie?

– Za dzisiejszą akcję trzysta.

– Jak weźmiesz w dupę, to będzie nawet pięćset.

Alfa rozłączył się i wyszedł z lokalu.

⁴⁷ Ronaldo Wrobel, *Tłumaczyc Hannah*, przeł. Wojciech Charchalis, Bukowy Las, 2017.

Rozdział 17

Jazda rowerem nieco go uspokoiła.

Bezczelny typ – pomyślał. Powinien go poskładać i zawieźć na komendę. Zarzut usiłowania wręczenia korzyści majątkowej szybko sprowadziły go na ziemię.

Powinien, ale tego nie zrobił. Chyba nie chciał stracić jedyne go sensownego, choć już bardzo oddalonego, źródła finansowania.

Wszedł do mieszkania. Czuł narastający stres. Bał się, jak potraktuje go własna córka. Amelia siedziała w kuchni i płakała. Widział jej zmęczoną twarz. Na policzkach zauważył zaschnięte łzy, a nowe już pojawiały się w oczach. Spojrzała na niego zawiedziona. Nawet nie wstała.

– Dałeś dupy – rzuciła smutno.

– Miałem wypadek. To nie moja wina.

– To nigdy nie jest twoja wina.

Chciała mu dopiec. Cóż, należało mu się, w końcu zawiódł ich jedyną córkę.

– Co dalej? – zapytał, próbując ją przytulić.

– Pierdol się, Marek! – Odepchnęła go.

Przez chwilę stał nieruchomo, po czym ruszył do Róży.

– Wyjdź! – usłyszał, gdy tylko przekroczył próg jej pokoju.

– Córciu... – zaczął delikatnie.

– Wyjdź! – krzyknęła hardo. Wbiła wzrok w Marka. Oczy szklily się jej od łez, a dolna warga drżała nerwowo.

Westchnął ciężko i usiadł na rogu łóżka.

– Przepraszam, kochanie.

Opadła na poduszkę i schowała w niej twarz. Usłyszał stłumiony szloch. Niewidzialna siła ścisnęła go za gardło.

– Kocham cię, moje żyjątko.

Położył dłoń na jej nodze. Zrobiła gest, jakby chciała go odtrącić, ale potrzeba miłości była silniejsza. Zapłakała głośnie. Położył się obok niej i pogłaskał po głowie.

– Znowu wypadną mi wszystkie włosy – wydukała.

– Odrosną, skarbie – szepnął jej do ucha.

– Albo nie zdążą. – Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Tato, ja już nie mam siły walczyć.

Pękł. Strumień łez popłynął mimowolnie. Klatka piersiowa zadrżała, jakby rozpacz szarpnęła jego duszę. Mocno, bezlitośnie, bezpardonowo. Przytulił się do niej i fałszywie zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

– Nie kłam. Słyszałam, jak lekarka rozmawiała z mamą. Mówiła, że tym razem będzie jeszcze trudniej.

– Poradzimy sobie, aniołku.

Nie odpowiedziała. Zanurzyła się w jego ramionach.

– Dla ciebie naaaweet...

– Przestań! – krzyknęła. – Nie chcę się w to bawić! Nic nie możesz zrobić! Nie pomożesz mi! Ta zabawa jest głupia! Kłamiesz! – wrzeszczała, aż przy ostatnich słowach zaczęła chrypieć.

Zamarł.

– Umieram i na dodatek będę brzydka. Koleżanki będą się śmiały, że jestem łysolem. Nawet nie zdążę mieć męża! – Łkała chaotycznie.

Marek otarł łzy z policzka i podniósł się na rękach.

– Chodź ze mną – powiedział, podając jej dłoń.

Odwzajemniła gest, choć niechętnie. Gdy wychodzili z pokoju, zauważył, jak Amelia oddała się w kierunku kuchni i ociera twarz. Musiała ich podsłuchiwać.

– Ja nie chcę siku! – zaprotestowała Róża, widząc, że ojciec prowadzi ją do łazienki. Skwitował to delikatnym uśmiechem.

Stanął przed boczną szafką z lustrem i ją otworzył. Wyciągnął maszynkę do włosów. Była stara i miała pękniętą obudowę, ale nadal działała.

– Ja nie chcę! – krzyknęła Róża, próbując wydostać się z łazienki.

– Kochanie, to nie dla ciebie.

Klęknął przed nią i włączył maszynkę. Przyłożył ją do swojej głowy i posuwistym ruchem skierował od czoła w stronę potylicy. Róża zakryła usta dłońmi. Marek nie przerywał golenia, uśmiechając się do niej szeroko.

– Tato, przestań! – Złapała go za rękę. – Masz takie piękne włosy!

– Mam piękną córkę i tylko to się liczy.

Kontynuował strzyżenie. Robił to szybko i niedbale. Ważniejszy był uśmiech pojawiający się na twarzy Róży.

– Jesteś kochany...

Otarła oczy i przytuliła się do niego.

W drzwiach stanęła Amelia. Tym razem nie ukrywała łez. Podeszła do Marka od tyłu i pocałowała go w głowę. Następnie klęknęła i przytuliła Różę.

– Mamuś, tata jest szalony! – Dziewczynka się śmiała.

– Cała nasza rodzinka jest szalona – odpowiedziała Amelia, łapiąc za maszynkę.

Marek początkowo oponował, ale po chwili puścił uchwyt. Amelia Barczyńska przy akompaniamencie ostrego brzęczenia zaczęła ścinać swoje włosy. Kolejne długie kosmyki spadały na podłogę. Gdy skończyła, odłożyła narzędzie zbrodni. Nie spoglądała na złożoną ofiarę.

– Kocham moją szaloną rodzinkę – powiedziała Róża i chwyciła za maszynkę.

Tym razem z uśmiechem na twarzy przygotowywała się do drugiej rundy.

– Musimy zrobić kosztorys leczenia.

Marek nie mógł przyzwyczać się do widoku łysej żony. Z początku, jeszcze kierując się egoizmem, stwierdził, że jest po prostu brzydka. Z czasem zaczął rozumieć, jak wiele musiał kosztować ją ten gest. I za to pokochał ją jeszcze mocniej.

– Zajmę się tym.

Amelia patrzyła na męża. Nie był atrakcyjny. Ta powierzchowna myśl wzbudziła w niej pogardę do samej siebie.

– Już załatwiłam opiekę. Ty pracuj. Będziemy potrzebować każdej złotówki.

– Kiedy zaczyna chemię? – zapytał, by zmienić temat. Ten finansowy nie należał do najprzyjemniejszych.

– Za dwa dni. Muszą sprowadzić ten lek. Podobno w przypadku Róży będzie najskuteczniejszy. Pierwsza tura chemii to pięć dni – mówiła beznamiętnie.

– Jest szansa? – zapytał niespodziewanie.

Ciężar pytania przygniótł ich oboje.

– Jest. – Amelia przełknęła ślinę jakby z ulgą. – Ale jest drogi – dodała drżącym głosem i spuściła głowę.

– Ile?

– Sama chemia to czterdzieści tysięcy.

– Nie tak źle.

Spojrzała na niego smutno.

– Jedna tura chemii kosztuje czterdzieści tysięcy, a może ich być nawet dziesięć.

– Kurwa.

– Do tego dochodzą koszty rehabilitacji, leków przeciwbólowych, leczenia infekcji...

Marek usiadł na krześle i złapał się za głowę.

– Kurwa!

Rozdział 18

Kurwa, kurwa, kurwa! Czemu, do chuja pana, Barnecki jeszcze tu nie siedzi? – grzmiał Bandura w trakcie porannej odprawy.

– Zniknął – wyrwało się Czarnemu.

– Słucham?! – Bandura wbił w niego wzrok. – Jak zniknął? Kim on, do chuja, jest?! Jakimś jebanym Potterem czy innym Gandalfem?!

– Szukamy – wtrącił Marek.

– Widzę. Aż włosy straciłeś!

Marek nie zareagował na przytyk, ale czuł się nieswojo. Nigdy wcześniej nie był łysy. Poczuł, że każdy policjant uczestniczący w odprawie spogląda na niego.

– Szukamy, ale wczoraj przerwał nam ten gówniarz – kontynuował niewzruszony.

– Nawet mi, kurwa, nie przypominaj!

Zebrani rozumieli sytuację i pozwalali przełożonemu się wyszaleć, tylko Czarny westchnął ciężko – jego naturalna żądza konfliktów znów zwyciężyła.

– To może niech te papidruchy z wojewódzkiej zaczną coś robić? Bo jak na razie mieszają powietrze i chuja z tego wychodzi – powiedział zadowolony.

– To może niech pan Czarny weźmie się za robotę, a nie podpierdala kocurom kajety?!

– Poskarżył się? – zapytał Czarny obojętnie.

– Tak. Powiedziałem, że znalazłeś i po porannej odprawie mu oddasz. – Bandura pokręcił głową. – Idź, Czarny, do naszego psychola⁴⁸ albo innego szamana.

– Byłem już i wszystko jej powiedziałem. – Na jego twarzy rozkwitł uśmiech.

– Co jej powiedziałaś? – zapytał Życzyński zaciekawiony.

Pozostali złapali się teatralnie za czoła lub głęboko westchnęli.

– Kurwa, młody! – wtrącił Bandura, ale Czarny już zaczął się rozkręcać.

– Powiedziałem jej – podniósł głos, by mieć pewność, że każdy go usłyszy – że najbardziej w służbie to lubię dwumiesięczne zwłoki kobiet, bo nogi są już rozłożone. – Zdanie zakończył mlaśnięciem, jakby zobaczył średnio wysmażony stek.

Tak jak się spodziewał, na twarzach większości zgromadzonych pojawiły się delikatne uśmiechy, ale raczej nieśmiałe. Nadal uważali, że czarny humor w wykonaniu Czarnego jest czymś złym i nie zasługuje na publiczne śmiechy i chichoty.

– Czarny, kiedyś wysłę cię na przymusowe badania – rzucił Bandura pół żartem, pół serio.

– Przymusowo, panie naczelniku, to ja tylko sram.

Czarny zerwał się na równe nogi i zasalutował. Bandura spojrzął na zebranych.

– Spierdalać mi do roboty, panowie! – Skierował wzrok na Czarnego. – I ty, chory na umyśle człowieku! Bary, zostań na chwilę. Co z Pawłem?

– Nie wiem. Nie odzywa się. Myślałem, że do niego dzwoniłeś.

– Dzwoniłem, ale w słuchawce cisza. Sprawdź dzisiaj, co się z nim dzieje.

Bandura usiadł na krześle. Westchnął i opuścił barki. Wyglądał na zmęczonego, choć dzień dopiero się rozpoczął.

– Zaraz pojedę.

Marek złapał za klamkę.

– Jedź sam. Czarny może tylko zaognić sytuację.

Sprawdził stronę ze zbiórką dla Róży. Był wdzięczny ludziom za uzbieranie prawie czterdziestu tysięcy złotych, ale zdawał sobie sprawę, że to wystarczy zaledwie na jedną turę chemioterapii. Jeszcze mocniej przygnębił go fakt, że ponad połowę tej sumy przelała jedna osoba. Osoba, która być może jako jedyna mogła sfinansować leczenie jego córki. Nawet jeśli nie w całości, to w znacznej części.

– Dobra, lecę po jakieś śniadanie. Chcesz coś? – skłamał.

– Nie, mam swoje. – Czarny pokręcił głową. – Ogarzę billingi Barneckiego. Jak wrócisz, to polecimy w dwa miejsca.

Marek zasalutował teatralnie.

Gdy wyjeżdżał z parkingu, dostał wiadomość od Róży. Krótką, ale jakże wymowną. Zbiór emotikonów składający się kolejno z raka, rękawicy bokserskiej, młotka i złotego medalu poprawił mu humor. Jego córka postanowiła walczyć. Łzy mimowolnie napłynęły mu do oczu.

Tak jak się spodziewał, o tej porze nikt nie otworzył mu drzwi. Kruśko pewnie jeszcze spał, a jego dziewczyna pojechała do pracy. Paweł wspominał kiedyś, że jest kierowniczką produkcji jakiegoś zakładu mięsnego. Zazdrościł jej, że pracuje od szóstej do czternastej, po czym zamyka swoją szafkę i zapomina o problemach w robocie.

Marek aż się rozmarzył. Ile by dał, żeby móc nie myśleć po nocach o nierozwiązanych sprawach! Ileż to już razy przyśniło mu się idealne rozwiązanie, które z otwarciem oczu pryskało niczym bańka mydlana! Za każdym razem usilnie próbował sobie je przypomnieć i zawsze w końcu nachodziła go refleksja, że zaczyna wariować i tak naprawdę żadnego rozwiązania nie było. Mimo to ponownie kładł się spać z nadzieją, że sen powróci, a on tym razem go zapamięta.

Chciał już odejść, ale przyzwyczajenie ze służby zmusiło go, aby nacisnąć na klamkę. W taki sposób zdarzyło mu się zaskoczyć niejednego bandytę. Doskonale pamiętał, jak razem z Czarnym pojechali po drobnego złodziejaszka, który zapomniał zamknąć drzwi mieszkania. Gdy weszli do środka, dwaj gówniarze wciągali ze stołu amfetaminę. Ich przerażony wzrok pamiętał do dzisiaj.

Ku jego zdziwieniu i teraz drzwi ustąpiły z lekkim skrzypnięciem. W nozdrza natychmiast wdarł mu się smród, kojarzony z tutejszymi melinami. Policjant cofnął się o krok i niepewnie spojrzął na numer mieszkania. Nie pomylił się.

– Paweł! – krzyknął.

Gdy odpowiedziała mu cisza, zrobił kilka kroków do przodu. Na wprost znajdowała się kuchnia, a raczej to, co z niej zostało. Zlew, blat i mały stolik były zavalone brudnymi talerzami i garnkami. Na kilku znajdowały się jeszcze resztki jedzenia. Marek miał wrażenie, że na niektórych zdążyła pojawić się już pleśń. Niemożliwe, żeby Paweł, a tym bardziej jego dziewczyna, żył w takim syfie.

– Kruśko! – krzyknął zaniepokojony.

Skierował się do salonu, trącając przy tym stopą pustą butelkę po wódce. Ta potoczyła się po podłodze i uderzyła o ścianę. Im dalej wchodził Marek, tym smród był silniejszy. Nie mógł uwierzyć, że to mieszkanie policjanta.

– Kruśko, do chuja! – zawołał, widząc leżącego na podłodze mężczyznę. Złapał go za bluzę i potrząsnął. – Pa...

Przerwał, gdy poczuł silny odór alkoholu i smród brudnego człowieka, prawdopodobnie od jakiegoś czasu leżącego we własnych odchodach.

– Co jest, kurwa? – wybełkotał mężczyzna, nie otwierając oczu.

– Chłopie, coś ty odjebał? – Marek klepnął go lekko w policzek.

Paweł odwrócił się na lewy bok. Barczyński lewą ręką złapał go za bluzę, a prawą siarczyście uderzył w twarz. Zadziałało. Paweł puścił głośnego bąka, niezdarnie zerwał się z podłogi i spróbował usiąść na kanapie.

– Jak ty wyglądasz? – Marek wyprostował się i spojrzał na niego z góry.

– Chuj cie to opfodzi.

Bełkotliwa mowa była tylko jednym z wielu niepokojących sygnałów. Paweł zwyczajnie śmierdział, co nie odpowiadało jego niemal metroseksualnemu wizerunkowi. Młody policjant zazwyczaj aż przesadnie dbał o wygląd, a teraz bliżej mu było do menela.

– Zajebać ci jeszcze raz, żebyś zaczął ze mną normalnie rozmawiać?

– Dobra, luzuj, Bary. – Paweł przetarł twarz i ziewnął. – Co ty się tak wpieniasz?

Szukał wzrokiem pełnej flaszki, czegokolwiek, byle miało w sobie choć trochę procentów.

– Czemu się wkurwiam? – mówił Marek spokojnie. – Pomyślmy... – Usiadł w fotelu znajdującym się naprzeciw kanapy. – Wyglądasz i śmierdzisz jak menel. To raz. Dwa – rozejrzył się – twoje mieszkanie wygląda jak menelownia u Bakarskiego, a w robocie nie byłeś od dwóch dni. Trzy, myślałem, że na obudzeniu puścisz bąka, ale ty najzwyczajniej w świecie się zesrałeś i nawet tego nie zauważyłeś. Bandura mnie tu przysłał, bo się o ciebie martwi. I wiesz co? Miał, jebany, rację, bo w dwa dni stoczyłeś się na samo dno! – wrzasnął.

– Spierdalaj – odpowiedział Paweł chrypliwym głosem. – Jest! – ucieszył się na widok do połowy pustej butelki gorzały. Drżącymi rękoma odkręcił nakrętkę i przyłożył szyjkę do ust. Pił łapczywie, jakby w środku znajdowała się woda, a on właśnie skończył maraton. – Czego ty ode mnie chcesz? – Wytarł usta rękawem.

– Czemu nie chodzisz do roboty?

Paweł uśmiechnął się brzydsko i odsłonił pożółkłe zęby.

– Jestem – poprawił zagięcie na bluzie – lekko niedysponowany. – Zaczął się śmiać, jakby Czarny właśnie opowiedział mu jakiś żart.

– Gdzie twoja dziewczyna?

Paweł szybko odwrócił wzrok. Wziął kolejny łyk. Tym razem jego ruchy były powolne, jakby chciał zyskać czas na zastanowienie się.

– Zerwałem z nią. Wkurwiła mnie, suka.

– Przecież tak ją zachwalałeś. Mówiłeś, że to miłość od pierwszego wejrzenia!

– Chyba pierwszego włożenia! – Roześmiał się, ale to nie był beztroski rechot.

Marek wstał z fotela. Paweł podniósł ręce w obronnym geście.

– Słuchaj, gościu. Twój szef został zamordowany, a ty chlejesz w najlepsze. Jak dla mnie to jesteś zwykła pizda bez zasad.

– Wypierdalaj! – syknął Paweł.

– Ogarnij dupę, weź prysznic i widzę cię jutro w robocie! Przydasz się.

– Ogarnę dupę i nawet ją umyję! – Uśmiechnął się. – Jak sam zauważyłeś, zesrałem się. A teraz kulturalnie proszę wypierdalać z mojego mieszkania.

Widząc posłusznie wychodzącego kolegę, Paweł ponownie skupił uwagę na butelce i schylił się po nią. Gdy Barczyński szedł do drzwi, zauważył leżący na podłodze telefon marki Samsung. Wyglądał jak Kruśki. Odwrócił lekko głowę, by sprawdzić, czy Paweł na niego patrzy, ten jednak był zajęty opróżnianiem flaszki. Marek się schylił i udawał, że zawiązuje buta.

– Ej, lala, but ci się rozpierdala! – skwitował Kruśko chrapliwie.

Marek pokiwał głową z dezaprobatą i wyszedł.

Znowu to samo. Umierasz w tej heteroseksualnej klatce. Rzuć to wszystko i posłuchaj swojego serca!

Nie, to nie jest łatwe. Ta pierdolona policja to średniowiecze. Tacy jak ja czy ty mają tu bardzo ciężko. Ale mam to w dupie. Chcę być z tobą, bo cię kocham! Tylko ciebie i zawsze ciebie.

Nie rób mi tego! Ona nie jest tego warta. Spotkajmy się teraz, proszę.

Filip, przyjedź na glinianki albo się odjebię! Zastrzelę się z miłości do ciebie!

Marek z niedowierzaniem wpatrywał się w telefon Pawła. Ich żarty okazały się prawdą: Kruško był gejem. Nie zdziwiło go to zbyt mocno. Wszystko na to wskazywało – jego wygląd, zachowanie, a nawet przesadna empatia, choć akurat ona nie powinna być żadnym wyznacznikiem. Zresztą Marek nie znał żadnego homoseksualisty, przynajmniej oficjalnie. Nie wiedział więc, jakie zachowania wskazują na ich odmienność. Jeśli takie w ogóle istnieją.

– Istnieją – stwierdził po chwili zamyślenia.

Może to i stereotyp, ale widział takich w telewizji albo restauracjach. Celowo zmiękczejają ton, przeciągają sylaby, jakby odtwarzali najtrudniejszy akcent świata, nawet chodzą lub stoją w specyficzny sposób. Kruško był pewniakiem, ale Wita?

Nerwowo przeglądał kolejne wiadomości. Konwersacja skończyła się na wiadomości wysłanej przez Filipa:

Za godzinę będę u ciebie.

Naczelnik wysłał ją o dwudziestej, a więc kilka godzin przed tragedią. Tylko dlaczego Kruško milczał? Powinien chociaż wspomnieć, że widzieli się tego dnia. Przecież nie musiał mówić, że chodziło o romans. I tak każdy wiedział, że są także kumplami od kielicha.

Co teraz? Powinien natychmiast wrócić do Pawła, ale mógł się spodziewać tylko upitego do nieprzytomności kolegi. Jeśli mógł jeszcze tak go nazywać. Zbillingować jego telefon? Jak to wyjaśni? Przecież zaraz zrobi się afera na całe województwo. Powiedzieć Bandurze? Na pewno nie. Ten to dopiero rozpęta burzę. BSW? Odpada. Kablem nie był i nie będzie. Może chociaż powie Czarnemu? Musi to z kimś przegadać. Ufał mu, ale tylko w kwestiach gorących akcji. Wiedział, że ten narwaniec nigdy się nie cofnie i nie zostawi go w potrzebie. Dwa lata temu Marek wyjechał z Życzyńskim w teren. Wtedy Jakub był nowy w wydziale i wdrażanie się szło mu marnie. Na mieście trafili na czterech naćpanych pseudokibiców i na nieszczęście jednego z nich rozpoznali jako poszukiwanego. Barczyński chciał rozegrać sytuację pokojowo, ale doszło do ostrego starcia, które szybko zaczęli przegrywać. Nie odważyli się wyciągnąć

broni, a Marek zdążył jedynie zadzwonić do Czarnego. Tak się złożyło, że w wydziale nie było wolnych radiowozów, a pozostałe patrole zajmowały się czym innym. Czarny długo nie myślał – wybiegł z komendy, zabrał ze sobą jedynie gaz obezwładniający i broń. Przebiegł dwa kilometry tylko po to, by zobaczyć zakrwawionego, lecz uśmiechniętego Barczyńskiego siedzącego na piramidzie złożonej z pseudokibiców. Marek zdecydowanie mógł mu ufać w kwestii wsparcia fizycznego. Gorzej było z trzymaniem języka za zębami. Nie, nie rozgadywał sekretów – po prostu rzadko się zastanawiał nad tym, co mówił.

Krótki sygnał esemesa wyrwał go z zamyślenia. Wyciągnął telefon i otworzył wiadomość od Amelii.

Lek będzie jutro, ale musimy wpłacić zaliczkę na kolejną turę, jeśli nie chcemy znowu czekać. Dzwoniłam do doktor, radzi nam wpłacić.

Ile? – odpisał.

Oparł głowę o zagłówek i położył ręce na kierownicy. Zamknął oczy i westchnął. Początkowo chciał wymodlić jakąś niską kwotę, ale przecież to niczego by nie zmieniło. W tej chwili nie miał zbywającej nawet złotówki. Wiedział, że zbiórka rośnie, zwłaszcza po artykule rzecznika, ale to nie było zawrotne tempo.

Znów usłyszał dźwięk esemesa. Serce zabiło mu szybciej. Nie musiał otwierać wiadomości: jedyńka, piątka i trzy zera z podglądu paliły go w oczy. Rozgrzana krew pulsowała mu w sercu i głowie. Poczul, że świat wokół niego wiruje.

Trzęsącymi się dłońmi zaczął wybierać numer Michała. Odłożył telefon i postanowił się uspokoić. Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak zanurza się w lodowatej wodzie. Nie miał fizycznej możliwości, aby teraz morsować, dlatego musiała mu wystarczyć projekcja.

W jego głowie pojawił się obraz zaśnieżonych Karkonoszy. W młodości kochał chodzić po górach. Nawet miał swoje ulubione miejsce, w którym siadał na kamieniu tuż nad przepaścią i podziwiał widoki. Często pił tam wódkę smakową, najlepiej żurawinową, i przegryzał wieprzowymi kabanosami. Gdy tak siedział i rozmyślał o przyszłości, w dole widział drewniany domek nad stawem. Nigdy tam nie zaszedł, ale ten obraz właśnie teraz zjawiał się w jego głowie. Widział samego siebie, jak najpierw truchta

wokół akwenu, aby się rozgrzać, a później – za pomocą małej siekierki – robi przerębiel i bez zbędnych ceregieli zanurza się po pas, wyrównuje oddech, po czym zagłębia się w wodzie aż do barków.

Wyobraził sobie miliony szpil wbijających się w skórę. Najszybciej marzną stopy, łydki i uda. Po chwili jądra skurczają się do granic możliwości i usilnie próbują schować wewnątrz ciała. Na końcu ból rozlewa się w okolicach brzucha i klatki piersiowej. Kojący, przyjemny ból pośród dzikiej przyrody.

⁴⁸ Psychol – policyjny psycholog.

Rozdział 19

Gdzie masz bułki?

Czarny zaskoczył Marka tym pytaniem.

– Co?

– Przecież jechałeś po śniadanie.

Kolega spojrzał na niego uważnie.

– Zjadłem – rzucił.

Usiadł przy biurku, spojrzał na nie i stwierdził, że przydałoby się tu posprzątać. Pomijając chaotycznie rozrzucone sterty papierów, które mu akurat nie przeszkadzały, na laptopie i miejscach wolnych od dokumentów osiadła solidna warstwa kurzu. Żeby ją wytrzeć, najpierw musiałby zrobić porządek z kwitami.

– Barnecki zmienił telefon – zaczął jego partner – od trzech dni nie loguje się w sieci.

– Albo wrócił za granicę.

– Raczej nie. Przed wyłączeniem odbijał się⁴⁹ u nas.

– Czyli ma coś na sumieniu?

– Sprawdzimy. – Czarny odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. – Chyba trzeba będzie poobserwować chatę Wity.

– Po co? – Marek zmarszczył brwi.

– Oj, Bary, coś dzisiaj wolno łapiesz.

– Dobra, już wiem. Może Barnecki będzie chciał spotkać się ze swoim dzieckiem.

Dzisiaj naprawdę nie był w najlepszej formie. Czarny bezwiednie uświadomił mu fakt, którego sam nie zauważył: żona Wity wiedziała o romansie męża. Lub chociaż o tym, że Kruśko się w nim podkochuje, bo Marek nie miał dowodu, że Wita odwzajemniał jego uczucia. Dlatego była tak negatywnie nastawiona do policji oraz samego Pawła. Znowu musiał

spróbować z nią porozmawiać. Tym razem zrobi to mądrzej, ale nadal bez Czarnego.

– Jedziemy w miasto – rzucił niespodziewanie Czarny, odkładając telefon na biurko.

– Co jest?

– Przed chwilą Barnecki był widziany na Kopernika. Bierz gaz, ja wezmę lolę⁵⁰.

– Na chuj ci? – Marek się roześmiał.

– Na chuj to kondom, mój kolego – Czarny wyszczerzył wyjątkowo proste zęby – a biała dama⁵¹ towarzyszy mi, gdy mój partner buja w obłokach lub ma gorsze chwile.

– Jeb się.

Marek odruchowo sprawdził swój telefon. Na ekranie widniało powiadomienie o wiadomości od Amelii.

Czemu nie odpisujesz? Co mam robić?

Widocznie ona też nie miała ochoty z nim rozmawiać. Żądała jedynie odpowiedzi. Ale problem polegał na tym, że jej nie znał. Przecież nie mógł napisać: „Przykro mi. Nie mamy pieniędzy. Nasza córka musi umrzeć”. Musiał coś wykombinować, ale powoli kończyły mu się pomysły. W pracy był nieobecny, bo tak naprawdę każdą wolną sekundę wykorzystywał na wymyślenie sposobu szybkiego zarobku.

Bierz kolejną turę. Najpóźniej do jutra załatwię kasę.

Po wysłaniu tej wiadomości poczuł się okropnie. Po co dał żonie – a przede wszystkim córce – fałszywą nadzieję? Przecież nie miał skąd wziąć tych pieniędzy. Podczas powrotu do komendy dzwonił do brata. Ten oczywiście wyraził chęć pomocy, ale jako nauczyciel języka polskiego nie zarabiał wiele. Mógł przelać zaledwie osiemset złotych – w końcu nadal spłacał kredyt wzięty na poprzednie leczenie Róży. Dziadkowie odpadali z podobnych przyczyn. Kończyły mu się możliwości. Ale było coś jeszcze: w głosie brata znów rozpoznał smutek. W życiu miewał trudniejsze chwile i ta ewidentnie nadeszła. Michał popełnił kiedyś błąd, którego skutki dręczyły go do dziś.

Zamyślony Marek wpadł na jednego z wojewódzkiej. Na jego nieszczęście był to ten, któremu wcześniej się naraził.

– Najebany? – warknął starszy mężczyzna.

– Za robotę się weź, bo coś wam się jeńce⁵² skończyły – odgryzł się Marek.

– Po co? Żebyś mógł ich napierdalać za zamkniętymi drzwiami? – Policjant wszedł do wydziału.

– Kutas – mruknął Marek, a Czarny się uśmiechnął.

Gdy schodzili na parking, na schodach minęli się z tym samym posterunkowym, któremu Czarny schował notatnik. Zmierzyli się wzrokiem, a Marek natychmiast wyczuł między nimi napięcie.

– Co jest?

– Nic.

– Nie ściemniaj. Skąd się znacie?

– Rucham jego matkę.

– Kurwa. Niby cię znam, ale nigdy nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz serio.

– No i gitara. – Czarnemu wrócił humor. Otworzył drzwi służbowej toyoty. – Wziąłem śrumpa⁵³, więc dzisiaj nie wynajduj nam żadnego pościgu.

Marek pokiwał głową. Wsiadł na miejsce pasażera i zapiął pasy.

– Słuchaj, Czarny, głupia sprawa.

– Z czym? – Policjant przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Masz pożyczyć jakiś hajs?

Marek poczuł się głupio. Myślał, że już dawno schował dumę do kieszeni, ale nadal wstydził się prosić o pieniądze.

– Cienko u mnie, ale kilka stów znajdę.

Marek pokiwał głową z wdzięcznością, ale to były tylko pozory. Takie drobne kwoty nie uratują jego córki.

Jak miał znaleźć mordercę Wity, skoro nie mógł się skupić na sprawie? Amelia obdzwoniła wszystkie znane jej fundacje pomagające w leczeniu raka. Każda z nich miała listę pacjentów na ponad rok. Liczba możliwości dramatycznie spadała. Marek czuł się jak w ciasnej jaskini, w której każdy krok powodował bolesne otarcia i siniaki, a wyjścia nie było widać.

Był jeszcze ten przeklęty Alfa – niczym podmuch zgniłego powietrza o zapachu kłopotów i desperacji.

⁴⁹ Odbijać się – logowanie telefonu do sieci w danym miejscu.

⁵⁰ Lola – pałka służbowa.

⁵¹ Biała dama – biała gumowa pałka policyjna.

⁵² Jeniec – osoba zatrzymana.

⁵³ Śrump – mało sprawny radiowóz, który nadaje się jedynie do wolnej jazdy po mieście.

Rozdział 20

Zesrałeś się? – Czarny wykrzywił teatralnie twarz w grymasie obrzydzenia.

– To kanaliza, idioto. – Marek pokręcił głową z dezaprobatą.

– Niezłą masz kanalizę.

Barczyński wpatrywał się w osiedlowy sklep, w którym miał znajdować się Barnecki. Ponoć miał na sobie niebieską bluzę i czarne dresowe spodnie. Czarny nie mówił Markowi, skąd dostał informacje, ale były dość precyzyjne. Barnecki miał najpierw pójść na większe zakupy do jednego z pobliskich marketów, a później odwiedzić swoją przyjaciółkę od łóżka. To właśnie kochanka Barneckiego sprzedała go Czarnemu. Marek nie wiedział, czy robiła to dla pieniędzy, z zemsty czy chciała zaimponować policjantowi. W końcu należał do wyjątkowo przystojnych mężczyzn. Za mundurem panny sznurem.

– Ty, a słyszałeś, że w prokuraturze jest chryja?

– Taaa? – zapytał Barczyński zainteresowany.

– Ostatnia sekcja zwłok wykazała, że pacjent spał.

Odpowiedziała mu cisza.

– Bo wiesz, że niby tacy nieudolni i...

– Kurwa, Czarny – westchnął. – To, że ci nie odpowiadam, nie oznacza, że nie zrozumiałem żartu. Po prostu poziom twojego popierdolenia umysłowego czasami mnie przerasta.

– Ni chuja. Przyznaj, że to było dobre.

– Ty, mam pomysł. Opowiedz kilka żartów naszemu psycholowi, niech on oceni, czy są dobre. – Uśmiechnął się szeroko.

– Ale jesteś zabawny. – Czarny przewrócił oczami.

– Nie martw się. Wyślę ci paczkę do czubków.

Po chwili Czarny szturchnął Barczyńskiego. Zauważyli wysokiego, szczupłego mężczyznę w niebieskiej bluzie. Garbił się, a głowę ukrywał pod kapturem.

- Wybiegamy czy jedziemy? – Czarny nie odrywał wzroku od figuranta.
- Idziemy – odpowiedział Marek, otwierając drzwi.

Były mąż Iwony nie powinien ich znać, dlatego mogli go zaskoczyć. Czarny przeszedł na drugą stronę ulicy, a Marek szedł chodnikiem. Śledzony minął osiedlowy sklep i zbliżał się do dużego parkingu. Czarny pokazał Markowi, żeby przeciął mu drogę, a on sam pójdzie za Barneckim. Barczyński wszedł między bloki, minął dzieciaki grające w piłkę. Po chwili już widział wyjście na parking, kiedy nagle usłyszał krzyk Czarnego:

– Stój!

Marek pobiegł w stronę parkingu. Zdążył zauważyć znikające za rogiem plecy partnera. Przyśpieszył i natychmiast poczuł, że zaniedbał kondycję. Nie wiedział, co się stało, ale domyślał się, że Barnecki zauważył ogon i zaczął uciekać. Ponownie przyśpieszył, oczami wyobraźni widząc szarpiących się mężczyzn. Czarny miał doświadczenie, ale nigdy nie wiadomo, co odbije ściganemu. Wyciągnięty z nienacka kuchenny nóż, nawet i mały, był zabójczy.

Wbiegł za ten sam róg, za którym przed chwilą zniknął Czarny, ale nikogo nie zauważył. Zwolnił, bo kondycja i nieprzyzwyczajone do wysiłku mięśnie nie pozwalały mu utrzymać takiego tempa. Potruchtął w kierunku ulicy Mickiewicza, ale ostatecznie przeszedł do marszu, ledwo łapiąc oddech.

– Kurwa! – wysapał.

Sięgnął do kieszeni po telefon i wybrał numer Czarnego.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Wracam. – Czarny sapał jeszcze mocniej.

– Masz go?

– Nie, kurwa, bo mi partner manianę odpierdala! – wykrzyczał na jednym tchu i się rozłączył.

Po chwili Barczyński zobaczył, jak Czarny przeskakuje betonowy płot i idzie w jego kierunku. Dynamiczny chód świadczył o wysokim poziomie wkurwienia.

– Co ty odpierdalasz, Bary?! – wrzeszczał.

– Sorry...

To nie była jego wina. Oczywiście mógł szybciej iść, a nawet biec, ale liczył, że mają przewagę. W końcu Barnecki miał o nich nie wiedzieć. Przeprósł Czarnego, bo po prostu nie miał siły na sprzeczkę, i zaskoczył

partnera. Czarny był przygotowany na ognistą kłótnię, która miała mu pomóc rozładować emocje.

– Kurwa mać. Co ty tam robiłeś? Przecież powinieneś wyjść przed nim! Srałeś ze strachu czy konia waliłeś?!

– Srałem ze strachu przed śmiercią mojej córki.

Te słowa zaskoczyły nawet samego Marka. Nie chciał wypowiadać ich na głos. Ale nagle uświadomił sobie, że stał się mało przydatny w robocie. Zamiast pomagać, zaczynał utrudniać gonitwę za prawdą.

– Może weź kilka dni wolnego? – Cała złość Czarnego nagle wyparowała.
– A tę spierdalającą kurwę dorwiemy prędzej czy później.

Klepnął Marka w bark i wrócili do samochodu.

– Coś mi się tu nie podoba.

– Dwóch podejrzanych?

– Właśnie.

Nawet jeśli któryś z nich był mordercą, to Niedźwiedzki raczej nie współpracował z Barneckim.

Rozdział 21

Duże słone krople spływały po jego ciele. Wytał kilka z czoła, ale przypominało to gaszenie pożaru szklanką wody. Mokra od potu koszulka przyklejała się do pleców i brzucha. Poczłł nieprzyjemny zapach swojego ciała. Lepkie dłonie trzęsły się, jakby właśnie spadł mu poziom cukru. Płytki oddech i żołądek podchodzący do gardła nie pomagały w uspokojeniu nerwów. Miał wrażenie, że wszyscy w restauracji słyszą jego dudniące serce. Całe ciało buntowało się przed tym, co miało nastąpić.

Krzesło, oparcie, a nawet spojrzenia kelnerek – wszystko boleśnie parzyło. Już dwukrotnie wstawał i ubierał się, po czym siadał z powrotem. Chciał zadzwonić do Amelii i opowiedzieć o wszystkim. Potrzebował obarczyć kogoś ciężarem swojej decyzji. A może nie pozwoliłaby mu na to? Zaczęłaby krzyczeć i prosić, aby jak najszybciej stąd wyszedł. Za późno. Usłyszał dźwięk otwierających się drzwi i chociaż nie podniósł wzroku, to i tak poczuł obecność Alfę całym sobą.

– Nowy image? – usłyszał, ale postanowił nie reagować. Alfa usiadł naprzeciw. – Długo się zastanawiałeś.

– Nadal się zastanawiam, czy cię nie zglebować⁵⁴ i nie zamknąć w pierdlu.

Mężczyzna parsknął śmiechem. Marek długo się głowił nad jego tożsamością. Wczoraj przed poranną odprawą sprawdził książkę z osobami poszukiwanymi. Przejrzał ich nazwiska, a nawet zdjęcia, ale nie znalazł tam Alfę.

– Po pierwsze, mój drogi, nie dałbyś mi rady – powiedział powoli, prężąc klatkę piersiową. – Po drugie, potrzebujesz hajsu, który ja chętnie ci przeleję.

Uniósł prawą dłoń, by przywołać kelnerkę. Marek kątem oka zauważył, że kobieta się zmieszała i chciała ukryć w kuchni, ale Alfa powtórzył gest.

– Nie tak chętnie – sapnął.

Stres go jeszcze nie opuścił... i nie opuści, dopóki Marek nie przekroczy granicy lub w ostatniej chwili nie wybiegnie z restauracji.

– Marku... – zaczął jakby sympatycznie. – Ja bardzo chętnie przeleję ci pieniądze na leczenie córki, tylko zwyczajnie oczekuję czegoś w zamian. W końcu tak działa ten świat.

– Tak działa ten świat – powtórzył cicho policjant. Sięgał dna. Wręcz czuł, jak spowija go mrok.

– Ile?

– Dzień dobry. Co podać?

Wyraźnie niezadowolony Alfa podniósł na nią wzrok i zacisnął szczęki. Mięśnie zuchwy napięły się, jakby zaraz miały rozerwać skórę.

– Asiu, przynieś nam dwie szklanki najlepszej whisky, jaką macie. Dupę przetrzepię ci innym razem. A teraz bądź łaskawa i daj dorosłym porozmawiać.

Na twarzy dziewczyny rozlały się rumieńce. Odwróciła się szybko, by nie spojrzeć na Marka. Ten również poczuł zmieszanie.

– Nie pierdolisz się w tańcu.

– Pszczoły nie tracą czasu na tłumaczenie muchom, że miód jest lepszy niż gówno. – Alfa uśmiechnął się szeroko.

– Co? – Marek ściągnął brwi i zmarszczył czoło.

– Nic. – Alfa westchnął. – Ile potrzebujesz?

Marek podniósł wzrok na kelnerkę idącą w ich stronę. Postawiła przed nimi dwie szklanki z bursztynowym płynem i odeszła bez słowa. Spojrzał na alkohol.

– Częstuj się. – Alfa zachęcił go gestem.

– Piętnaście tysięcy.

Mężczyzna zagwizdał teatralnie.

– Grubo.

Policjant wstał i złapał za kurtkę.

– Zapłacę.

– Ale nie za darmo – dopowiedział Marek cicho.

– Nie za darmo. Siadaj i nie rób więcej cyrków, bo mnie drażnisz.

Mężczyzna spiorunował go wzrokiem. Do tej pory starał się być uprzejmy, ale w jego oczach pojawiła się groźba. Marek usiadł więc posłusznie i nachylił się nad stołem. Nie chciał, aby ktoś usłyszał ich rozmowę.

– Do informacji, o którą już cię pytałem, dołożysz kolejną.

– Jaką?

Na kilka długich sekund serce przestało mu bić. Czy właśnie podjął decyzję o zaprzedeniu duszy diabłu? Zaśmiał się w duchu – to tylko szlachetna nazwa na zeszmacenie się. Był gorszy od dziwki czy ćpuna w ciągu, gotowy sprzedać wszystko, w co wierzył. Kiedyś nagiął prawo, ale tylko po to, by ratować brata. Teraz zmieniał się w ścierwo bez zasad, tylko że los nie pozostawił mu wyboru.

– Czy Maćkowiak daje wam z ucha?

– Chyba cię pojebało! – Marek znowu się podniósł.

– Zastanów się! Trzeciej szansy nie będzie.

– Kurwa...

– Słuchaj, dwa szybkie słowa i wychodzimy stąd, a ty za pięć minut masz kasę na zrzutce.

Złapał za szklankę, obrócił nią kilka razy, po czym wziął dwa duże łyki. Natychmiast skrzywił się z niesmakiem.

– Tanie paskudztwo – mruknął.

– Dwóch. – Marek przełknął głośno ślinę.

– Dwóch cię ruchało w dupę czy co?! – warknął Alfa.

Marek zacisnął zęby.

– Dwóch kryminalnych będzie na nocce dwudziestego piątego października.

Alfa kiwnął głową w ramach zachęty. Barczyński złapał za szklankę i jednym haustem wypił zawartość.

– Na drugie pytanie odpowiem tylko jednym słowem – uprzedził policjant.

– To mi wystarczy.

– Tak.

Poczuł silny ścisk w klatce piersiowej. Nie mógł złapać oddechu i nie chciał, by ktokolwiek teraz na niego patrzył. Wstał szybko i złapał za kurtkę. Kręciło mu się w głowie. Ostatnie słowa słyszał jak pod wodą:

– Zainstaluj Signala.

⁵⁴ Zglebować – rzucić osobę na ziemię i obezwładnić.

Rozdział 22

Szedł przed siebie, ale myślami nadal był w restauracji. W jego głowie dudniły dwa słowa. Ich wypowiedzenie sprawiło, że przekroczył cienką linię, która oddzielała dobro od zła. Jako policjant kryminalny często balansował na krawędzi, ale zawsze upadał po właściwej stronie. Od dziś szczęśliwego zakończenia nie będzie. Pozostanie sprzedajną kurwą do końca swoich dni.

Jedynym rozwiązaniem to pójść na emeryturę, choć właśnie stracił prawo do jej otrzymania. Nie zasłużył na żaden państwowy grosz, nie zasłużył na odznakę, numery identyfikacyjne czy mundur wyjściowy wiszący w szafie i czekający na kolejne awanse. Ich już nie będzie. Najchętniej zwolniłby się już dziś, ale choroba córki mu na to nie pozwoli. Pochłaniał go mrok, a jego jedynym celem było uratowanie Róży, zanim zapadnie ciemność.

Nawet nie wiedział, kiedy i dlaczego znalazł się przed domem Iwony Witczyńskiej. Widocznie policyjny instynkt nadal nim kierował. Tego, że stał się szmatą, już nie zmieni, ale obiecał sobie, że rozwiąże ostatnią sprawę i dowie się, kto zamordował Witę.

Zapukał i zrobił krok w tył.

– Znowu pan? – Iwona nie zamierzała mu niczego ułatwiać. Stała w progu z wrogim wyrazem twarzy.

– Wiem, że Wita był gejem – wypalił, czym zaskoczył nawet samego siebie.

Kobieta natychmiast poczerwieniała, zrobiła krok w jego stronę i z impetem zatrzaskała za sobą drzwi.

– Nic nie wiesz! Nie masz prawa tak mówić! – Zbliżyła się, jakby go obwąchiwała. – Zwłaszcza że znowu przychodzisz pijany! – dodała po chwili. Czerwień na jej twarzy zamieniła się w purpurę, a błękitne oczy naszły krwią. – Powinieneś siedzieć w ośrodku dla alkoholików, a nie pracować w policji!

Przeklęta whisky!

– Przepraszam, źle zacząłem – próbowałem ją uspokoić. – Ja naprawdę chcę znaleźć mordercę.

Kobieta zamknęła oczy i zaczerpnęła głęboko powietrza.

– No dobrze. Porozmawiajmy.

Dłonią wskazała drewnianą ławkę stojącą pod starą jabłonią.

– Kruśko się rozsypał.

– On mnie nie obchodzi – rzuciła obojętnie, choć w jej głosie nadal pobrzmiwała złość.

– Bo chciał rozbić waszą rodzinę?

– Tak. – Spojrzała Markowi w oczy. – Skurwiel zakochał się w moim mężu – wycedziła.

– A Wita?

– Był hetero, odkąd go znałam. Ale ten pedał namieszał mu w głowie! – Spuściła wzrok.

– Nie wiedziałem, że...

– Bo nie był! – przerwała mu. – Byliśmy dobrym małżeństwem. Często się kochaliśmy i nie wiem, co mu strzeliło do głowy.

Pojedyncza łza spłynęła po policzku kobiety.

– Chciał was zostawić?

– Nie... Nie wiem. Kilka dni przed tragedią przyznał mi się, że coś poczuł do tej cioty. Zarzekał się, że do niczego między nimi nie doszło, ale nie mógł przestać o nim myśleć... – Głos zaczął jej drżeć.

– A Kruśko nie odpuszczał.

– Nie. Wydzwaniał do niego po nocach, przyjeżdżał pod dom. Zaczął wpadać w paranoję. Wtedy Filip podjął decyzję i wybrał mnie. – Westchnęła ciężko. – Boże, jak to brzmi! Mój mąż zastanawiał się, czy nie zostawić rodziny i nie pójść w tany z pizdowatym chuderlakiem! – Szloch wstrząsnął jej ciałem.

– I?

Marek w końcu dowiedział się, że jego szef, wzór przywódczego samca, zamiast miękkiego i pachnącego kwiatu lotosu mógł chcieć twardego i mało przyjemnego w dotyku kaktusa.

– Paweł wpadł w szał. Filip pokazywał mi esemesy, które od niego dostawał. Groził, że się zabije, po czym przeproszał i nalegał na spotkanie.

Gdy Filip nie ustępował, ten znów groził, twierdził, że wszystkim rozpowie o nich i o tym, co ich łączyło.

– Ale nic nie łączyło?

– Nie. Tylko kogo w tych czasach interesuje prawda? – zapytała, patrząc mu w oczy. – Wielu by się ucieszyło z takich plotek, a sam wiesz, że policja średnio toleruje takie akcje.

– W noc zabójstwa Paweł pisał do Wity.

– Pisał i dzwonił. Powiedział o tym?

Marek spojrzał pytająco, nie rozumiejąc.

– No co? Myślisz, że po co tu przyjechał z tobą?

– Chciał dopilnować, abyś nic mi nie powiedziała?

– Podejrzewaliście każdego oprócz waszych nieskazitelnych i czystych funkcjonariuszy!

Marek szybko się wyprostował.

– Zaraz! Podejrzewasz, że to Paweł?

– Tego dnia wpadł w szal. Kazał Filipowi przyjechać na glinianki, a gdy ten się nie zgodził, zagroził, że palnie sobie w łeb.

– Zeznałaś inaczej.

– A co miałam powiedzieć?! Że wasz zajebisty kryminalny zakochał się w moim mężu i robił mu dramę?

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

– Bo jesteście jedną wielką bandą! Nie ufałam żadnemu z was! Zamietlibyście to pod dywan i jeszcze zrobili krzywdę mnie lub moim dzieciom. Filip opowiadał mi czasami, co potraficie odwalić jako wydział.

Kolejny, który naiwnie spowiadał się żonie – pomyślał. Znał takie przypadki: zakochani policjanci opowiadali swoim połówkom o robocie, często o chwytach operacyjnych lub mniej eleganckich zagrywkach, a potem pocili się w sądach, gdy te wyciągały na nich wszelkie brudy, w tym niejawne informacje, których nie powinny znać.

– Co się zmieniło? – Ponownie spojrzał na Iwonę.

– Myśl, że morderca mojego męża chodzi bezkarnie, zjada mnie od środka. Nie mogę ani spać, ani jeść. Chciałam pisać anonimy do BSW, ale ci pewnie ukrećiliby sprawie łeb. Dorwij go, proszę.

Łzy znów napłynęły jej do oczu.

– Zrobię to, nawet jeśli to jeden z nas. – Wstał z ławki. – Ufasz Barneckiemu?

Kobieta zeszywniała.

– Bo co? – burknęła.

– Wiem, że jest u ciebie w domu. Widziałem buty, w których przed nami uciekał.

– Bez nakazu nie wejdiesz – odpowiedziała buńczucznie, wstając gwałtownie.

Westchnął ciężko.

– Gdybym chciał, tobym wszedł, ale nie mam takiego zamiaru. Odpowiedz mi tylko, czy mu ufasz.

Napięcie opadło.

– Tak. Jest przyzwoitym człowiekiem, a z Witą miał naprawdę dobre relacje. Zrozumiał, że jestem z nim szczęśliwa, i nie wchodził nam w paradę.

– To dlaczego się chowa?

– Z tego samego powodu, dla którego nie powiedziałam wam o tym pedale.

– Dajcie mi człowieka, a ja znajdę na niego paragraf... – powiedział jakby do siebie.

Kobieta pokiwała głową.

– Uważaj na siebie – powiedział Marek, odchodząc.

Wracał od Iwony zadowolony. W końcu udało mu się zrozumieć jej zachowanie. Po przejrzaniu telefonu Kruśki już nic go nie zdziwi. Oprócz pikantnych esemesów znalazł w nim jeszcze zdjęcia, i to nawet bardziej pikantne. Przede wszystkim to Paweł był na fotografiach, ale Wita złamał się kilka razy i wysłał mu zdjęcia w samych majtkach. Ohyda.

Marek był daleki od oceniania innych, ale homoseksualizm nadal nie mieścił się w jego granicach tolerancji. Może to nieodpowiednie w obecnych czasach, ale nie dorósł jeszcze do tego, aby to zrozumieć. Nie wyzywał takich mężczyzn, nie szydził, a na pewno już – jako policjant – celowo nie karał, ale gdy widział dwóch migdałujących się facetów, przechodził go dreszcz obrzydzenia. Pierwotny, bezwarunkowy, nie do stłamszenia.

Miał mętlik w głowie. Trzech podejrzanych to zdecydowanie za dużo. Ich nazwiska walczyły ze sobą w myślach Marka. Kolejno wyobrażał sobie każdego z nich, jak strzelają Wicie prosto w głowę, a później podpalają samochód.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk smartfona. Wiedział, kto dzwonił i w jakiej sprawie.

– Marek, nie uwierzysz – usłyszał podekscytowany głos Amelii. – Alfa znowu przelał nam pieniądze.

– Super. Dużo? – Udawał głupka. Rzucił półsłówkami, bo czuł, że gardło ściska mu stalowe imadło.

– Piętnaście tysięcy. – Cisza była wręcz nieznośna. – Marek, miałeś z tym coś wspólnego?

– No co ty! – rzucił szybko. – Słuchaj, kochanie, mam sporo pracy. Porozmawiamy w domu, dobrze?

Nie czekał na odpowiedź. Rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Mokre od potu dłonie trzęsły mu się jak u alkoholika na odwyku. Telefon od Amelii przypominał mu o tym, kim był. Sprzedajną kurwą. Teraz mógł udać się tylko w jedno miejsce.

W takim stanie nie mógł po prostu wrócić do domu. Napisał do Amelii, że musi zajechać do brata. Nie tłumaczył się, a ona nie dopytywała. Zawsze podziwiała ich braterską relację. Ona ze swoim rodzeństwem rozmawiała tylko w czasie świąt lub urodzin.

– Oho – skwitował Michał, widząc brata.

Spojrzał na trzymany w prawej ręce czteropak piwa i zrobił krok w tył. Marek wszedł bez słowa, ściągnął buty i skierował się do salonu. Usiadł na kanapie i zaczął zrywać folię.

– Czekał! – krzyknął z kuchni Michał. Po chwili wszedł do salonu z dwiema butelkami książęcego. – Ciepłych siuszków nie będę pił – skwitował.

W ciszy otworzyli swoje butelki i wzięli po łyku.

– Co się odjechało, bracie? – zapytał Michał po kilkuminutowej ciszy.

– A mogę po prostu pić bez słowa? – poprosił Marek.

Przez kilka minut trzymał wzrok utkwiony w jednym punkcie na podłodze, a po czwartym piwie beknął głośno, spojrzał mętnym wzrokiem na brata i wyznał:

– Jestem kurwą.

Słowa te, a raczej sposób, w jaki zostały wypowiedziane, zaniepokoiły Michała. Chciał wiedzieć, co się stało, ale brat nigdy nie był wylewny. Miał złe przeczucia.

– Ja też – rzucił, ale za szybko, bez przemyślenia, bez zgody mózgu. Tym razem przemówiło serce.

– No to mamy tutaj kurewskie rodzeństwo – podsumował Marek z koślawym uśmiechem.

Znów zapadła cisza.

Rozdział 23

Nie zamierzał pukać. Może nie miał pewności, ale teraz to było bez znaczenia. Stał się gorszym człowiekiem i tak postanowił się zachowywać. Bez słowa chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Wszedł do środka, a w nozdrza uderzyła go ponownie fala smrodu.

– Kruśko! Wyłaż, do kurwy! – wrzeszczał na całe mieszkanie.

Zrobił kilka kroków w stronę kuchni. Od ostatniej wizyty kopiec nieumytych garnków i talerzy powiększył się dwukrotnie, tak samo jak pleśń na resztkach jedzenia.

– Kruśko, nie mam dzisiaj humoru!

Kopnął pustą butelkę po wódce, a ta z impetem uderzyła w ścianę i rozbiła się w drobny mak. Spojrzał w kierunku kanapy, gdzie poprzednio zastał Pawła. Oprócz jeszcze większej liczby pustych butelek nie zauważył nic niepokojącego. Przeszedł szybko do łazienki, a następnie do sypialni. Pusto.

– Poczekam sobie na ciebie – syknął przez zęby.

Wrócił do salonu i usiadł na kanapie. Początkowo poczuł obrzydzenie: mebel śmierdział najtańszym piwem i chyba wymiocinami. Nie był pewny, ale wolał o tym nie myśleć. Sięgnął po najbliższą butelkę wódki i odkręcił korek. Chwilę patrzył na dno, jakby jeszcze nie podjął decyzji, po czym przyłożył naczynie do ust. Pił łapczywie. Zamknął oczy i ściągnął brwi w grymasie niesmaku. Gdy przełknął ostatni łyk, odrzucił butelkę. Kręciło mu się w głowie i czuł, że zaraz zwymiotuje, ale chciał wypić jeszcze więcej. Zamierzał pić dopóty, dopóki będzie pamiętał, że jest policyjną kurwą.

Wyciągnął z kieszeni telefon i odblokował ekran. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo jest pijany. Ikonki aplikacji zlewały się w jedną niewyraźną mgłę. Zamknął lewe oko i wyteżył prawe. Odnalazł ikonkę

wiadomości. Z ogromnym skupieniem i starannością napisał do żony krótką wiadomość:

Dzisiaj mam nocną akcję, będę jutro po 16.

Tuż przed zaśnięciem wybełkotał jedno zdanie:

– Jestem kurwą.

Rozdział 24

Nie wyglądasz najlepiej – skwitował Czarny.

– Ciężka noc – rzucił Marek, siadając za biurkiem.

– Chyba ciężka flacha.

– Taa.

Marek nie miał zamiaru z nim dyskutować. Zdawał sobie sprawę z tego, jak wyglądał. Wprawdzie wziął szybki prysznic w mieszkaniu Kruśki, ale ubrania miał te same, łącznie z bielizną. Czuł się brudny i tym razem nie chodziło tylko o sumienie.

– To się lepiej ogarnij. Bandura lata od rana jak poparzony. Ponoć dostał zębę od starego⁵⁵.

Barczyński westchnął ciężko. Wczoraj coś w nim pękło i raczej nie zamierzał się już przejmować wrzaskami przełożonego.

Do pokoju odpraw wszedł ostatni. Nie dlatego, że chciał ten czas wykorzystać na doprowadzenie się do ładu – po prostu nie chciał zbyt szybko zwymiotować. Mały nieprzewiewny pokój z czternastoma mężczyznami nie należał do najprzyjemniejszych miejsc, zwłaszcza dla skacowanego czterdziestolatka.

– Oddajcie szmaty⁵⁶! – krzyknął Bandura, nie czekając, aż Barczyński usiądzie.

Policjanci popatrzyli po sobie niepewnie.

– Nie będę się powtarzał! Szmaty na stół.

Naczelnik aż kipiał ze złości. Miał czerwoną twarz, a drobinki śliny widniały na jego ustach i brodzie.

Marek wyciągnął odznakę z tylnej kieszeni spodni i bez wahania położył na stole. Poczuł, jak w gardle rośnie mu lodowa kula. Spojrzał Bandurze prosto w oczy. Inni patrzyli zszokowani na Marka.

– Dlaczego to zrobiłeś? – warknął komisarz.

– Bo jestem kurwą. – Marek nawet nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

Inni policjanci nadal byli w szoku. Nie rozumieli, co się dzieje. Sam Czarny był zaskoczony. Początkowo chciał rzucić jakimś żartem, aby rozładować napięcie, ale nawet on poczuł ciężar sytuacji.

– Ktoś jeszcze jest kurwą? – zapytał Jacek, rozglądając się po pokoju. – Czarny?

Kiwnął głową w jego stronę. Ten odwrócił wzrok.

– Może ty, Mączyński?

– Wypraszam sobie! – obruszył się aspirant.

– W dupie mam twoje wypraszanie! – ryknął przełożony.

Marek już ich nie słuchał. Pochłaniał go mrok, a przed oczami przelatywała mu scena z Alfą i dwa przekłete słowa, których wypowiedzenie było niczym podpis na cyrografie.

– To ja wam coś powiem!

Bandura szukał czegoś w kieszeni. Po chwili wyciągnął swoją odznakę i położył ją na stole.

– Ja też jestem kurwą.

Niezręczna cisza narastała. Po chwili Życzyński poruszył się na krześle. W końcu zrozumiał, co jest grane.

– Też jestem kurwą – powiedział, rzucając odznakę na stół.

Pokój wypełniły szum i poruszenie.

– Ja też! – Kolejny funkcjonariusz rzucił odznaką.

– I ja... – Mączyński westchnął ciężko.

Po chwili na stole znajdowało się czternaście odznak.

– No, panowie. W końcu się rozumiemy. A dlaczego jesteście kurwami?

– Bandura zapytał tak lekko, jakby chciał się dowiedzieć, dlaczego wszyscy nie lubią pizzy.

– Bo nie złapaliśmy mordercy Wity – powiedział Życzyński cicho.

– Właśnie, kurwa! – Uderzył pięścią w stół. – Zabili nam naczelnika, a my, do kurwy nędzy, nic z tym nie zrobiliśmy!

– Próbuujemy – odezwał się Kaniecki.

– Chuja do dupy próbujemy! – odpowiedział mu naczelnik. – Jest nas tu chmara wściekłych psów! Oprócz Kubusia każdy z nas zjadł zęby na tej robocie! I co? Zachowujemy się jak banda ciepłych, sflaczałych pizd! Przecież my nawet nie mamy żadnej poszlaki! – Wstał. – Co wy robicie całymi dniami?

W pokoju panowała cisza. Nikt nie miał odwagi dyskutować z przełożonym. Wiedzieli, że miał rację.

– Dzisiaj rano wojewódzka się zawinęła – kontynuował. – Zostawili trzech starych kryminalnych, którzy dalej będą nad tym pracować. Jedyńka kazał nam wrócić do roboty.

– Co, kurwa?! – oburzył się Marek.

– To, kurwa! Ostatnie dni skupialiście się tylko na tej sprawie. I co z tego? Gównu! Wracacie do nabijania statystyk, a wojewódzka szuka mordercy.

– Jacek, jaja sobie robisz? – zapytał Mączyński.

Bandura milczał.

– Nie tknę statystyki, dopóki nie znajdziemy sprawcy! – krzyknął Czarny.

– Ja też – rzucił buńczucznie Życzyński.

– Co, strajk mi urządzicie?! – Bandura tym razem zrobił się niemal purpurowy.

– Tak – odpowiedzieli wszyscy zgodnie.

– To nas wszystkich wypierdolą i tyle z tego będzie! – wrzasnął naczelnik. – Czemu do tej pory nic nie zrobiliście?!

– Powiedziałem, że próbujemy. Ale to nie jest łatwa sprawa – tłumaczył Kaniecki. – Nie ma żadnych świadków, żadnych nagrań z miejsca zdarzenia i okolic, żona Wity z nami nie gada. Nie mamy nawet telefonu Filipa, żeby się czegoś ucześcić. Na mieście cisza. Nic, kurwa, nie mamy. Na razie wróżymy z fusów!

– Chcecie robić, ale nie wiecie co i jak? – zapytał Bandura.

– A ty wiesz? – wtrącił Mączyński.

– Nie... – westchnął Bandura. – Dlatego chcę, abyście wrócili do zwykłej roboty. Może jak będziecie zwozić kutasów do drobnych przewinień, to któryś coś chlapnie.

– A może nie – dodał Marek.

– A może nie. Ale nie słyszę, żeby któryś z was miał lepszy pomysł. Komenda miała się nie zamykać od jeńców, a tymczasem pustki jak u pięćdziesięcioletniej kurwy.

– Dzisiaj Barnecki wylądował w pedeozecie – powiedział Barczyński cicho. Bandura westchnął.

– A to w ogóle on? – zapytał zrezygnowany.

– Nie wiem. Średnio mi pasuje, ale koniec zastanawiania się. Najpierw działamy, później kombinujemy, jak to obłożyć kwitami – stwierdził Marek,

pocierając palcami skronie.

Komisarz skinął głową.

– Marek, po Barneckim ty też wracasz do starych spraw. Co masz nierozwiązanego?

– Tylko Kratczyk, ale to jakiś lewus^{sz}.

– I chuj. Masz to rozwiązać.

– To jakaś lewa kurwa jest ważniejsza od Wity?

Bandura westchnął kolejny raz.

– Nawet tobie muszę to tłumaczyć? – zapytał.

– Nie musisz mi tłumaczyć, że srasz w majtki przed starym.

– Kurwa, Barczyński! – wrzasnął naczelnik. – Trafiła mi się banda debili. Oficjalnie wracacie do starych spraw i koniec pierdolenia! To jest rozkaz!

– Ale... – wtrącił Czarny.

– Zamknij się i daj mi dokończyć! Oficjalnie wracacie do starych spraw, przygłupy, nieoficjalnie chuj mnie obchodzi, gdzie jeździecie i co robicie. Każdy z was ma swój rozum i nie będzie się obijał, gdy morderca Wity jest na wolności. – Odetchnął głęboko i uspokoił oddech. – Jak przypadkiem, pierdolonym i ślepym fartem przywieziecie mi tego skurwiela, to z własnej kieszeni zamówię wam po dziwce. Do roboty, przygłupy.

Ręką wskazał na wyjście.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Czarny. – Co najszybciej rośnie w zimę?

Odpowiedziały mu cisza i brak zainteresowania.

– Liczba zgonów wśród bezdomniaków!

– Gdzie znajdziemy Barneckiego? – Czarny wpatrywał się w partnera.

– Siedzi u Iwony Witczyńskiej.

Marek otworzył butelkę i duszkiem wypił ponad pół litra wody mineralnej.

– Skąd wiesz?

Marek spojrzał na niego ostrzej i ponownie rozważył pomysł, który przyszedł mu do głowy podczas odprawy.

– Mogę ci ufać?

Aktualnie miał jedną misję. Chciał dorwać zabójcę Wity – bez znaczenia, czy był nim Barnecki, Niedźwiedzki czy Kruško. Sam jednak nie mógł wiele zrobić, a na razie nie chciał mówić naczelnikowi o swoich podejrzeniach.

– Mam się obrazić?!

– Po prostu nikomu nie mów, dopóki nie będziemy pewni.

– Masz coś! – rzucił Czarny podniecony. Poprawił się na krześle i nachylił w jego kierunku. – Kurwa, widzę to! Złapałeś trop, chuju!

Oczy Czarnego rozbłysły nadzieją.

– Barnecki siedzi u Witczyńskiej, ale on tego nie zrobił. Spierdalał przed nami, bo bał się, że przyklepiemy mu morderstwo.

– Jesteś pewny?

– Nie, ale Iwona jest. Gadałem z nią. Mimo to go przydusimy, żeby nie popełnić żadnego błędu.

– Kurwa, mów wreszcie, co masz!

Nabrał powietrza, jakby chciał dodać sobie odwagi, i rozparł się wygodnie w fotelu. Przymknął oczy i zaczął mówić:

– Kruško jest gejem.

Czarny się rozluźnił.

– Też mi nowina – dodał rozczarowany.

– I smalił cholewki do Wity. Od momentu tej masakry Paweł nie schodzi z bani. Odwiedziłem go. Śmierdział klocek i rzygami. Powiedzmy, że przypadkiem wzięłem jego telefon, w którym nadal znajdowały się wiadomości do Filipa. Pawełek nam się zakochał i robił mu afery. W dniu zbrodni także.

– Ja jebię!

– Kruško trzymał klamkę w robocie czy w chacie?

– Na bank w chacie. Kiedyś pomagałem mu kupić sejf. Myślisz, że zastrzelił go ze służbowego waltera?

– Nie wiem. Na miejscu zdarzenia znaleźliśmy kulkę, ale bez łuski. Problem polega na tym, że w laboratorium się coś zjechało i dalej czekamy na opinię.

– Mówiłeś Bandurze o twoim tropie?

– Nie.

– Jedziemy po Kruškę?

Czarny nie wiedział, jak się zachować. Próbował wybadać swojego partnera.

– Całą noc spędziłem u niego w chacie. Była otwarta i pusta. Chyba zorientował się, że dorwałem jego telefon.

– Ukrywa się – wtrącił Czarny. – Ty, ale Kruško to przecież ogarnięty glina. Nie usunąłby wiadomości z telefonu? Przecież to pierwsza wpadka.

– Też o tym pomyślałem, ale nie widziałeś, w jakim był stanie. Gość odleciał i teraz wygląda jak ostatni menel. Chyba po prostu nie miał do tego głowy.

– Zżera go sumienie! I dobrze – powiedział Czarny hardo.

– Spokojnie. Oceniać będziemy, jak zyskamy pewność.

Bandura stanął w drzwiach pokoju.

– Obiecaliście sprawcę, a tymczasem siedzicie i pierdolicie o głupotach. Kawkę podać?

– Kawkę już mamy – odpyskował Czarny.

– A obiecaliśmy Barneckiego, a nie sprawcę – dodał Barczyński.

Do domu Witczyńskiej pojechali w sześciu. Niby Barnecki nie był poważnym bandytą, ale przez okno mógł wyskoczyć każdy, a oni nie mieli czasu na błędy. Marek spodziewał się, że Iwona będzie wściekła – zaufała mu, a on teraz wparuje do domu i wyciągnie jej eksmęża. Trudno. Chciał za wszelką cenę zbliżyć się do mordercy i nie zamierzał nikomu wierzyć. Nawet jeśli Iwona miała dobre intencje, to sama mogła zawierzyć kłamcy.

– Kurwa! – syknął, odkładając telefon.

– Co jest? – zapytał Czarny.

W samochodzie siedział jeszcze Życzyński, ale nie wtrącał się do rozmowy. W wydziale był najmłodszy i mimo że szanował Barczyńskiego, to nigdy nie udało mu się złapać z nim dobrego kontaktu. Po prostu nadawali na innych falach.

– Róża ma dzisiaj pierwszą chemię.

– O której? – Czarny mimowolnie spojrzął na zegar samochodu.

– Za dwie godziny.

– Zdążymy. Grunt, żeby go wyciągnąć i ogarnąć przeszukania. Ja z Kubusiem go przesłuchamy.

– Jakub jestem – wtrącił najmłodszy.

– Jakub anus ma otwarty, kiedy przegra ze mną w karty. – Czarny wyszczerzył zęby.

Marek mimowolnie parsknął śmiechem, a Życzyński burknął coś pod nosem i wrócił do bawienia się telefonem.

– Na jakiej podstawie zrobicie przeszukanie? Przecież nic na niego nie macie – stwierdził po chwili. Chciał się odegrać.

– To my mamy tłumaczyć ci takie rzeczy, Kubuś? Jak stanowi kodeks postępowania karnego, przeszukanie można wykonać na podstawie legitymacji służbowej, nakazu kierownika jednostki lub postanowienia prokuratora. – Czarny teatralnie modulował głos, by brzmieć niczym profesor podczas wykładu.

– Ciągnij się, Czarny. Zajebać ci? – Życzyński poczerwieniał.

– Nie denerwuj się – wtrącił Marek. – Mamy załatwione na telefon. Prorok⁵⁸ klepnie każde przeszukanie.

– Kapocki? – upewnił się Jakub.

Marek skinął głową. Wolał załagodzić sytuację, bo zły glina to niebezpieczny glina, a Barnecki wymagał łagodnego traktowania. Naprawdę nic na niego nie mieli i nie chcieli skończyć ze skargą. Markowi była ona obojętna, ale chciał chronić kolegów... jeśli mógł ich jeszcze tak nazywać.

Trzech kryminalnych z drugiego samochodu od razu poszło na tył domu, żeby obstawić okna. Stanęli przy ścianie, żeby nikt nie mógł ich zobaczyć ze środka. Potrzebowali elementu zaskoczenia – może ktoś z domowników odruchowo otworzy drzwi, spodziewając się kogoś z rodziny czy chociażby listonosza.

Barczyński zapukał. Liczył na to, że jego ostatnia rozmowa z Iwoną zaprocentuje. Może to było wykorzystanie zaufania, ale ostatnio miał na koncie gorsze przewinienia.

Nie pomylił się. Iwona naiwnie otworzyła drzwi i zapytała, czy coś się stało. Marek zerknął na stojące za nią buty Barneckiego, a ona od razu zrozumiała, po co przyjechał.

– Mendum się nie ufa, co? – skwitowała.

– Nikomu się nie ufa. Byłemu mężowi także – odpowiedział, robiąc krok do przodu.

– Postanowienie – powiedziała cicho, jakby do siebie. Sama nie wierzyła w swój opór. Filip często opowiadał jej o pracy i wiedziała, że to nie jest amerykański serial. Jeśli policjanci chcą zrobić przeszukanie, to je zrobią, a dopiero później pokażą odpowiednie dokumenty.

– Iwona, chcemy to załatwić jak najszybciej. Po co robić sceny przy dzieciach?

Skinął ręką na Czarnego.

– Jest nas tu więcej, ale wejdę tylko ja z Czarnym, dobrze?

– Myślałam, że jesteś inny. Wita często cię chwalił, a z ciebie kawał zwykłego chuja.

– Jestem, ale obiecałem sobie, że rozwiążę tę sprawę, nawet jeśli mam narobić sobie wrogów w całym mieście.

Czarny wszedł do środka, puszczając oko do Życzyńskiego. Na dworze panował październikowy chłód, a doskonale wiedział, że młodszy stażem kolega bardziej niż jego nienawidził tylko zimna.

– To są jakieś jaja. Nie wpuszczę was do domu!

Marek spojrzał na niego przyjaznym wzrokiem. Zamienił się z Życzyńskimi miejscami, bo chciał mieć wszystko pod kontrolą.

– Panie Barnecki, nie ma co się denerwować. Zginął naczelnik wydziału kryminalnego, więc to normalne, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by dorwać mordercę.

– I niby ja nim jestem? – Spojrzał hardo w oczy policjanta.

– Na chwilę obecną jest pan osobą podejrzaną – oświadczył spokojnie Barczyński.

– Z tego, co mówiła mi Iwona, wynika, że podejrzany musi mieć przedstawiony zarzut, a ja takiego nie widzę przed sobą.

Marek się uśmiechnął. Zauważył, jak Czarny spojrzał w lusterko wsteczne.

– Zgadza się, panie Barnecki, ale mówi pan o osobie podejrzaną, a ja – o podejrzaną.

– Jasne! Iwona mówiła, że zawsze znajdziecie sposób, żeby wasze było na wierzchu. – Spojrzał w boczną szybę. – I tak was nie wpuszczę do domu, nie macie postanowienia.

– Niepotrzebnie pan utrudnia. Przeszukania dokonamy na podstawie legitymacji służbowej, a następnie prokurator rejonowy zatwierdzi tę czynność. Możemy wejść siłą do pana mieszkania, ale nie widzę takiej potrzeby.

– Nie możecie! – Barnecki próbował zakłócić rzeczywistość.

– Możemy, szczególnie że przy naszym pierwszym spotkaniu zdecydował się pan na ucieczkę – powiedział Czarny.

Rozumiał grę Marka i właśnie wziął w niej udział.

Był przerażony. Od kilku dni nie mógł spać ani jeść. Czuł się jak bohater amerykańskiego filmu uciekający przed organami ścigania. Co gorsza, nie wiedział, kto lub co może mu pomóc. Początkowo myślał, że będzie to Iwona, ale ona naiwnie zaufała temu gliniarzowi i to właśnie przez nią go złapali. Nie spodziewał się, że mają na niego coś, co pozwoli im zatrzymać go na noc lub dłużej. Przewidywał szybkie przesłuchanie w charakterze świadka i puszczanie wolno, ale teraz powoli zmieniał zdanie.

Już nacisk Barczyńskiego na przeszukanie jego mieszkania był dziwny. Niby co miałyby tam ukryć? Broń, którą zastrzelono Filipa, czy może kanister po benzynie? Robił wszystko, aby pokazać policjantom, że się nie denerwuje. Oczywiście, że cała sytuacja była dla niego niekomfortowa, ale nie martwił się o przeszukanie. W dzień ucieczki poczekał do nocy i wrócił do mieszkania. Posprzątał w nim wszystko, nawet spłukał w toalecie pół grama amfetaminy, którą trzymał na trudniejsze chwile.

Celowo jednak wypytywał o podstawy prawne i przysługujące mu prawa. Iwona mówiła mu kiedyś, że większość glin trzęsie portkami, gdy słyszy magiczne słowo „skarga”. Wycofują się ze swoich działań w obawie przed postępowaniem dyscyplinarnym. Ale Barczyński był inny. Zwracał się do niego uprzejmie, lecz stanowczo. Bez chwili wahania założył mu kajdanki i zapytał, kogo powiadomić o zatrzymaniu. Odechciało mu się z nimi wojować. Wiedział, że jego sytuacja się pogarsza.

Wracali do komendy. Tak jak się spodziewali, przeszukanie skończyło się fiaskiem. Nawet jeśli wcześniej coś znajdowało się w mieszkaniu, to po ucieczce Barnecki miał czas się tego pozbyć.

Marek postanowił założyć Barneckiemu kajdanki, by dać mu do zrozumienia, w jakie szambo wpadł. Nie miał bezpośrednich podstaw do zatrzymania mężczyzny, ale z uwagi na jego ostatnią ucieczkę mógł działać prewencyjnie. Znał się na ludziach i od razu zauważył zmianę w zachowaniu Barneckiego. Kajdanki odegrały swoją rolę. Celowo zapytał, czy powiadomić kogoś o zatrzymaniu. Błefował, bo nie mieli podstaw do zatrzymania – ale Barnecki o tym nie wiedział. Taka zagrywka psychologiczna wiele razy pomogła im złamać przesłuchującego. Widmo spędzenia nocy na dołku niektórym rozwiązywało języki.

Gdy jechał do domu Witczyńskiej, planował szybko zakończyć sprawę z jej byłym mężem. Teraz, widząc jego zdenerwowanie, postanowił przyłożyć się do przesłuchania. Czarny też coś zauważył, bo co chwilę zerkał w lusterko.

– Czarny, jak szybko nasz technik przywraca wiadomości usunięte z telefonu?

– Do trzech godzin – podłapał policjant. – Ostatnio chwalił się, że dostali z wojewódzkiej nowy program, który odzyskuje nawet usunięte zdjęcia.

– I to, że nasz agent zmienił telefon, nic nie znaczy?

– Nie. Te wszystkie aplikacje bazują na jednym koncie. Po zmianie telefonu i tak wszystko zostaje w chmurze.

– No to dzwonię do niego i mówię, żeby odpalał to nowe cacuszko. – Życzyński przyłączył się do gry.

W samochodzie rozległo się głośne przełknięcie śliny. Marek nie musiał nawet patrzeć na Barneckiego, aby wiedzieć, że to on.

– Sprawa jest prosta. Albo mówisz nam całą prawdę, albo za trzy godziny lecisz na sanki⁵⁹.

– Kurwa. – Barnecki spojrzał w dół. – A mogłem spierdolić za granicę.

Gdy wchodzili do wydziału, minęli się z Bandurą, który uśmiechnął się szeroko na widok Barneckiego.

– Ciebie, Marek, jak zjebać, to zaczynasz zapierdalać – powiedział zadowolony.

Marek nie zareagował. Początkowo chciał poprosić naczelnika o wolne do końca dnia, ale teraz, gdy czuł, że coś jest na rzeczy, nie mógł sobie na to pozwolić. Musi szybko i skutecznie przeprowadzić przesłuchanie, żeby zdążyć na chemioterapię córki.

Zaprowadzili figuranta do pokoju i posadzili na wysłużonym krześle. Marek z Czarnym usiedli przy biurkach, Życzyński zamknął drzwi i oparł się o nie.

– Chyba nie będziemy się pierdolić, Marek. Zanoszę telefon do technika i niech wyciąga każde gówno.

Czarny wstał od biurka i skierował się w stronę drzwi.

– Panowie, czekajcie! – powiedział zatrzymany. Wpatrywał się w Marka, jakby szukał u niego pomocy.

Barczyński westchnął teatralnie.

– Dajesz, Kamil. Tylko tego nie spierdol, drugiej szansy nie dostaniesz.

Czarny celowo nie reagował. Nacisnął guzik zwalniający elektroniczny zamek w drzwiach i złapał za klamkę.

– Czarny, czekaj chwilę – powiedział Marek, patrząc na figuranta.

Ten obserwował policjanta trzymającego telefon.

– Interesuje was tylko sprawa Filipa?

Czarny wzruszył ramionami. Ponownie wcisnął guzik zwalniający zamek.

– Już mówię, po co te nerwy!

Serce podeszło jej do gardła. Starsza pani w niebieskim stroju powiedziała im, że wchodzi za dziesięć minut. Nerwowo rozejrzała się po korytarzu, po czym ze łzami w oczach spojrzała na mamę.

– Obiecywał – powiedziała łamiącym się głosem.

Amelia milczała.

– Mamo, tata chyba mnie nie kocha. Pewnie jak umrę, to zrobicie sobie nową.

Zamarła. Te słowa rozerwały jej serce na kawałki. Tym razem na pewno złoży papiery rozwodowe – obiecała sobie w myślach.

– Zapraszam rodzinę Barczyńskich. – Starsza pielęgniarka stanęła w progu gabinetu.

Nerwowo trąbił na ślamazarnie poruszającego się przed nim fiata. Klął głośno i sugerował, że kierowca znalazł prawo jazdy w chipsach. I jeszcze ten cholerny telefon. Rano nie sprawdził stanu baterii, a teraz nie miał czasu jej naładować. Nawet nie miał jak zadzwonić do Amelii.

Niepotrzebnie przeciągał swoją obecność podczas przesłuchania Barneckiego. Czarny by sobie poradził. To przez ten pierdolony instykt psa i przeświadczenie, że sam wszystko zrobi najlepiej! Okazało się jednak, że Barnecki nie był tak przyzwoity, jak zapewniała Iwona. W dniu śmierci Wity spotkał się z nim, a nawet pokłócił.

– Kurwa, w końcu! – warknął, gdy zobaczył, że fiat skręca. Zostało mu raptem kilkaset metrów.

Wcisnął gaz do dechy. Jechał służbowym samochodem, ale nie przejmował się ewentualną kolizją i postępowaniem dyscyplinarnym. Chciał zdążyć, nic innego się nie liczyło.

Zatrzymał auto tuż przed wejściem do szpitala. Najwyżej ktoś wezwie patrol, który szybko rozpozna służbowe auto kryminalnych. Wiedział, że Róża miała wizytę na trzecim piętrze. Nie zamierzał czekać na windę. Biegł schodami, przeskakując co drugi, a czasami nawet i trzeci stopień. Przy drugim piętrze poczuł pieczenie w udach, ale nie zwolnił.

– Kobieta z dzieckiem... w chustach – rzucił zasapany do pacjentów w poczekalni.

– Weszły do środka – poinformowała starsza kobieta.

Zapukał dwa razy i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

– Zdążyłem? – zapytał przestraszony.

Spojrzał na Różę i już znał odpowiedź.

A jednak nie zdążył. Do ostatniej chwili wpatrywała się w stronę, z której przyszły, ale się nie pojawił. Teraz siedziała w tym gabinecie razem z mamą i w ogóle nie rozumiała mądrych słów, których używała pani doktor. Miła

pani w białym stroju co jakiś czas uśmiechała się do niej, puszczając oczko. Róża jednak nie potrafiła odwzajemnić uśmiechu. Była przerażona nadchodzącym zastrzykiem i nieobecnością tatusia. Miała wrażenie, że cały pokój wiruje. Wszystko przed jej oczami się rozmywało.

Lekarka podeszła w kierunku szafki. Albo stolika. Róża nie była pewna, co tak naprawdę widziała. Nagle jej wzrok skupił się na strzykawce i woreczku z lekiem, które podniosła lekarka. Po chwili na lewym przedramieniu poczuła dotyk. Spojrzała w dół i zauważyła, jak mama podwija jej rękaw. Odruchowo cofnęła rękę, choć wiedziała, że nie uniknie tego momentu.

– Nigdy nie wybaczę tego tacie – wyznała, prawie płacząc. Pojedyncza łza spłynęła po policzku.

– Ja też, kochanie – odpowiedziała jej matka, głaszcząc ją po skroni.

– Zdążyłem? – Przerażony Marek wbiegł do gabinetu.

⁵⁵ Stary – komendant jednostki.

⁵⁶ Szmata – policyjna odznaka.

⁵⁷ Lewus – osoba z przeszłością kryminalną, która nadal łamie prawo.

⁵⁸ Prorok – prokurator.

⁵⁹ Sanki – tymczasowy areszt.

Rozdział 25

Wspólnie wracali do domu. Amelia musiała kierować, bo Róża nie puszczała Marka. Teraz dziewczynka spała na tylnym siedzeniu z głową na jego kolanach. Trzymała jego prawą dłoń.

– Kasa się kończy – powiedziała Amelia cicho, patrząc w lusterko.

– Nigdy jej nie było.

Marek nie miał odwagi spojrzeć żonie w oczy.

Amelia poczuła wibracje telefonu. Odebrała.

– Tak? Już daję.

Podala aparat mężowi. Marek zauważył nazwę dzwoniącego.

– Co tam, braciak?

– Kurwa, dzwonię do ciebie od godziny. To ja się pytam, co jest?

– Telefon mi padł. Jesteśmy po pierwszej iniekcji. Mała śpi mi na kolanach.

– Będzie dobrze?

– Tak mówi lekarka, ale one zawsze tak mówią.

– Słuchaj, przelałem ci pięćset złotych. W tym miesiącu już więcej nie dam rady.

– Brat, nie musisz.

– Muszę i chcę. Nie ma tematu. Gdyby nie to, że mogę wam pomagać, już dawno siedziałbym w więzieniu.

– Nie zaczynaj.

– Dobrze wiesz, że...

– Cicho bądź. Starszy brat ci nakazuje.

– Starszy o trzy minuty!

– Czyli nadal starszy i przede wszystkim silniejszy. Słuchaj się albo w dupę dostaniesz.

– Tak jest, starszy bracie!

Marek się rozłączył.

– Wszystko w porządku? – zapytała Amelia.

Skinał tylko głowę.

Michał był młodszy i mniej rozgarnięty, ale Marek i tak go kochał. Ufali sobie bezgranicznie i znali najgorsze tajemnice. Oddaliby za siebie życie.

Marek nigdy go nie słuchał. Zadzwoił do niego, bo znów potrzebował się wygadać, a ten jak zwykle uciszał go lub zmieniał temat. Rozumiał, że Marek miał teraz poważniejsze sprawy na głowie, ale chciał tylko pogadać. Przecież Róża i tak spała.

Od kilku dni znów miał ten sen. Identyczny, powtarzalny, okropny. Budził się w środku nocy zlany potem. Płakał, zanim ponownie zasnął. Choć minęło pięć lat, to w jego snach twarz kobiety była tak realistyczna, jakby widział ją kilka godzin wcześniej. Nie chciał jej skrzywdzić, ale to zrobił. Teraz znów chciał się zgłosić na policję. Nie był już w stanie dźwigać ciężaru tego grzechu. Popęłił przestępstwo, a za przestępstwo powinno się ponieść karę.

Postanowił, że to zrobi. Pójdzie na policję i opowie o całej sytuacji... ale najpierw pomoże Róży. Może nie przelewał wiele, ale Amelia zapewniała go, że w tej chwili liczy się każda złotówka.

Tak, to dobry pomysł. Tuż po wygranej walce Róży zgłosi się na policję i opowie, jak było. Nie wspomni o tym Markowi, bo on znów będzie go od tego odwodził – ale to nie jego pożerało sumienie. Czuł, jak z każdym dniem stawał się gorszym człowiekiem. Musiał to naprawić, zanim całkiem zatraci się w mroku.

Rozdział 26

Podjechali przed blok. Marek postanowił nie budzić Róży, choć wiedział, że zaraz i tak zaczną się wymioty i bóle mięśni. Wziął ją w ramiona i ruszył w stronę klatki schodowej.

– Musimy porozmawiać – usłyszał za sobą. Od razu rozpoznał ten głos.

– Jak pani widzi, nie mam czasu. Córka mnie potrzebuje – odpowiedział bez odwracania się.

Amelia patrzyła pytająco na męża. Spodziewała się najgorszego.

– Proszę. Tylko kilka minut. Po tym, co mi zrobiłeś, zasługuję na chwilę rozmowy.

Twarz Amelii natychmiast poczerwieniała. Czyli ostatnią noc spędził nie w pracy, ale u niej?!

– Kochanie, to żona mojego byłego naczelnika – powiedział, chcąc ją uspokoić.

– I czego chce?

– Pani mąż wszedł do mojego domu i zatrzymał mojego eksmęża. Do tej pory go nie wypuścili. Żądam wyjaśnień.

Amelia odetchnęła z ulgą. Nigdy wcześniej nie miała podstaw do zazdrości i nie wiedziała, dlaczego tym razem dała jej dojść do głosu.

– Mój mąż za chwilę do pani zejdzie – zapewniła, otwierając drzwi.

– Nie – odpowiedział krótko.

– To tylko dwie minuty. Róża nie zdąży się nawet obudzić.

Marek z niezadowoleniem pokręcił głową i poszedł za Amelią.

– Ale mnie urządziłaś.

– Marek, ta kobieta niedawno straciła męża. Dziś zamknąłeś jej byłego. To chyba trochę za dużo, co?

Nie odpowiedział. Gdy zgarniał Barneckiego, nawet przez sekundę nie myślał, co może czuć Iwona. Zresztą nigdy nie myślał o drugich połówkach zatrzymanych. Nie chciał przejmować się rzeczami, na które nie miał

wpływu. W końcu to bandyci popełniali przestępstwa, a więc ich kobiety mogły mieć pretensje tylko do nich.

– Nie mogę ci za dużo powiedzieć, przecież wiesz, jak to działa. – Dosiadł się do kobiety.

– Jestem tu, bo doskonale wiem, jak to działa. Zostaw sobie te puste formułki dla kogoś mniej obeznanego.

Uśmiechnął się. Żona naczelnika wydziału kryminalnego nie da sobie wcisnąć tak banalnych kłamstw.

– Po prostu chcę wiedzieć, czy wpuściłam do domu złego człowieka.

– Kręcą go dzieci.

Iwona zeszywniała. Nawet nie spojrzała mu w oczy.

– Kłamiesz.

– Jutro ma posiedzenie aresztowe, ale za to, co znaleźliśmy w jego telefonie, jestem pewny, że dostanie trzy miechy.

– Ja pierdołę! – Kobieta złapała się za głowę.

– Dzisiaj nam płakał i zarzekał się, że nigdy nie zrobił im krzywdy. Zeznał na papier, że Wita jakimś cudem dowiedział się o jego zainteresowaniach, przez co w noc zabójstwa ostro się pokłócili.

– Kamil go zabił?! – krzyknęła, wstając z ławki.

– Nie wiem. Zamkniemy go w areszcie i będziemy próbować wyciągnąć z niego coś więcej. Ale... – Zawahał się. – Moim zdaniem to nie Barnecki. Okej, to skurwiel, ale o was, tobie, dzieciach i Wicie, wyrażał się z szacunkiem.

– To kto zabił mojego męża? – zapytała ze łzami w oczach.

– Dowiem się. – Złapał ją za bark i delikatnie ścisnął. – Wracam do córki, dziś to ona potrzebuje mnie najbardziej.

Rozdział 27

Dreszcz targnął jego ciałem. Czuł, że nie wyjdzie z tego cało. Klęczał na ziemi i nie patrzył na swoich oprawców. Widział tylko ich markowe buty zaplamione krwią. Jego krwią. Śmiech zmieszany z groźbami raz po raz przebijały się przez barierę utkaną z szumów i zawrotów głowy. Z pewnością doznał wstrząśnienia mózgu. Poczł ściąsk żołądka, a po chwili wymiotował na te markowe buty.

– Kurwa! – krzyknął jeden z napastników, po czym znów zaczęli go kopać.

Przybrał pozycję embrionalną, kolanami starał się ochronić brzuch, a rękami głowę.

– Starczy mu – rozległ się niski donośny głos.

Wiedział, do kogo należy. Wczoraj, gdy wychodził z pracy, podszedł do niego przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna. W dość bezpośredni sposób zaproponował mu współpracę. Jeśli dobrze zrozumiał, chodziło o usługi medyczne, ale takie bez żadnej dokumentacji. Miał dostać gabinet położony gdzieś na uboczu i dwie Ukrainki do pomocy. Nie chciał o tym słyszeć, ale nieznajomy nie pozostawił mu wyboru. Ten skurwiel wiedział o jego słabości do dzieci. Ba, miał nawet zdjęcia, na których uprawiał z nimi miłość. Tak, uprawiał z nimi miłość, bo nie był jednym z tych zwyroli, którzy gwałcili nieletnich dla prymitywnej przyjemności. On naprawdę kochał dzieci.

Poczł pieczenie na szczycie głowy, jakby ktoś zrywał mu włosy razem ze skórą.

– Aaa! – syknął z bólu.

– Ty czegoś nie rozumiesz, doktoru. – Alfa spojrzł mu prosto w oczy. – Ja się ciebie nie pytam, czy chcesz dla mnie pracować, tylko kiedy zacznasz!

– Ja... – Krew z rozbitej wargi i nosa napłynęła do ust. Wypluł ją i znowu zaczął mówić: – Ja nie chcę...

Tym razem przerwało mu kopnięcie w brzuch. Alfa znowu złapał go za włosy i podniósł jego głowę.

– Drabina, przeszukaj go i wyciągnij telefon. Znajdź najbliższe kontakty, matki, żony, córki, kochanki, babki też może być. Roześlij im nasze fotki.

Chudy i wysoki mężczyzna przytaknął. Szybko znalazł iPhone'a. Wyciągnął go z prawej kieszeni spodni i bez słowa chwycił mocno za rękę lekarza i przyłożył kciuk do czytnika. Smartfon został odblokowany, a na tapecie ujrzeli piękną, uśmiechającą się blondynkę, która trzymała śpiącego niemowlaka.

– Jego też dymasz czy czekasz, aż zacznie stękać? – zapytał Alfa twardo.

Mężczyzna chciał coś wyjaśnić, ale ostatecznie się powstrzymał. Nie był w odpowiednim położeniu, żeby dyskutować.

– Zgadzam się – powiedział i zarazem wydał na siebie wyrok.

Oboje siedzieli w łazience na posadzce. Ciałem Róży co chwilę targały torsje. Już godzinę temu zwymiotowała wszystko, co dzisiaj zjadła. Teraz pluła jedynie żółcią. Marek miał wrażenie, że z każdą falą wymiocin tracił cząstkę siebie. Chciał ulżyć córce, ale nie mógł. Delikatnie masował jej plecy, choć wiedział, że niedługo nawet to będzie sprawiało jej ból.

W końcu po trzech godzinach zaniósł ją do pokoju. Obok łóżka postawił szklankę wody i plastikową miskę.

Gdy wychodził, jego telefon wydał z siebie głośny dźwięk powiadomienia.

Rozdział 28

Na parking wjechały trzy białe busy. Z uśmiechem obserwował ich spokojną jazdę. W pierwszym za kierownicą siedział mały starszy mężczyzna. Był wysuszony niczym rodzyńka, a poorana grubymi zmarszczkami twarz nie wyrażała żadnych emocji. Iwan wyszedł z samochodu i podszedł do Alfego.

– Towar jest w dwóch ostatnich – powiedział ze spuszczonego wzrokiem.

Odwrócił się w kierunku samochodów, krzyknął coś po rosyjsku, machnął ręką na dwóch pozostałych kierowców i wrócił do swojego pojazdu. Mężczyźni bez słowa dołączyli do niego. Ten ruszył bez zastanowienia, nie spoglądając za siebie.

Ruskie śmiecie – pomyślał. A co, jeśli busy są puste? W końcu zapłacił z góry, a jego łącznikiem był Iwan, właśnie znikający w oddali. Zawołał Kamienia i zbliżył się do jednego z busów.

– Otwórz – polecił.

Po chwili w nozdrza uderzył go smród moczu i kału. Alfa uśmiechnął się szeroko. Był zadowolony z dostarczonego towaru. Sprawdził drugiego busa, po czym nakazał Kamieniowi wjechać samochodami do garażu. Młody doktor skrzywił się na widok zaparkowanych aut. Wiedział, co oznaczały.

– Jakież życzenia? – zapytał.

– Jedno. Przestań mnie wkurwiać! – ryknął Alfa. – Pytasz głupio, jakbyś przygotowywał się do poważnej operacji. Masz ogarnąć suki tak, aby były gotowe do masowego rżnięcia. Jak im cipy nie kaszlą, to znaczy, że są zdrowe. – Podszedł do doktora i mimo wszystko poklepał go po plecach. – Nasi przyjaciele dla ciebie też coś przywieźli. Spisz się, a będziesz miał dożywotnie ruchanko za friko.

Mężczyzna skrzywił się, choć i tak poczuł przyjemne mrowienie w kroczu. Poczuł do siebie wstręt i... ogromną motywację do pracy.

Po raz pierwszy używał aplikacji Signal.

Kasa czeka, aż ją podniesiesz. Za 30 minut na KołECKIEGO 20.

Poszedł do łazienki. Amelia nie miała pojęcia o jego kontaktach z Alfą i tak miało zostać. Usiadł na toalecie i bez wahania odpisał:

Dzisiaj nie mogę.

Wyciszył telefon i po chwili poczuł w dłoni wibracje.

Myślisz, że masz wybór? Urocze.

Na końcu zdania rozmówca umieścił dwie emotikony: psa i mężczyzny w garniturze.

Marek zastanawiał się, co odpisać. Po chwili zobaczył, że nadawca nadal coś pisze. Mógł odłożyć telefon na bok, wyłączyć go, a najlepiej odinstalować aplikację. Ale Alfa wysłał mu zdjęcie, na którym siedzą w restauracji. Marek pił whisky, a Alfa uśmiechał się szeroko. Zdjęcie przedstawiało dwóch świetnie dogadujących się mężczyzn. Zrobiło mu się gorąco. Ktoś cały czas siedział obok nich, a on nawet tego nie zauważył.

Po chwili przyszła kolejna wiadomość:

Odpowiedni argument? A może dostać nagrania głosowe?

Na końcu zdania znajdowała się emotikona uśmiechniętej buźki z okularami przeciwsłonecznymi.

Będę – odpisał, próbując opanować oddech.

Zaparkował ulicę dalej. Nie chciał, by ktoś rozpoznał go w takim miejscu. Choć on sam nie kojarzył tego całego Alfego, to jednak ktoś z patrolu mógł go znać. Nie pytał oficjalnie, bo to byłoby podejrzane. Na ulicę KołECKIEGO ruszył pieszo. Co chwilę sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Postanowił, że tym razem nie da się nikomu podejść. Jeszcze w domu stwierdził, że musi

być sprytniejszy od Alfego. Tak łatwo się już nie wycofa z tej znajomości, ale to on musi zacząć dyktować warunki.

Przeszedł dwieście metrów, po czym skręcił w lewo na drogę gruntową. Ta była nierówna i nieoświetlona, przez co dwa razy się potknął i prawie upadł. Odruchowo wyciągnął telefon. Chciał włączyć latarkę, ale zreflektował się, że lepiej pozostać niezauważonym. Wzdłuż drogi nie było żadnych zabudowań, tylko w oddali widział oświetlony dom i zaparkowanych przed nim kilka samochodów.

Gdy zbliżył się do posesji, zauważył na elewacji dużą drewnianą liczbę dwadzieścia. Nie widział nazwy ulicy, ale tę wskazał mu wcześniej GPS w telefonie. Przed domem stały trzy samochody, w tym renault arkana Alfego. Wyciągnął z kieszeni telefon i postanowił napisać Alfemu, żeby ten wyszedł na zewnątrz. Otworzył aplikację.

– Piszesz do żony, że się boisz?

Spojrzał za siebie i natychmiast poczuł złość. To on miał być sprytniejszy, tymczasem Alfa znów go podszedł.

– Idziemy do środka – oznajmił spokojnie gangster.

– Nie. – Marek schował telefon do kieszeni. – Jeśli masz sprawę, to mów tutaj.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Zaczynasz mnie denerwować.

Objął Marka i poprowadził w stronę domu.

– To ja rozkazuję tobie, nie na odwrót.

Marek się zatrzymał.

– Jeśli mamy sobie pomagać, to tylko w tajemnicy przed innymi. Nie mam zamiaru ryzykować, że jakiś prawilniak mnie sprzeda.

– Nie sprzeda. W domu są tylko zaufane osoby. Trzech moich i lodziara na zawołanie.

Weszli do środka. Na szczęście nikt na nich nie czekał. W myślach Marek widział tłum gapiów trzymających w rękach telefony gotowe do robienia zdjęć. W salonie siedział tylko dwudziestolatek w okularach i pił piwo. Obok niego tańczyła kobieta, może trzydziestoletnia. Miała na sobie erotyczną bieliznę, podkreślającą wyjątkowo zgrabną figurę. W tle leciała muzyka – jeśli ciągle przeklinanie i krzyczenie o szacunku ludzi ulicy można było nazwać muzyką. Po chwili z kuchni wyszedł szczupły, wysoki mężczyzna o ostrych rysach. W domu panowała ciemność, ale Marek

od razu zauważył jego wyłupiaste, rozszerzone do granic możliwości oczy. Domyślał się, że to nie był efekt kawy.

– Panowie, oto nasz nowy kolega.

Alfa lekko pchnął Marka do przodu. Ten, zmieszany, machnął obojętnie ręką i skinął głową. Chciał, aby widzieli jak najmniej. Ponownie spojrzał na Alfę i zapytał:

– To jaka to sprawa?

Mężczyzna spiorunował go wzrokiem, po czym uśmiechnął się lekko.

– Drabina, wyłącz Peję – polecił koledze. – To wasz kierowca. Dzisiaj odbierze was po skończonej robocie i zawiezie do Drabiny.

Marek, zdezorientowany, spojrzał na niego.

– Na nic się jeszcze nie zgodziłem! – zaprotestował.

Alfa uśmiechnął się półgębkiem.

– Kierowca ma na imię kierowca i koniec. Rozumiemy się, Pisarz?

Mężczyzna spojrzał w stronę chłopaczka w okularach, który wyglądał Markowi na informatyka albo wiecznego prawiczka. Miał na sobie obcisły sweter w paski i równie obcisłe niebieskie dżinsy. Choć jego klatka piersiowa wyraźnie się odznaczała, to i tak wyglądał wyjątkowo pizdowato. Nic dziwnego, że wpatrywał się w stojącą przed nim półnagą kobietę. Pewnie to była jedyna okazja, kiedy mógł zobaczyć kawałek cycka.

Chłopak skinął głową, nie odrywając wzroku od tancerki.

– No to uzgodnione. Teraz możesz się napić, kurs masz za godzinę – rzucił Alfa i klepnął kobietę w tyłek. Uśmiechnął się i ruszył w stronę kuchni.

– Czeka! – warknął Marek. – Co tu jest grane? Co ty odpierdalasz?

– Ostatnie ostrzeżenie, panie kierowco. – Alfa spojrzał mu prosto w oczy i poklepał go po policzku. – Grzeczniej – dodał z uśmiechem.

– Wytłumaczysz mi, co się dzieje?

Marek z trudem powstrzymywał nerwy. Był na granicy wytrzymałości. Miał ochotę uderzyć Alfę w twarz, a pozostałych zakuć w kajdanki i przeszukać dom. Na pewno znalazłby coś, co pozwoliłoby mu na zatrzymanie ich wszystkich.

Alfa westchnął teatralnie.

– No to tak. Najpierw spójrz na stronę waszej zbiórki. Jak już zrozumiesz, że warto siedzieć cicho i się mnie słuchać, to usiądź tam w fotelu – wskazał ręką na kąt salonu – i czekaj grzecznie, aż do ciebie podejść.

Marek bez słowa wyciągnął telefon z kieszeni. Adres strony zbiórki miał zapisany w zakładkach, więc jej otwarcie zajęło mu kilka sekund. Spojrzał na ostatnie wpłaty. Wśród płotek widniała też prawdziwa gruba ryba – dziesięć tysięcy złotych.

Policjant spojrzał na uśmiechającego się mężczyznę i usiadł bez słowa. Po drodze zgarnął ze stołu zamknięte piwo. Otworzył butelkę i opróżnił ją za jednym zamachem.

– Następny pies się spóźnia? – zapytał mężczyzna wchodzący do salonu. Był wysoki i barczysty.

– Kamień! – warknął Alfa.

Doskoczył do niego w kilka sekund. Powiedział mu coś do ucha, a ten skulił się i grzecznie ruszył do kuchni za gospodarzem.

Czyli nie jestem jedyną sprzedajną kurwą? – wywnioskował Marek. Próbował podsłuchiwać, ale Drabina znów puścił polski rap. Po chwili Kamień wrócił do salonu i skierował się w stronę butelek z wódką. Na twarzy miał widoczny czerwony ślad.

Drabina próbował zagadać, ale Marek nie reagował. Chłopak był tak pobudzony, że wypluwał z siebie dobre sto słów na minutę. Ciekawe, czy w ogóle nad tym panował. Informatyk był jeszcze bardziej denerwujący. On też musiał wciągnąć niejedną kreskę, bo zadawał pytanie za pytaniem: „Skąd się znacie?”, „Ile masz lat?”, „Chcesz kreskę?”, „Jesteś stąd?”. Marka rozboleła od tego głowa, ale informatyk nie przestawał. Barczyński chyba zrozumiał genezę ksywy Pisarz.

– Czyli książkę piszesz? – zażartował Marek.

Blady chłopak w okularach zrobił minę, jakby ktoś zapytał go o drogę na dworzec, tyle że po chińsku.

– Nieważne. – Policjant machnął dłonią.

Pisarz ruszył po kolejne piwo.

– Czyli już poznałeś naszego Pisarzyka?

– Nie podoba mi się. Zbyt ciekawski – skwitował Marek.

Gangster się roześmiał.

– Spokojnie. To nasz zespołowy debil. Każdego tak wypytuje. Mnie nawet pytał, ile centymetrów ma mój stwór. – Alfa zarechotał.

– Ufasz mu?

– Nie, tak samo jak tobie. Ale wprowadził nas na nowy rynek i jest przydatny.

– To mnie nie przekonuje – stwierdził Barczyński niezadowolony.

– Słuchaj. Zasada jest prosta: każdy kłamie. Rzadko zobaczysz na ich twarzach to, co znajduje się w ich sercach. Wystarczy nie ufać nikomu i nigdy się na nikim nie przejedziesz.

– Kurwa, serio?

Denerwowały go mądrości Alfego. Wciskał je do rozmowy na siłę, aby sprawiać wrażenie inteligentnego. Tak, jasne, Marek znał kogoś, kto podczas zwykłej rozmowy rzucał cytatami, ale były one wyszukane i przemyślane. W dodatku Lektor zawsze wiedział, kiedy ich użyć, a kiedy po prostu milczeć. Jako jeden z niewielu wciąż uważał, że milczenie jest cnotą.

– Tania! – krzyknął Alfa w kierunku tańczącej kobiety.

Ta podeszła do nich, delikatnie się kłaniając. Była wyjątkowo ładna. Delikatne rysy w połączeniu z pełnymi ustami i długimi ciemnymi włosami sprawiały, że mogła się podobać. Seksowna figura i jeszcze seksowniejsza bielizna tylko dopełniały całości.

– Wiesz, dlaczego ta piękność ma na imię Tania? – zapytał Alfa, uśmiechając się.

– Bo jest tania? – Marek dobrze znał ten żart.

– Cham! – warknęła kobieta i odeszła w głąb domu.

– Ale z ciebie buc! – skwitował Alfa. – Ma na imię Tania, bo urodziła się na Ukrainie. Ale podoba mi się twój tok rozumowania... Choć taka tania to ona znowu nie jest. – Mężczyzna puścił oko w jego stronę.

Markowi zrobiło się głupio. Udzieliła mu się atmosfera patologicznej imprezy i faktycznie zachował się jak ostatnia świnia.

– Powiesz mi, gdzie mam jechać i po co?

– Spokojnie, dowiesz się w swoim czasie. Wszyscy powinniśmy wiedzieć jak najmniej.

Marek musiał się z tym zgodzić. Ten fotel parzył go od godziny. Tej nocy zeszmaci się po raz kolejny, choć wciąż miał nadzieję, że chodzi o zwykłe rozwieszenie ćpunów z imprezy, a Alfa zwyczajnie w świecie chciał go poniżyć. To byłoby najlepsze rozwiązanie. Gdyby tak miała się skończyć ta noc, mógłby tu siedzieć do rana. Amelii i tak powiedział, że dostał wezwanie do roboty.

Poczuł klepnięcie w bark.

– Ej, ziomek, czas na nas.

Otworzył oczy i ujrzał przed sobą Drabinę.

– Trzymaj, stary, bo zjebany jesteś jak koń po westernie.

Chłopak z uśmiechem wręczył mu puszkę red bulla. Marek wahał się chwilę, po czym wziął puszkę i przyłożył do ust. Zimny napój idealnie ugasił pragnienie. Przetarł oczy i wstał z fotela. Nie wiedział, jak długo spał. Bez słowa poszedł za chłopakiem.

Na zewnątrz czekali na nich Pisarz i Kamień. Ten drugi maszerował w tę i z powrotem, mrużąc coś pod nosem. Marek nie słyszał dokładnie słów, ale brzmiały jak tekst mocno agresywnej piosenki.

– Księżniczka się wyspała? – zapytał Kamień ostro.

Intensywnie żuł gumę. Co jakiś czas zgrzytał zębami, co świadczyło o tym, że jego pobudzenie nie brało się z energetyka.

Policjant spiorunował go wzrokiem. Czuł, że będą z nim kłopoty. Ociekał wrogością i agresją.

– Gdzie mam jechać?

Rozejrzał się i zauważył, że samochód Alfy zniknął.

– Zawozisz nas na Siemieckiego, na teren starej fabryki nici. Tam gasisz silnik i czekasz do dwudziestu minut. Jeśli nie przyjdziemy, to odstawiasz auto i idziesz do domu – odpowiedział Pisarz.

– Co kombinujecie?

– Chuj cię to interesuje. Kierujesz i się nie wpierdalasz – warknął Kamień.

Barczyński nie zamierzał z nimi dyskutować. Decyzję o zeszmaceniu się podjął już jakiś czas temu. Teraz nie miało znaczenia, gdzie ich zawozi. Może nawet i lepiej, że nie wiedział.

– Czym jadę?

Pisarz rzucił mu kluczyki. Kciukiem wymacał przycisk otwierający drzwi, wcisnął go i zerknął na podwórze. Światła starego mercedesa zamrugwały. Dopiero teraz zauważył, że samochód ma na dachu lampę z napisem „TAXI”.

Wsiedli do samochodu. Pisarz usiadł z przodu, a Kamień z Drabiną z tyłu. Marek się zdziwił, gdy zobaczył, że to prawdziwa taksówka z prawdziwą

kasą fiskalną. Przez głowę przeleciała mu myśl, że auto jest kradzione. Odruchowo puścił kierownicę, by nie zostawić śladów.

– Spokojnie. – Drabina się uśmiechnął. – Nie było jumané.

Gdy wjeżdżał na ulicę Kamińskiego, z tyłu zapaliła się lampka. Drabina wyciągnął z kieszeni woreczek strunowy. Marek kątem oka dostrzegł biały proszek. Drabina mlasnął i teatralnie zaciągnął się powietrzem.

– Komu doładowania? – Pomachał woreczkiem.

– Syp – rzucił szorstko Kamień, wystawiając przed siebie dłoń.

Drabina otworzył woreczek i wysypał solidną ilość proszku. Kamień palcem wskazującym przytknął jedną dziurkę nosa, a drugą zbliżył do dłoni, w której znajdował się narkotyk. Mocno wciągnął powietrze. Zamknął oczy, odchylił głowę i się uśmiechnął.

– Pisarz? – zapytał Drabina.

– Ciocia⁶⁰ czy ryż⁶¹? – Chłopak się odwrócił.

– Nie no, ciocia. Meta wyjebałaby nas w kosmos, a musimy ogarniać.

– No to nie. Albo grubo, albo wcale.

– A ty, kierowca? – zapytał Kamień niespodziewanie.

– Dzięki. – Marek pokręcił głową.

Nigdy nie brał narkotyków i nie zamierzał. Czuł mocne zmęczenie, ale po wypiciu energetyka szybko mu przeszło. W ogóle napój zadziałał na niego wyjątkowo mocno. Czuł szybsze bicie serca i miał wrażenie, jakby jego oczy były naprężone i gotowe, aby wypatrzeć na drodze każdy szczegół, nawet ten najdrobniejszy. Tłumaczył wszystko sobie tym, że ostatni raz taki napój pił może dwa lata temu.

– Pizda – skwitował Kamień.

– Dojeżdżamy! – krzyknął Pisarz, by przerwać koledze.

Marek zacisnął palce na kierownicy. Czuł narastającą złość. Nigdy nie miał problemu z jej opanowaniem, ale dziś chciała znaleźć ujście. Najlepsza byłaby seria ciosów wycelowana prosto w szczękę Kamienia. Po chwili zganił się za takie myśli. Nie wiedział, co się z nim dzieje.

Zaparkował i zgasił silnik. Pasażerowie wyszli z samochodu i rozeszli się w różne strony. Dopiero teraz Marek pojął swoją głupotę. Nerwowo wyciągnął telefon z kieszeni i jak najszybciej go wyłączył. Nie wierzył, że

popęłił tak podstawowy błąd. Ta podejrzana trójka ćpunów najprawdopodobniej zaraz zrobi coś nielegalnego, a on odbije się swoim telefonem w rejonie i godzinie zdarzenia. Będzie musiał wymyślić dobrą wymówkę. Może wyjazd do apteki po leki dla Róży? Ale kto miałby go billingować? Chyba zaczął popadać w paranoję.

Minuty wydawały się wiecznością. Pisarz postawił sprawę jasno: po dwudziestu minutach Marek miał się zwijać. I nie zamierzał czekać ani sekundy dłużej.

Nadal czuł niepokój. Serce biło chaotycznie, jakby usilnie chciało opuścić klatkę piersiową. Dopiero teraz się zreflektował, że cały czas nerwowo poruszał prawą nogą. Zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek i spróbował wyobrazić sobie, jak morsuje, ale nie potrafił. Myśli przelatywały przez jego głowę, jakby ktoś puszczał mu losowo slajdy ze zdarzeniami z jego życia. Ujrzał siebie wspinającego się po górach, ślub z Amelią, narodziny Róży i awans do kryminalnych. Uśmiechnął się. Niestety, za chwilę przyszły te gorsze chwile: choroba, kłótnie o brak pieniędzy i sprzedawanie wszystkiego, co się dało, zapłakana twarz córki, odmówienie awansu na oficera. W końcu przyszło chyba to najgorsze – pierwsza rozmowa z Alfą.

Potężny huk wyrwał go z zamyślenia. Początkowo sądził, że to wyobraźnia płata mu figla. Opuścił szybę i usłyszał szczekanie wszystkich okolicznych psów.

– Kurwa! – warknął.

Spodziewał się krzywej akcji, ale nie aż takiej. Odruchowo złapał za kluczyk w stacyjce. Chciał go przekręcić i odjechać stąd jak najdalej. Chciał, ale tego nie zrobił.

– Kurwa! – rzucił ponownie.

Spojrzał na zegar. Zostały trzy minuty.

Usłyszał czyjeś kroki. Ktoś zbliżał się w jego stronę. Po chwili ciemna sylwetka mężczyzny szarpnęła za klapę bagażnika. Drabina włożył do środka czarną materiałową torbę. Sam niemal wskoczył na tylne siedzenie.

– Spierdalaj! – wrzasnął.

– Gdzie reszta? – zapytał Marek, przekręcając kluczyki w stacyjce.

– Jedź, kurwa! – Mężczyzna rozglądał się nerwowo.

Barczyński ruszył, patrząc na pasażera w lusterku wstecznym. Ten był przestraszony, ale jednocześnie zadowolony. Delikatny uśmiech malował się na jego twarzy.

– Gdzie?

– Lipowa dwanaście.

Drabina wyciągnął z kieszeni woreczek z amfetaminą.

– Ale akcja!

Poślinił palec wskazujący, wsadził go w biały proszek, po czym oblizał ze smakiem. Rozparł się na siedzeniu i odchylił głowę.

Gdy Marek zmieniał bieg, zauważył, że jego dłonie drżą, a on sam jest nadmiernie pobudzony. Nie wiedział, co się stało, co jest w torbie w bagażniku, a w dodatku ćpun ćpał w jego obecności, a on nie mógł z tym nic zrobić. Nie zdążył zamknąć bocznej szyby i teraz usłyszał policyjne syreny. Modulowany dźwięk wypełniał puste ulice. Szybka reakcja – pomyślał. Teraz miał już pewność, co zrobiła ta trójka i co znajdowało się w torbie. Za długo służył w psiarni, by nie połączyć faktów. Był wściekły na Alfę, że go w to wpakował i że za tak grubą akcję dostał jedynie dziesięć tysięcy.

– Kurwa! – Drabina wskazał przed siebie palcem.

– A no kurwa – potwierdził Marek, widząc patrol stojący na środku ulicy.

Zacisnął palce na kierownicy i wziął dwa głębokie wdechy. Zobaczył, jak młody policjant wychodzi z radiowozu i macha do niego latarką z czerwoną nakładką.

– Kurwa, ja pierdołę, kurwa!

– Zamknij się – polecił Marek. – Wracasz z imprezy i zadzwoniłeś po taksówkę. Udajesz najebanego i śpisz.

– Gościu, ja jestem poszukiwany!

– Ja pierdołę! – Marek poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Spierdalam.

Drabina zaczął odpinać pasy.

– Nie! – Barczyński spiorunował go wzrokiem. – Siedź na dupie i udawaj, że śpisz, najebany. Ja ogarnę.

– Kurwa!

Drabina zeszywniał. Powoli położył głowę na zagłówku i zamknął oczy. Marek opuścił szybę.

– Dzień dobry, policja KPP^{sz} w Bytomcu, starszy posterunkowy Adam Bała. Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny i – jeśli jest – dowód osobisty.

Policjant zajrzał do samochodu i spojrzął na Drabinę.

– Od pasażera też poproszę dowód.

– Już daję, panie posterunkowy. – Marek sięgnął do kieszeni po portfel. – A ten pan zadzwonił po mnie, żebym odwiózł go do domu. Do taksówki mi ledwo wsiadł, najebany w cztery dupy. – Uśmiechnął się.

– Trudno, trzeba go budzić. Mamy rozkaz kontrolować wszystkie pojazdy w tym rejonie.

Marek kątem oka zobaczył, że Drabina poruszył się nerwowo. Chrząknął teatralnie, aby dać mu do zrozumienia, że jeszcze panuje nad sytuacją.

– A co się takiego stało?

– Nie mogę mówić. Proszę o dokumenty, bo zbliża się następny pojazd.

Marek poczuł irytację. Wyprostował się na fotelu i poczuł na plecach mokrą plamę. Odruchowo przetarł czoło.

– Ostatni raz mówię do pana grzecznie. Poproszę dokumenty.

Starszy posterunkowy spojrzął nerwowo na kolegę siedzącego w radiowozie. Ten zrozumiał przekaz i zaczął wysiadać. Marek był w pułapce. Musiał zaryzykować.

Zaczęła się o niego martwić. Wprawdzie powiedział jej, że dostał pilne wezwanie i musiał pojechać do komendy, ale zawsze w takich sytuacjach był pod telefonem. Po tym, jak wyszedł z domu, spała dobre dwie godziny, ale odgłosy wymiotowania dochodzące z pokoju Róży rozbudziły ją na dobre.

Amelia martwiła się, że w takim tempie córka szybko się odwodni, co jeszcze bardziej utrudni chemioterapię. Właśnie wtedy postanowiła zadzwonić do Marka, żeby kupić wodę mineralną lub napój izotoniczny. Gdy za pierwszym razem usłyszała komunikat, że abonent ma wyłączony telefon, pomyślała, że Marek jest poza zasięgiem, ale kolejne nieudane próby zaniepokoiły ją nieco mocniej. Ostatnio zginął Wita – a co, jeśli jakiś bandyta próbował zamordować Marka w taki sam sposób jak Witczyńskiego?

Zaczynała panikować. Zrozumiała nagle, że nie ma numeru telefonu do żadnego policjanta z jego wydziału. Chciała zadzwonić do dyżurnego jednostki, ale szybko sobie przypomniała, że Marek jako kryminalny

czasami ma wezwania i akcje, o których nikt – oprócz bezpośredniego przełożonego – nie ma pojęcia.

Sprawdziła stronę z ich zbiórką i od razu zauważyła kolejną wpłatę od Alfy. Zupełnie obca jej osoba właśnie przelała dziesięć tysięcy złotych. Na twarzy Amelii pojawił się uśmiech, który jednak natychmiast zgasł. Przelew pojawił się trzy godziny temu. Kto normalny wysyła przelewy o północy?

Kolejna myśl sprawiła, że sparaliżował ją strach: zniknięcie Marka z domu i wpłata Alfy musiały mieć ze sobą związek.

– Boi się pan czegoś? – zapytał starszy posterunkowy.

– Nie, dlaczego? – Marek próbował opanować stres.

– Ma pan pot na czole.

– Źle się czuję. Chyba mnie coś rozbiera.

– Dobra, wysiada pan albo pana wyciągamy – dodał drugi policjant.

Aspirant wyglądał na doświadczonego glinę, choć mocno rozleniwionego. Na początku interwencji siedział w samochodzie, chociaż powinien asekurować młodszego kolegę. W końcu, gdy postanowił go wesprzeć, okazało się, że miał rozpięty polar służbowy, niezapięty pas i brakowało kilku środków przymusu bezpośredniego. Marek od razu się domyślił, że mężczyźni gdzieś smacznie spali, a przyście rozkazu zakończyło drzemkę.

– Proszę wybaczyć, nie mam przy sobie prawa jazdy, ale mam to.

Marek podał starszemu posterunkowemu legitymację służbową. Z tą opcją czekał do ostatniej chwili, bo nigdy nie miał pewności, czy i jak zadziała. W policji również były konflikty, może nawet więcej niż w normalnej firmie. Pochwalenie się legitymacją mogło i pomóc, i przysporzyć kłopotów. Jeszcze kilka lat temu w jego komendzie pracował stary aspirant z drogówki z nietypową pasją: uwielbiał zatrzymywać prawa jazdy policjantów. Polował na nich z suszarką⁶³ i z uśmiechem na twarzy kontrolował kolegów po fachu.

Młody policjant chrząknął nerwowo. Nie wiedział, co ma zrobić z takim dokumentem, więc bez słowa podał go starszemu koledze. Ten zapalił latarkę i skierował strumień światła na dokument.

– Bary? – zapytał po chwili, nachylając się do kierowcy.

– Taa. – Marek poczuł, że jego kurewstwo właśnie sięgnęło zenitu.

– Dorabiasz na taksówce?

Aspirant podszedł bliżej. Dopiero teraz Marek rozpoznał Zbyszka Dłużaka. Kiedyś byli razem na jakimś specjalu⁶⁴, ale nie pamiętał już szczegółów. Pewnie litry wspólnie wypitej wódki skutecznie zatarły wspomnienia.

– Muszę, Długi. Córa znowu zachorowała.

– Kurwa! Widziałeś teraz coś dziwnego? Jakieś auto ruszające z piskiem opon czy coś?

– Nie, a co się odjechało?

– Poszedł bankomat. Pewnie zaraz będą do ciebie dzwonić. – Policjant oddał mu legitymację. – To na razie.

Marek odebrał dokument i powoli ruszył.

Kurwa mać! – pomyślał. Miał wyłączony telefon. Próbował go uruchomić, ale okazało się, że jest rozładowany. Jeśli Bandura się do niego nie dodzwoni, to zaraz przyśle kogoś przed dom. Wtedy to dopiero zrobi się zamieszanie. Amelia dowie się, że nie pojechał do pracy, a naczelnik zacznie się zastanawiać, gdzie był i co robił o trzeciej w nocy. Może od razu nie powiążą go z wysadzeniem bankomatu, ale mogą pojawić się domysły.

Czuł, że traci kontrolę nad sytuacją. Robił się bałagan, którego już niedługo nie da rady posprzątać.

⁶⁰ Ciocia/ciotka – amfetamina.

⁶¹ Ryż – metamfetamina.

⁶² KPP – komenda powiatowa policji.

⁶³ Suszarka – policyjny miernik prędkości.

⁶⁴ Specjal – specjalistyczny kurs policyjny o szczegółowo określonym zakresie.

Rozdział 29

Wrócił do domu tuż po tym, jak odwiózł Drabinę. Przestępca musiał mocno się przestraszyć, bo całą drogę milczał. Marek obiecał sobie, że sprawdzi, za co jest poszukiwany, po czym zrobi wszystko, żeby ćpun trafił za kratki. Niestety, będzie musiał działać po cichu. Nadal potrzebował Alfy – a raczej jego pieniędzy.

Amelia nie spała. Siedziała w kuchni i piła herbatę. Gdy tylko go zobaczyła, rzuciła mu się w ramiona i opowiedziała o tym, jak się zamartwiała, a nawet o przypuszczeniach, że może mieć coś wspólnego z Alfą i jego reaktywacją wpłat. Zaprzeczył bez mrugnięcia okiem i poszedł do łóżka, tłumacząc się, że jest śpiący.

Nie był. Energia wypełniała każdą komórkę jego ciała. Jeszcze nigdy tak się nie czuł. Dopiero w łóżku zdał sobie sprawę, że jego poczucie mocy nie mogło być spowodowane tylko napojem energetycznym. Siedemdziesiąt pięć miligramów kofeiny nie mogło tak zadziałać na zdezelowany organizm. Poszedł do łazienki i spojrział w lustro. Naćpał się. A raczej naćpali go, bo sam świadomie nie wziął nigdy. Przed oczami pojawiła mu się otwarta puszka od Drabiny. Miał ochotę pojechać do tego chudego gnoja i dać mu w mordę.

Nagle się zreflektował, że Bandura mógł dzwonić z alarmem. Po ciemku odnalazł telefon i podłączył go do ładowarki. Nie było śladu ani po Bandurze, ani innym policjancie z wydziału. Dopiero teraz Marek pomyślał o patrolu prewencji, który powinien dobijać się do jego drzwi. Od momentu wypicia napoju energetycznego – a raczej syntetycznej substancji psychotropowej podanej mu wbrew jego woli – miał w głowie chaos. Przypadkowe myśli zostawiały w niej po sobie jedynie niepokój.

Minęła godzina. Nadal był zły, ale teraz przyszła mu też ochota na seks. Ostatnio tego nie robili, szczególnie po tym, jak razem ogolili głowy.

Amelia stała się brzydka i choć Marek wstydził się tych myśli, nie mógł się ich pozbyć.

Próbował zaczepić żonę, ocierając się o nią nabrzmiałym członkiem, ale najpierw nie zareagowała, a potem się odsunęła.

Złość nadal rosła. Postanowił, że da upust swoim żądom – może wtedy zaśnie. Wziął ze sobą telefon do łazienki. Nie znał żadnej strony z pornografią, dlatego w wyszukiwarce wpisał lakoniczne hasło: „seks z brunetką”. Przewijał linki. Nie wiedział, co wybrać. W końcu w miniaturce ujrzał ponętą brunetkę z ciemną karnacją, która przypominała mu Tanię. Włączył odtwarzanie i wyciszył telefon.

Nie wiedział, czy to jego wyobraźnia, ale aktorka była kopią Tani. Masturbował się mocnymi szybkimi ruchami. Jeden raz mu nie wystarczył.

Po wszystkim poczuł się jak śmieć. Zdradził żonę – choć jedynie mentalnie. Po chwili stwierdził, że gada głupoty – to nie była żadna zdrada, nic takiego się nie stało. Chciał po prostu rozładować energię, ale bez efektu. Pomyślał o Alfie i zagotował się w kilka sekund. Podniósł telefon i otworzył aplikację Signal.

Lubił swoje życie. Nie brakowało mu pieniędzy i szacunku, także u kobiet. Zbliżał się do czterdziestki, ale nie myślał o ustatkowaniu się. Nie podniecały go stare, pomarszczone i pewne siebie kobiety. Kręciły go te młodsze, jędrniejsze i bardziej łatwowierne.

Nie miał przyjaciół, bo ich nie potrzebował. Jego mentor, którego traktował jak ojca, zawsze powtarzał: „Wszyscy ludzie kłamią. Ich mimika rzadko odzwierciedla myśli i uczucia, dlatego bezpieczniej jest nie ufać nikomu”. Podobąa mu się ta maksyma – stała się jedną z jego żelaznych zasad. Miał jeszcze jedną ulubioną radę: „Bądź pewny, że ludzie kłamią. Czasami ze strachu, a czasami z głupoty. Jednak najbardziej boli, gdy najbliższa osoba kłamie z miłości”. Dlatego nie dopuszczał do siebie nikogo. Nikogo nie miał i nikogo nie kochał.

Miał za to podwładnych, którzy go szanowali. Podejrzewał, że szacunek wynikał ze strachu, ale to mu nie przeszkadzało. Bali się go na tyle, że jeśli któryś z nich popełnił błąd albo chlapnął na mieście o słowo za dużo,

przychodził do niego, przyznawał się do winy i na kolanach błagał o drugą szansę. Klęczenie było wymogiem, sprawiało mu niemałą przyjemność.

Matka zmarła, gdy miał zaledwie kilka lat. Pamiętał, że bardzo ją kochał, ale z czasem złość zaczęła wypierać miłość. Był zły, że ulegała temu degeneratowi. Skurwiel znęcał się nad nimi, a ona nic nie robiła. A wystarczyło się tylko wyprowadzić, by gnój szybko zapił się na śmierć. Ostatecznie zwyrol zatłukł ją na jego oczach.

Alfa trafił do domu dziecka, a gdy skończył osiemnaście lat, opuścił ośrodek. Zaopiekował się nim dawny przyjaciel matki. Obcy facet szybko stał się jego mentorem i wprowadził go do przestępczego półświatka. Jego pierwszym prawdziwym testem było wymierzenie sprawiedliwości ojcu. Sąd uznał, że w chwili popełnienia przestępstwa, co zakwalifikowano jako pobicie ze skutkiem śmiertelnym, mężczyzna będący w cugu alkoholowym miał ograniczoną poczytalność. A to oznaczało skandalicznie niski wyrok. Alfa zabił ojca dwa dni po opuszczeniu przez niego zakładu karnego. Przyszedł do niego z trzema butelkami wódki, upił go do nieprzytomności, a następnie wstrzyknął mu do żył śmiertelną dawkę heroiny. Po wszystkim posprzątał, zatarł ślady i dumny wyszedł z domu, w którym spędził część dzieciństwa.

Położył głowę na pośladkach dziewczyny. Po chwili usiadł na niej okrakiem.

– Gdzie się tak śpieszysz, ogierze? – zapytała uwodzicielsko. – Rozkręć mnie – dodała, poruszając pośladkami.

– Nie za to ci płacę.

Wszedł w nią jednym gwałtownym ruchem. Kobieta wygięła plecy i syknęła z niezadowoleniem.

– Stękaj, suko!

Złapał ją za włosy. Rznął szybko i mocno. Po kilku minutach obrócił kobietę na plecy, przyśpieszył ruchy i uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Ta, zażenowana, zamknęła oczy i zacisnęła usta.

– Kurwa...

Alfa poczuł drżenie jej nóg, ale nie zwrócił większej uwagi na orgazm dziewczyny. Gdy ją rznął, skupiał się na sobie, lecz teraz coraz bardziej się denerwował. Czuł, że jego członek flaczeje. Wyciągnął go i zaczął się masturbować. Krople potu spływały po jego czole, plecach i wyrzeźbionej klatce piersiowej.

– Szmato, nie płacę ci za orgazm! To ja mam dochodzić!

Tym razem uderzenie w twarz było silniejsze.

– Jesteś zwykłą kurwą!

Nie przestawał się masturbować.

– Zwykłą pierdoloną szma...

Napiął wszystkie mięśnie i zgiął się wpół. Celowo wystrzelił strumieniem spermy prosto w oczy dziewczyny. Zadowolony, zszedł z niej, zabrał telefon i poszedł do łazienki. Ktoś pisał do niego za pośrednictwem Signala. Spojrzał na telefon i uśmiechnął się szeroko.

– Piesio... – powiedział zadowolony.

Zaczął czytać wiadomości.

– O ty chuju. Do mnie tak?

Sprzedajny gliniarz oburzył się, że za akcję wysadzenia bankomatu dostał jedynie dziesięć tysięcy. Alfa początkowo chciał utrzyć nosa gliniarzowi i wysłać mu zdjęcia, jak siedzi na kanapie, a przed jego nosem Tania macha najpierw gołymi cyckami, a później gołą dupą, ale się zreflektował. Nawet go rozumiał.

Przelał na zbiórkę kolejne dziesięć tysięcy, po czym odpisał:

Nie spinaj się, poszła premia.

Rozdział 30

Marek jechał do pracy z duszą na ramieniu. W nocy spodziewał się alarmu i wezwania do jednostki, ale nikt nie zadzwonił. Albo ktoś w komendzie dowiedział się o jego udziale w tej akcji i tylko czekali, aż przyjedzie, by dać zakuć się w kajdanki, albo po prostu Bandura dzisiaj miał dla niego robotę. Chciał wierzyć w opcję numer dwa, ale czuł, że mogło wydarzyć się najgorsze. Może zatrzymali Drabinę lub Pisarza, a te ćpuny wyśpiewały wszystko? Następnie Bandura powiadomił BSW, a ci już na niego czekali. Nie zdziwiłby się, gdyby już stali w jego pokoju. Nieskazitelni panowie w garniturach słynęli z bezpośredniości. Może nawet jeden z ich wozów właśnie odprowadzał go przed komendę.

Czuł, że to może być jego ostatni dzień w pracy.

Dobrze, odejdzie, ale na własnych warunkach.

Jeszcze w nocy postanowił, że dokończy wątek z Niedźwiedzkiem. Fakt, że obserwował Witę kilka razy dziennie, stawiał go na czele podejrzanych. Sęk w tym, że Niedźwiedzki zniknął. Ponadstukilogramowy agresywny brodacz stał się niewidzialny dla Marka, jego policyjnych kumpli, a nawet uholi. To, że chciał się ukryć, było dla Barczyńskiego zrozumiałe, ale zdziwił się, że poszło mu to aż tak dobrze. Knur, jego przydupas, też się zaszył, choć tu spływały jakieś szczątkowe informacje. Wstępnie miał być na melinie u Markowskiego – tutejszego złodzieja samochodów – ale gdy ten się dowiedział, że psy węszą wokół Niedźwiedzkiego, wykopał go na zbity pysk. Później przez dwa dni balował w zajeździe U Wacka pod miastem, ale Marek dowiedział się o tym za późno. Teraz nie miał pojęcia, gdzie się zaszył. Wiedział jednak, do kogo musi się zwrócić o pomoc.

W nocy wysłał wiadomość do Lektora. Odpowiedź nadeszła dopiero rano. Gangster nakazywał mu natychmiast przyjechać na cmentarz.

Lektor siedział w swoim bentleyu. Spojrzał na Marka i przywołał go gestem.

– Wsiadaj, przyjacielu.

Dobry kwadrans jechali bez słowa. Piętnaście pieprzonych minut, podczas których jedynym dźwiękiem był szum silnika.

Nagle po plecach Marka przebiegł dreszcz. Idiota! – skwitował się w myślach. Nigdy wcześniej nie wsiadał do samochodu Lektora i nigdy wcześniej nigdzie z nim nie jechał. Dlaczego się na to zgodził? A jeśli komuś podpadł i Lektor właśnie spłaca dawno zaciągnięty dług?

Skreślili w boczną drogę prowadzącą do lasu. Zdenerwowany Marek spojrział na Lektora, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Zatrzymali się.

– Chodź.

Lektor wysiadł z samochodu. Marek odruchowo się rozejrzył. Widział tylko drzewa. Posłusznie obszedł auto i stanął przy Lektorze. Ten wpatrywał się w bagażnik.

– Prezent ci przywiozłem – powiedział zimno i uniósł klapę bagażnika.

To tak wyglądała ta emerytura Lektora.

W bagażniku leżał Knur. Nie miał żadnych ran czy siniaków. Tak jakby dobrowolnie wszedł do auta i bez słowa sprzeciwu pozwolił się związać. Lektor dał im piętnaście minut na rozmowę.

Przydupas Niedźwiedzkiego odpowiadał na pytania, ale okazało się, że za wiele nie wiedział. Owszem, słyszał od szefa, że ten ma kosę z jakimś gliną, nawet dwa razy pojechał z nim przed dom tego gościa, ale skończyło się na obserwacji. Wtedy Grizzly wspominał, że dobieje gliniarzowi, ale Knur nie miał pojęcia, że chodziło o zabójstwo. Nie pisałby się na tak grubą akcję. Początkowo nie chciał uwierzyć, jednak szybko połączył fakty i wywnioskował, że to może być prawda. Od kilku dni nie miał kontaktu z szefem, co nigdy wcześniej się nie zdarzało.

– Szef musiał odjechać na grubasa, skoro tak się kitra – powiedział.

Niedźwiedzki wskoczył na pierwsze miejsce na liście podejrzanych.

Wchodząc do wydziału, minął mieniowców Gradeckiego, Małeckiego i Godzińskiego. Wyglądali na zmęczonych i niewyspanych. Czyli to na nich padło nocne wezwanie.

– W porządku? – zapytał, witając się z każdym.

– Taa, jebnęli bankomat i Bandura wezwał nas w nocy – odpowiedział Małecki.

– Nasi? – Marek czuł, że serce próbuje mu wyrwać się z klatki piersiowej.

– Raczej nie. To nie byli amatorzy – wtrącił Gradecki.

– Skąd wiesz?

– Użyli idealnej ilości gazu. Wybuch był wzorowy. Odpowiednio uszkodził bankomat i kasetki z pieniędzmi, ale nie drasnął banknotów. Na nagraniu z bankomatu widać, jak pakują je do torby – tłumaczył Gradecki, specjalista w takich sprawach.

– Widać twarze? – zapytał Marek, choć znał odpowiedź.

– Nie, mieli kominiarki albo jakieś maski. Jakość nagrania jest tragiczna – skomentował Godziński.

– A monitoring z okolic?

– I właśnie dlatego uważamy, że to nie byli amatorzy. Wybrali bankomat, w którego pobliżu nie ma żadnych kamer. Ja nawet nie wiedziałem, że w Bytomcu są jeszcze takie miejsca – powiedział Mariusz Małecki.

– Zadzwońię dzisiaj do swojego uchola, może coś słyszał – skłamał Barczyński.

W głębi duszy cieszył się, że tą bandą ćpunów rządził Alfa. Sprawiał wrażenie inteligentnego i bystrego. Gdyby tą akcją dowodzili Drabina lub Kamień, cała ich czwórka siedziałaby teraz w areszcie.

– Dzięki, Bary – powiedział Godziński, klepiąc go po barku. – Jedziemy po mocną kawę, też chcesz?

– Nie, dzięki.

– Na pewno? Nie wyglądasz najlepiej.

– Dorabiam po nocach, bo brakuje mi hajsu na leczenie.

Policjanci pokiwali głowami ze zrozumieniem. Bary odszedł bez słowa.

– Ciebie też wezwali do bankomatu? – zapytał Czarny.

– Nie, a czemu pytasz? – zdziwił się Marek.

– Wyglądasz, jakbyś zapierdalał całą noc.

– A może ruchałem całą noc? – zapytał nerwowo, widząc, jak partner zamyka przed nim drzwi.

Czarny uśmiechnął się szyderczo.

– Staruszkule, w twoim wieku jedyne ruchanie, na jakie możesz liczyć, to ruchanie przez przełożonych – powiedział zadowolony ze swojej riposty.

– Czemu zamykasz drzwi? Ktoś jest u nas? – zignorował przytyk Marek.

– Ta. BSW. Ale powiedziałem im, żeby zamknęli cię po odprawie – rzucił z pełną powagą Czarny.

Marek poczuł, jak miękną mu kolana. Powaga i spokój Czarnego zmroziły mu krew w żyłach. Czarny często żartował w taki sposób, ale dlaczego właśnie dziś?

– Padam na ryj. Wstawię wodę na kawę i idę na odprawę – oznajmił.

Czarny machnął ręką i poszedł do pokoju odpraw. Marek przyłożył do czytnika swoją kartę dostępu i złapał za klamkę. Zaczerpnął głębiej powietrza i pchnął drzwi.

– Ja jebię!

Pokręcił głową.

– Czemu Bandura wyleciał z wydziału jak poparzony? – Mączyński spojrzał na zgromadzonych w sali odpraw.

– Tak zwana sraczka statystyczna – odpowiedział Czarny.

Policjanci się uśmiechnęli.

– Ty, Czarny, mam żart! Takiego jeszcze nie słyszałeś – wyrwał się Życzyński.

– Dajesz, Kubuś.

– Wchodzi Murzyn do urzędu i pyta siedzącego obok gościa: „Jaki masz numer?” Ten mu odpowiada: „My, biali, nie mamy numerków. Mamy imiona”. – Jakub zaczął się śmiać z własnego żartu. I śmiał się jako jedyny.

– Kurwa, Kubuś, ale słabo. Jesteś rasistą? – zapytał Czarny z powagą.

– Nie, to tylko taki...

– Widzisz, Kubuś, ja nie mam nic do Murzynów. Nawet uważam, że każdy powinien mieć swojego. – Czarny ryknął śmiechem, a za nim pozostali.

Życzyński ze złości aż zrobił się purpurowy.

– Koniec żartów. Słucham... Co dzisiaj robicie? – Do pokoju wszedł Bandura.

Nagle zapadła cisza. Zaskoczył ich tym pytaniem.

– Pogrzebiemy przy nocnym zdarzeniu – rzucił Życzyński, żeby przypodobać się naczelnikowi.

– Chuja tam – skomentował Bandura. – Przy tym pracują mieniowcy i niech tak zostanie. Od tego są.

– Ja z Czarnym zajmiemy się starą sprawą Kratczyka – skłamał Barczyński.

Miał inne plany, ale na razie nie chciał o nich mówić przełożonemu. Przede wszystkim jak najszybciej musiał pojechać w rejon. Czuł, że zaczyna wariować. Najpierw dał się ponieść emocjom i zwyzywał Alfę, a teraz myślał, że w jego pokoju czają się funkcjonariusze BSW. Nie wiedział, czy są to skutki niewyspania, czy jednak narkotyku.

– Dobra. Przypomnij mi sprawę, żebym wiedział, co powiedzieć staremu.

– Krzysztof Kratczyk, lat dwadzieścia pięć. Bezdumniak znalazł go w jednym z pustostanów. Ktoś zmasakrował mu twarz, a sekcja wykazała, że obrażenia prawdopodobnie powstały wyłącznie od pięści lub łokcia napastnika. Był tak obity, że mieliśmy problem z identyfikacją, ale matka i siostra rozpoznały go po licznych tatuażach i bliznie po wypadku.

– Przewijał się u nas?

– Trochę, ponoć robił za kierownicę⁶⁵ małej grupki produkującej metę na handel – wtrącił Czarny.

– Wjechaliśmy im na kwadrat, ale nic nie znaleźliśmy. My nic mu nie przyklepaliśmy, ale przewencjusze jebnęli go dwa razy na posiadaniu kilku gramów – dodał Mączyński. W narkotykach robił od dziesięciu lat i chciał pokazać przełożonemu, że ma wszystko pod kontrolą.

– Coś wychodzi? – zapytał Bandura, patrząc na Barczyńskiego.

– Brak monitoringu i świadków. Na miejscu znaleźliśmy jedynie ślad butów, które odbiły się na zakrwawionej posadzce. – Marek mówił z coraz większym trudem. Miał nudności i zawroty głowy. Choć nigdy nie był w podobnej sytuacji, wiedział, że właśnie nadchodzi klasyczny zjazd narkotykowy. Będzie musiał to jakoś przetrwać.

– To dzisiaj co robicie pod tę sprawę? – dopytywał przełożony.

– Typujemy dwie konkurencyjne grupy zajmujące się produkcją ryżu. Musimy posprawdzać ich auta, meliny i członków. Może jutro zrobimy

mały nalot i przyciśniemy najpierw jedną grupę, a później drugą.

– OK. Potrzebujecie pomocy narkotykówców?

– Tak, ale głównie przy realizacji. Dzisiaj sobie tylko pogadamy, a oni mogą robić swoje.

– No dobra. A inni co? Przyjechali na wakacje? Drineczki podać?!

– Ściemniacz pierwsza klasa – skwitował Czarny, wsiadając do radiowozu.

– Sam tego chciał. Ale zobacz, jaki był szczęśliwy, jak mu opowiadałem!

– Marek się zaśmiał.

– No, łykał jak młody pelikan.

Czarny przekręcił kluczyk w stacyjce i wygodnie ułożył się w fotelu.

– Kurwa, przypomniałem sobie!

Sięgnął do kieszeni po odznakę i wyciągnął z niej mały różowy dokument.

– Co to? – zapytał Marek.

Czarny spojrzał na niego z drwiącym uśmiechem.

– Nie pierdol, że nie masz wkładki⁶⁶? Mnie się właśnie kończy ważność – spojrzał na dokument – ale mam jeszcze miesiąc.

– E tam, prędzej pójde na eme.

Marek zapiął pasy.

– To jakie mamy plany? Chyba nie odpuszczamy Wity, co?

– Ni chuja. Kilka dni powodzi się Bandurę za nos z tym Kratczykiem, aż w końcu zwieziemy kilku ćpunów na pokaz. Do tego czasu musimy ogarnąć Kruškę i Niedźwiedzkiego.

– Który ci bardziej pasuje?

– Kurwa, nie wiem. Z Pawłem trzeba uważać, nie zdał broni do jednostki. Jeśli nadal jest w cugu, to może być nieobliczalny.

– Naprawdę myślisz, że Paweł mógł go zabić?

– Nie mam pojęcia. Ale czemu zaczął się przede mną chować?

– No a czemu Niedźwiedzki nam się skitrał? Jego telefon przestał chodzić, karta SIM to samo. Bankomatowej też nie używał. Zapadł się pod ziemię.

– Jedź pod jego chatę.

Marek dostał wiadomość od Amelii. Była krótka:

Dziękuję.

Szybko zrozumiał, że musiała sprawdzić stan zbiórki. Tylko jakim cudem powiązała go z Alfą i jego wpłatami? Zamknął oczy i westchnął. Prawie zapomniał, jak mądra była. Nigdy nie potrafił przed nią kłamać, czytała z niego jak z otwartej książki. Teraz też musiała go przejrzeć, ale dla jej dobra postanowił udawać, że nie wie, o co jej chodzi.

Nie dotarli do domu Pawła. Po pięciu minutach zadzwonił do nich Bandura i powiedział, że muszą pojechać na interwencję, by wesprzeć jakichś młodych prewencjuszy.

Na miejscu weszli na klatkę schodową, gdzie zobaczyli dwóch bladych z przerażenia posterunkowych. Jednym z nich był ten, któremu Czarny zabrał notatnik. W skrócie i sporym chaosie wspólnie wytłumaczyli, że zgłoszenie dotyczyło dwudziestoletniej kobiety, która jeszcze wczoraj była w ciąży, a dzisiaj sąsiad widział ją i bez brzucha, i bez dziecka.

– I na czym polega problem, koty? – zapytał Czarny, nie zwracając uwagi na tłum gapiów.

– Jest podejrzenie, że dziewczyna najpierw urodziła, a później zabiła dziecko. A teraz jest w środku, ale nie otwiera drzwi.

– Albo urodziła w szpitalu, po czym zabrali jej dziecko? Albo sama oddała, geniusze? I skąd ta pewność, że jest w środku? – Czarny nie zamierzał być dla nich miły. Co chwilę piorunował wzrokiem wyższego posterunkowego.

– Panie, ja wczoraj o trzeciej w nocy żem słyszał, jak ta dziewczucha wydziera się wniebogłosy! Darła się ze czterdzieści minut, a później cisza jak makiem zasiał. Dzisiaj rano żem ją widział, jak wracała ze sklepu z flaszkami wody! Pewnie teraz śpi napruta w cztery dupy! – opowiadał starszy mężczyzna.

– Pukaliśmy, ale zero reakcji – dodał niższy policjant.

Marek podszedł do drzwi i złapał za klamkę. Nacisnął ją, po czym pchnął drzwi, pokręcił głową z dezaprobatą i wszedł do mieszkania.

– Młody, ty zostajesz i pilnujesz, żeby nikt tu nie wszedł. Jak dasz dupy, to w drodze powrotnej do domu zajdź do Biedronki i zapytaj o robotę na kasie – powiedział do niższego.

Wszedł do mieszkania, a za nim Czarny i drugi posterunkowy.

– Dzień dobry, policja! – powiedział głośno.

Brak reakcji i odór niestrawionego alkoholu mogły świadczyć tylko o jednym: gdzieś w tym brudzie spała co najmniej jedna pijana osoba.

Minęli kuchnię. Nieumyte naczynia leżały nawet na podłodze. Czarna i gruba warstwa brudu pokrywała dosłownie wszystko. Marek czuł, że jego podeszwy kleją się do podłoża. Smród z każdą chwilą stawał się coraz intensywniejszy. Na kanapie wśród sterty skołtunionych ubrań, pustych puszek i brudnych talerzy znaleźli dwie osoby.

– Pobudka, panie i panowie! – ryknął Czarny.

Śpiąca para nie zareagowała. Obok leżały dwie puste półlitrowe butelki po wódce, co oznaczało, że alkoholicy szybko nie wytrzeźwieją. Kobieta mogła mieć dwadzieścia lat, ale wyglądała na czterdzieści.

– No dalej, nie mam całego dnia! – powtórzył Czarny, kopiąc w kanapę.

Marek zaczął sprawdzać mieszkanie... czy też raczej melinę. Zaglądał w każdy zakamarek. Przedmioty zasłaniające widok przesuwiał nogą, choć i to było dość niekomfortowe. Skołowany posterunkowy nie wiedział, co robić. Początkowo wspierał Czarnego, ale gdy dostrzegł, że Marek krąży po mieszkaniu, zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Spokojnie, budźcie śpiącą parkę.

Marek podszedł do wiadra na nieczystości. Właściciele nie mieli własnej łazienki. Ta znajdowała się na korytarzu, ale widocznie trafiła im się leniwa parka.

– Kurwa!

Marek zszokowany patrzył na zawartość plastikowego wiaderka.

– Co jest? – zapytał Czarny. – Marek, kurwa, co jest?! – krzyknął, gdy jego partner nie zareagował.

Ten zerwał się w kierunku śpiącego mężczyzny, złapał go za ubrania i zrzucił z kanapy.

– Cooo jeeest?! – wyjęczał nieprzytomny.

– Wstawaj, kurwo! – syknął Marek przez zaciśnięte zęby.

Z impetem opadł na mężczyznę i przygniół go kolanem do podłogi.

– Budź tę szmatę! – powiedział do partnera.

Czarny nie potrzebował ani słowa więcej. Domyślił się, co zobaczył kolega. Złapał śpiącą kobietę za bluzę, uniósł, po czym rzucił z impetem z powrotem na łóżko.

– Spieerdaaalaaaj!

Posterunkowy stał jak wmurowany i patrzył to na Marka, to na Czarnego. Czarny obrócił kobietę na brzuch, siłą wyciągnął do tyłu ręce i zaczął zakładać jej kajdanki. W tym momencie z kuchni wybiegł niski i szczupły mężczyzna.

– Co to, kurwa, ma być?! Wypierdalać! – zaczął krzyczyć, idąc z wyciągniętymi rękoma w kierunku Czarnego.

Posterunkowy, długo nie myśląc, wyciągnął z kabury policyjnego waltera, przeładował i wycelował w mężczyznę.

– Stój, kurwa, bo cię zastrzelę! – wrzasnął.

Mężczyzna zamarł, choć nie tylko on. Czarny i Bary również się przerazili – to nie była sytuacja do wyciągania broni. Na ich szczęście metaliczny dźwięk przeładowania zamka i widok lufy przyniosły odpowiedni efekt. Agresor uniósł ręce w geście kapitulacji i położył się na brzuchu. Roztrzęsiony posterunkowy nie wiedział, co ma robić. Chaotycznie usiłował schować broń, machając nią w kierunku leżącej dziewczyny i Czarnego.

– Młody, broń w dół! – polecił Barczyński.

Posterunkowy spojrzał na niego i nerwowo wypuścił powietrze z ust. Opuścił broń, ale nadal był skołowany. Czarny doskoczył do niego i położył swoją dłoń na jego. Powoli zabrał mu waltera.

– Skuj tamtego – wycedził.

Posterunkowy nieudolnie doskoczył do leżącego mężczyzny, potykając się o własne nogi. Równie nieudolnie wyciągał kajdanki, które dwukrotnie wypadły mu z rąk. Czarny i Marek spojrzeli po sobie z niezadowoleniem.

– Ale o tso chodzi? – Kobieta próbowała podnieść głowę.

Policjanci zignorowali pytanie. Posterunkowy podszedł do wiadra i zajrzał do środka. Natychmiast zwymiotował na podłogę. Torsje targały nim jeszcze przez kilka minut.

– Obrabialiśmy⁶⁷ ich cały dzień, na chuj jeszcze drążysz z tym młodym?

Marek wyczuł dziwne napięcie między posterunkowym a Czarnym. Kiedy zapytał, o co chodzi, kolega zbył go kolejnym średnio odpowiednim żartem. Teraz Barczyński chciał tylko wszystko szybko zakończyć – spieszył się do domu.

– Bo prawie nas zabił, Marek!

Musiał przyznać mu rację. Gdy spojrział w lufę przeładowanego pistoletu, serce zabiło mu mocniej.

– Panowie aspiranci, posterunkowy Miłosz Bracki melduje się.

W progu ujrzeli wyprostowanego wysokiego mężczyznę. Na twarzy miał purpurowe rumieńce. Nerwowo skubał palcami kieszeń od munduru. Nie patrzył na Marka i Czarnego.

– Wejdz – odpowiedział Barczyński.

Funkcjonariusz usiadł na jednym z krzeseł.

– Nie pozwoliłem siadać, posterunkowy – rzucił Czarny chłodno.

Młody policjant zerwał się na równe nogi.

– Co ci odpierdoliło, żeby wyciągać broń?! Chciałeś nas wszystkich zabić? – wybuchnął Czarny.

– Panie aspirancie, chciałem odeprzeć bezpośredni zamach na pana życie i zdrowie.

– Jaki, kurwa, zamach?! Zaraz ja się zamachnę na twój ryj! – Czarny zerwał się z fotela.

– Siadaj, Czarny. A ty, młody – Marek spojrział na przerażonego chłopaka – nigdy więcej nie odpierdalaj takiej akcji. To, co zacytowałeś, to suche przepisy. Znasz zasadę proporcjonalności?

– Tak, panie aspirancie. Środków przymusu bezpośredniego używa się proporcjonalnie do stopnia zagrożenia – wyrecytował.

Czarny się gotował. Co chwilę siadał i wstawał, a Marek piorunował go wzrokiem, gdy chciał się odezwać.

– No właśnie. To dlaczego prawie dwumetrowy chłop, przeszkolony z TiTI⁶⁸, wyciąga i przeładowuje broń? A gdzie siła fizyczna, techniki obezwładniania, gaz czy pałka?

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! – Marek uderzył pięścią w biurko. – Dopóki wy, młodzi, nie zrozumiecie, jak ciężkie są mundur i broń, dopóty nigdy nie będzie dobrze w tej jebanej formacji! Kurwa, naprawdę nie rozumiesz, że mogłeś zabić pociągnięciem palca?! Tak prędko chcesz mieć krew na

rękach? Broń to odpowiedzialność i ostateczność, a nie możliwość i potęga. Klamka powinna parzyć cię w ręce! Gdy ją wyciągasz, musisz oczyścić umysł i skupić się tylko na niej i na otoczeniu. Kurwa, młody! – ostatnie słowa Marek wypowiedział z wyraźnym rozczarowaniem.

– Rozumiem, panie aspirancie. – Posterunkowy głośno przełknął ślinę. – Już nigdy nie wykorzystam broni w taki sposób.

– Ja jebię! – Czarny uderzył się w czoło. – Chłopie, przecież ty nie znasz podstaw. Marek, ja chyba napiszę notatkę, że gość się nie nadaje.

– Nie, nie, panie aspirancie, przepraszam. – Posterunkowy poruszył się nerwowo. Wyglądał, jakby miał się rozplakać. – Przejęzyczyłem się, chodziło mi o użycie!

– To jaka jest różnica? – zapytał Barczyński.

Policjant zaczerpnął powietrza.

– Użycie broni jest w stosunku do człowieka. Wykorzystanie to strzał ostrzegawczy lub oddanie strzału w kierunku samochodu, który chce nas przejechać.

– No, powiedzmy. Dobra, idź już – polecił Marek, który wyczuł dziwne napięcie między tym młodym a Czarnym. – A jak będziesz pisał notatkę, to ani, kurwa, słowa o wyciągnięciu broni.

Marek był niewyspany i miał nudności. Energia z nocy gdzieś zniknęła. No i jeszcze ten paralizujący strach. Za każdym razem, gdy widział pracujących w pocie czoła mieniowców, serce podchodziło mu do gardła. Małecki kilka razy zerwał się sprzed komputera, jakby właśnie wykrył sprawcę, ale po chwili opadał rozczarowany na fotel.

Zatrzymanie i przesłuchanie ludzi z meliny też dołożyły swoje. Justyna Witkowska szybko pękła i przyznała się, że w nocy zaczęła rodzić i spanikowała. Poród trwał trzydzieści minut i odebrała go sama. Jej partner w tym czasie spał niewzruszony. Witkowska wyjaśniła do protokołu, że tuż po urodzeniu dziecka wpadła w szal i zaczęła rzucać nim o podłogę. Czwartym rzutem trafiła do wiadra na nieczystości. Po wszystkim jednym duszkiem wypijała pół litra wódki i poszła spać. Rano nic nie pamiętała. Poszła do monopolowego po więcej alkoholu i znów spała się do utraty przytomności.

Partner Witkowskiej nie przejmował się całą sprawą. Zeznał, że nie wiedział o zajściu. Rano wstał oddać mocz do wiaderka, ale nie zauważył w nim nic dziwnego. Na koniec przesłuchania uśmiechnął się do siebie i powiedział pod nosem, że jeden problem mniej.

Marek marzył o setce wódki i śnie, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. W domu czekała chora córka, która wymagała opieki i wsparcia.

⁶⁵ Kierownica – osoba kierująca zorganizowaną grupą przestępczą.

⁶⁶ Wkładka – dokument poświadczający zdolność kierowania pojazdami uprzywilejowanymi.

⁶⁷ Obrabiać – wykonywać niezbędne czynności procesowe w stosunku do zatrzymanego.

⁶⁸ TiITI – taktyki i techniki interwencji.

Rozdział 31

Róża bardzo się ucieszyła, że skończył służbę o czasie. Nie odstępowała go na krok, ale szybko wróciły torsje. Całe popołudnie razem spędzili w łazience.

Marek obserwował bladą twarz córki, którą co chwilę oblewały zimne poty. Płakała, wymiotowała, a później znów płakała. Serce pękało mu na milion kawałków. Próbował ją pocieszyć lub zająć czymś, ale nic nie działało. Kiedy zaczął ich ulubioną zabawę w dla ciebie nawet, klepnęła go w ramię, by przestał. Jedynym pocieszeniem był fakt, że udało się nazbierać na kolejną turę chemioterapii.

Dziewczynka zasnęła o północy. Wziął szybki prysznic i chciał jak najszybciej się położyć, ale Amelia miała inne plany. Przez całe popołudnie była dla niego wyrozumiała, uprzejma, a nawet co jakiś czas całowała go w policzek. Wiedział, czym jest spowodowane jej zachowanie, mimo to udawał, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Zaczęła go nawet irytować tą grą, a w dodatku nadal wyglądała brzydko. Łysa, blada i chuda.

Gdy tylko się położył, zaczęła go całować po klatce piersiowej i szybko zeszła w dół. Nie miał na to ochoty, zwłaszcza z taką wersją żony, ale popęd okazał się silniejszy.

W tym samym momencie ożył jego telefon. Zerknął kątem oka i zobaczył, że dzwoni Czarny. Amelia uniosła głowę i mruknięciem zachęciła go do odebrania. Z tej perspektywy była jeszcze brzydsza. Marek wolał wyobrazić sobie, że na jej miejscu jest Tania.

- Co jest?
- Zajęty? – rzucił Czarny krótko.
- Trochę.

Amelia usiadła na nim okrakiem. Poruszała się rytmicznie, naciskając na klatkę piersiową.

- Bary, bądź u mnie za dwadzieścia minut. Wiem, gdzie jest Kruśko.

Słyszał przyśpieszony oddech swojej partnerki. Sam robił wszystko, by nie sapać partnerowi do słuchawki.

– Będę – rzucił i się rozłączył. – Przepraszam, za dwadzieścia minut muszę jechać do roboty – powiedział, patrząc na żonę.

– Spokojnie, kochanie, ja zdążę – powiedziała zalotnie.

Złapała za jego dłoń, przysunęła do swojej twarzy, po czym wsadziła do ust jego dwa palce.

Nagle zaczęła oddychać szybciej. Chwilę później wygięła się w łuk i podrapała Marka po klatce piersiowej.

– Chyba ktoś poruchał! – powitał go Czarny, gdy zobaczył uśmiech Marka.

– Poruchałby więcej, jakbyś się, kurwa, nie stęsknił.

– Dałem ci czas, staruszkule, na odsapnięcie. Kumpel widział Kruśkę u Wojewody.

Marek wsiadł do samochodu Czarnego i zapiął pasy.

– Aż tak się stoczył?

Wojewoda szczycił się mianem tutejszego barona meneli. Pozostali darzyli go szacunkiem, bo jako jedyny posiadał mieszkanie z ogrzewaniem i ciepłą wodą. Niegdyś pracował jako górnik, dlatego emerytura wystarczała mu na rachunki, alkoholizm, a nawet stawianie kolegom, których – z uwagi na powyższe – miał wielu. W mieszkaniu Wojewody było ciepło, ale równie ładnie i czysto jak u Witkowskiej. Tacy ludzie nie mają czasu na porządki.

W drodze zastanawiali się, czy nie powiadomić Bandury. Tylko co mieli mu powiedzieć? „Słuchaj, nie jesteśmy pewni, ale Kruśko, wiesz, ten nasz kryminalny, chyba zabił Witę. Motyw? No, chyba chodziło mu o jego bolca”. Dlatego plan był prosty. Nie doskonały, nawet nie dobry, ale na pewno prosty. Wchodzą, robią zamieszanie i maglują Kruśkę na miejscu – pod warunkiem że będzie w stanie mówić.

Drzwi od mieszkania Wojewody znajdowały się przed nimi. Zrobiono je z płyty wiórowej wątpliwej jakości, na dodatek pękniętej.

– Wyważę. Lumpy nic nie zgłoszą.

Marek zauważył dwie ciemne plamy, prawdopodobnie moczu.

W tym samym momencie usłyszeli trzask zamka. Z mieszkania wyszedł przygarbiony mężczyzna. Wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt lat, choć Marek był przekonany, że miał znacznie mniej. Podszedł do nich i wyciągnął dłoń w kierunku Czarnego. Ten przywitał się z nim. Marek natychmiast zauważył w dłoni kolegi zwinięty banknot. Brodacz minął ich bez słowa, ale z widocznym uśmiechem.

– Tak się pracuje, Mareczku – powiedział Czarny zadowolony i wszedł do środka.

Stoczył się na dno. Nawet nie wiedział, jaki jest dzień tygodnia. Nie wiedział także, kiedy ostatni raz brał prysznic. Czuł, że śmierdzi, ale to mu nie przeszkadzało. Zresztą ostatnio nic mu nie przeszkadzało.

W trakcie wizyty Barczyńskiego po prostu się zesrał. Gdy Marek wyszedł, zamiast pójść się wykąpać, napił się wódki i znowu poszedł spać. Był wrakiem. Dążył do autodestrukcji, ale brakowało mu odwagi, by zrobić ostateczny krok. Dlatego pozostawał w próżni. Nie istniał ani w pracy, ani w życiu rodzinnym. Rozsypał się, a w kupie trzymał go tylko alkohol. Gdy konto jeszcze nie świeciło pustkami, pił wódkę. Szybko zamienił ją na mocne piwa, ale i one musiały pójść w zapomnienie. Teraz przed wszechogarniającym bólem ratowały go tanie wina.

Wojewoda był dobrym rozwiązaniem. Kruśko po wizycie Barczyńskiego zauważył brak swojego telefonu. Domyślił się, że kolega go zabrał. Niestety – jego zawartość była dość obciążająca. Marek z pewnością dodał dwa do dwóch.

Michał Wojewoda wisiał mu przysługę. Dwa lata temu był poszukiwany za zaległe mandaty. To właśnie Kruśko dokonał zatrzymania. Z uwagi na niewielką szkodliwość czynu mężczyzna miał możliwość wykupienia się za marne dwieście złotych. To były zaledwie cztery dni pozbawienia wolności, ale dla kogoś uzależnionego od alkoholu – kto tuż po przebudzeniu wydychuje co najmniej trzy promile – to niemożliwa przeprawa. Baron meneli wyblagał od Kruśki potrzebne pieniądze, a w zamian obiecał dozągonną wierność i dziesiątki informacji, które mogły interesować policję. Paweł zapłacił, a Wojewoda wyszedł jeszcze tego samego dnia. Oczywiście

szybko zapomniał o obietnicy. Ale gdy kilka dni temu Paweł przyszedł do niego w potrzebie, zgodził się bez chwili zastanowienia.

Kruško planował poszukać nowej kryjówki, bo spodziewał się, że Marek prędzej czy później go znajdzie. Dziwił się, że Bandura jeszcze o niczym nie wiedział. W przeciwnym razie wydział kryminalny przetrząsnąłby każdą melinę w mieście.

Usłyszał, że ktoś wchodzi do mieszkania. Początkowo myślał, że wrócił ten śmierdzący brodac, którego nie znał, ale kroki były zbyt żwawe. Jeśli jego policyjny nos w ogóle jeszcze działał, to właśnie mówił mu, że nadchodzi Barczyński.

Nie zamierzał poddać się bez walki. Sięgnął za siebie i położył dłoń na kaburze służbowej broni. Już raz zabił. Jeśli będzie trzeba, zabije po raz drugi.

– Dobra, wszystkich zapraszam wypierdalać! – krzyknął Barczyński.

– Co jest, kurwa?! To mój kwadrat. Ja tu rządę! – oburzył się Wojewoda.

– Rządzisz, jak nas tu nie ma. Każdy z was oprócz tego pana – Bary wskazał dłonią na Pawła – wypierdala stąd na dziesięć minut, a później wracacie do swoich obowiązków, czyli marnowania sobie życia.

Trzej zaniedbani mężczyźni wstali, zabrali resztki alkoholu i opuścili mieszkanie.

– Ni chuja stąd nie pójdę. Kim wy, do chuja, jesteście? Dzwonię po psy!

Jeden z meneli wstał i nerwowo zaczął szukać swojego telefonu. W tym bałaganie nie znalazłby pewnie nawet stacjonarnego z lat dziewięćdziesiątych.

– Psy już tu są.

Czarny wyciągnął odznakę, a mężczyzna podniósł dłonie w geście kapitulacji i ruszył do wyjścia.

– Paweł, jak ty wyglądasz? – zapytał Marek, siadając naprzeciw niego.

Obrzydzał go brud zgromadzony na fotelu, ale wiedział, że taki ruch rozładuje emocje.

– Nie gorzej niż ty – odpowiedział Kruško zachrypniętym głosem.

Barczyński nie mógł wyglądać lepiej. Był na nogach od ponad doby.

– Ja nie mam trzech promili – odgryzł się Bary.

– Mam to w dupie. Czego chcecie?

– Paweł, twój przyjaciel zginął, a ty zamiast szukać mordercy, popijasz sobie wódeczkę z nowymi kolegami... Dlaczego? – zapytał Marek.

Czarny zrozumiał, że jego partner postawił na szczerą rozmowę i próbę wywołania poczucia winy. Chciał złamać Kruśkę emocjonalnie. Jeśli którykolwiek morderca miałby złapać ten haczyk, to właśnie on.

– Zawsze byłem pizdowaty. – Spojrzał twardo na Marka.

– I zawsze byłeś lojalny wobec przyjaciół – odpowiedział Barczyński.

– Nic, kurwa, nie wiesz! – wrzasnął Paweł, zrywając się z kanapy.

– Usiądź, kolego – nakazał spokojnie Marek i uśmiechnął się krzywo. – Wiem, że jesteś gejem.

– Bo zjebałeś mi telefon – burknął Kruśko.

– Bo zjebałem ci telefon – potwierdził. – Kochałeś się w Filipie, ale jego żona wam przeszkadzała, prawda?

– Suka! Nie mogła pogodzić się z tym, że Filip zostawia ją dla fiuta. – Kruśko nie spuszczał ręki z broni.

– Widzisz, Paweł, może nie wyglądam, ale potrafię wiele zrozumieć.

Czarny się wyprostował, jakby coś zauważył.

– Rozumiem, że się kochaliście – kontynuował Marek. – Rozumiem, że Iwona wam przeszkadzała. Ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego...

– Ale pierdolicie kocopoły – wtrącił się Czarny. Wstał i udawał, że prostuje obolałe plecy.

Marek natychmiast spiorunował go wzrokiem.

– Mówiłem ci, Bary, że to nie on. Kochał się w Wicie, ale to tyle. Pizduś nigdy by tego nie zrobił.

– Siadaj na dupie! – syknął Barczyński.

– Kuśka, nie masz fajki? Od tych waszych tęczowych pierdół rzygać mi się zachciało.

Paweł zaczął szukać papierosów w kieszeni. W tym momencie Czarny rzucił się na niego i obiema dłońmi złapał za broń znajdującą się za paskiem spodni.

– Broń! – krzyknął.

Marek natychmiast zrozumiał. Zerwał się na równe nogi i doskoczył do szarpiących się mężczyzn. Lewym przedramieniem objął szyję Kruśki, a prawą dłonią zacisnął uchwyt. Użył całej siły, by przyciągnąć mężczyznę do swojej klatki piersiowej tak, aby ten stracił przytomność. Czarny złapał

za broń Kruśki. Najpierw próbował ją wyszarpać, ale Kruśko mu na to nie pozwolił. On też miał ręce na pistolecie. Zadaniem Czarnego było niedopuszczenie do wystrzału.

– Puść mnie! – wycharczał Kruśko, gdy poczuł, że chwyt wokół jego szyi się zaciska.

Prawidłowe zastosowanie duszenia pozwalało odciąć dopływ tlenu nawet w kilka sekund. Markowi się nie udało. Nie zastosował nacisku na aortę, tylko tchawicę, co znacznie wydłużało całą procedurę. W końcu Kruśko zaczął słabnąć. Puścił broń i zaczął klepać Marka w przedramię. Czarny wyrwał służbowego waltera i zrobił kilka kroków wstecz. Gdy Bary ocenił, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, puścił Kruśkę.

– Siedzisz i się nie ruszasz. Jeden krzywy krok i dostajesz strzała w ryj. Zrozumiałeś? – Marek stał nad nim niczym kat nad ofiarą.

Ten, trzymając się za szyję i charcząc, pokiwał głową.

– Skurwysyn – powiedział Czarny.

Marek spojrzał na niego i zauważył, że rozładował broń. Teraz przyglądał się magazynkowi.

– Co jest?

– Brakuje jednej pestki⁹⁹ – powiedział Czarny z niedowierzaniem.

– Ty chory pojebie, zajebałeś Witę!

Marek jedną dłonią złapał za bluzę kolegi, a drugą, zaciśniętą w pięść, uderzył w twarz. Plask rozniósł się po pomieszczeniu. Po chwili rozległ się ponownie.

– Kurwa, nie zabiłem go! Debile, ja go kochałem! – krzyczał Kruśko rozpaczliwie.

– Gdzie pestka?! – warknął Czarny.

Ciszę przerwało kolejne plaśnięcie.

– Przecież technik zabezpieczył pocisk. Sprawdźcie, idioci, czy jest moja! Kruśko otarł krew z rozbitego łuku brwiowego.

– W laboratorium coś pojebali i dalej czekamy na wyniki – powiedział Czarny.

– No tak, kurwa! – prawie krzyknął Barczyński. – Przecież ten skurwiel – wskazał na Kruśkę – chwalił się kiedyś, że ma tam kuzynkę!

– Ja jebię – wyszeptał Czarny. – Dzwonię do Bandury, niech przysła patrol. Zamykamy skurwiela.

– Nie, czekaj! Wszystko wam powiem, ale nie dzwoń!

– Masz trzy sekundy.

Czarny sięgnął do kieszeni po telefon.

– Nie zabiłem Wity! Kochałem go i chciałem z nim być! Tak, pokłóciliśmy się w dniu jego śmierci, czego nie mogę sobie wybaczyć, ale nigdy bym mu tego nie zrobił! Mieliśmy się spotkać na gliniankach, ale on zrezygnował. Zadzwoiłem do niego i błagałem, żeby przyjechał, ale powiedział, że ma coś do załatwienia i obiecuje, że po tym przyjedzie do mnie. Uwierzyłem mu i czekałem jak debil. Później próbowałem do niego dzwonić, ale nie odbierał. Po jakimś czasie dostałem telefon od dyżurnego, że Filip nie żyje. Chłopaki, ja naprawdę go nie zabiłem! – Łzy spływały mu po policzkach.

– To gdzie szesnasta pestka? – Czarny nie ustępował.

Mężczyzna spuścił głowę i zaczął nerwowo skubać skórki przy paznokciach.

– Kruśko! – ryknął Czarny.

– Musiałem to zrobić! Wy nigdy nie mielibyście na to jaj.

– O czym ty bredzisz?

Czarny zrobił krok w jego stronę.

– Kurwa, Kruśko! – rzucił Marek cicho.

Paweł wyczuł w jego tonie rozczarowanie. Spojrzał mu w oczy, nieznacznie kiwając głową.

– Odebrałeś od tego wieśniaka nagranie i je obejrzałeś?

– Tak – potwierdził Paweł.

– Jakie nagranie? O czym wy pierdolicie? – denerwował się Czarny.

– Sąsiad Wity, Janusz Suchacz. Dał mu film z monitoringu, a on go zobaczył. Tak jak my.

– Niedźwiedzkiego – zrozumiał po chwili Czarny.

– Tak. Wcześniej razem z Pawłem byliśmy u niego, ale uwierzyliśmy, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Wity. Po obejrzeniu nagrania Paweł zapewne się wkurwił i poszedł odwiedzić Grizzly'ego jeszcze raz. Ale z bronią.

– Musiałem – powiedział pokornie.

– Kurwa, Paweł! Zabiłeś człowieka! – krzyknął Marek.

– Zabiłem mordercę naszego naczelnika!

– Przyznał ci się?

Mężczyzna się zawahał.

- Nie.
- Ja pierdolę! A jeśli to nie on?! – kontynuował Barczyński.
- Jak znajdziesz sprawcę, to obiecuję ci, że przyznam się do zabójstwa i powiem wam, gdzie jest ciało.
- Już się przyznałeś – zauważył Czarny.
- Kruśko uśmiechnął się arogancko.
- Krzysiek, jestem nakurwiony jak dziwka na balu maturalnym. To jedynie pijacki bełkot, a na trzeźwo się do niczego nie przyznam. Chcesz rozpętać gównoburzę? Proszę bardzo, ale ktoś z was za to beknie. Oprócz mojego samooskarżenia nic nie macie.
- Chłopie, zabiłeś człowieka! – powtórzył Marek z niedowierzaniem.
- Zabiłem mordercę. Jeśli nie, osobiście mnie zakujecie.
- Marek wstał i bez słowa skierował się do wyjścia.
- Kurwa, Bary! Nie możemy go tak zostawić! – krzyknął Czarny.
- Wrócimy po niego, jak znajdziemy mordercę Wity. – W jego głosie brzmiała groźba połączona z obietnicą.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed blokiem Wojewody i kłócili się już dobre trzydzieści minut. Czarny nie mógł zrozumieć, dlaczego puszczają wolno Kruśkę, który przyznał się do zabicia Niedźwiedzkiego. Zresztą upierał się też, że nie wolno mu ufać i może to on zabił Witę, a trop z Niedźwiedzkiem miał ich tylko zmylić.

– Paweł jest gliną od ponad dziesięciu lat. Nie ma szans, że go złamiemy na oficjalnym przesłuchaniu. Zresztą jak ty sobie to wyobrażasz? Przywozimy do komendy zakutego Kruśkę, a on płacze i krzyczy, że to jakaś pomyłka. Przecież lecimy na zbity pysk, i to jeszcze przed przystąpieniem do przesłuchania – tłumaczył Barczyński.

Czarny wpadł jeszcze na pomysł z BSW. Chciał napisać do nich anonim z informacjami, które dzisiaj zdobyli. Marek odrzucił ten sposób. Przewidywał zbyt duży bałagan i awanturę medialną, które nie były im potrzebne. Zapewnił partnera, że Kruśko odpowie za to, co zrobił, ale najpierw muszą znaleźć mordercę Wity.

Gdy się żegnali, do Barczyńskiego zadzwonił naczelnik.

– Alarm. Przyjeżdżaj – rzucił krótko.

- Co jest?
 - Powtórka z rozrywki.
-

⁶⁹ Pestka – pocisk.

Rozdział 32

Pakował się w pośpiechu. Nie planował wyjazdu, ale ostatnio jego życie było zlepkiem nieprzewidzianych zdarzeń. Zamierzał wziąć ze sobą jedynie najpotrzebniejsze rzeczy, wiedział, że kończy mu się czas. Sprawdził, czy ma przy sobie portfel z dokumentami, telefon i zdjęcie uśmiechniętej matki. To przez nią jego życie zaczęło płonąć, ale nie żałował. Kochał ją nad życie. Właśnie dlatego tuż przed jej śmiercią obiecał, że się zmieni. Był na to gotowy, choć wiedział, że nie będzie to łatwe. Problem polegał na tym, że nie pracował w zwykłym zakładzie produkcyjnym, dlatego tradycyjne wypowiedzenie umowy też nie wchodziło w grę.

Od zawsze był bandytą i nigdy wcześniej mu to nie przeszkadzało. Ale matka miała rację – kiedyś zapewne będzie chciał założyć rodzinę. Ożenić się z kobietą, która urodzi mu zdrowe dziecko, a on będzie mógł skupić się tylko na nich.

Właśnie dlatego nawiązał kontakt z tym psem. Tylko współpraca z policją mogła uwolnić go od przeszłości. Nie przewidział jednego. Pies okazał się być na smyczy kogoś, kogo on zamierzał sprzedać. Wiedział, że jego szef jest potężny, ale nie miał pojęcia, że jego macki sięgają policjantów.

Ulica wydała wyrok, a on musiał przed nim uciec.

Wrzucił pośpiesznie walizkę do samochodu i ruszył z piskiem opon.

Rozdział 33

Widok spalonego samochodu był nierealny. Czarna skorupa pojazdu, spalone ludzkie ciało i dziura po kuli w głowie przypominały noc, kiedy zginął Wita. Marek nie spał już prawie dwie doby i zastanawiał się, czy nie śni na jawie. Miał wrażenie, że w jakiś sposób cofnął się w czasie. Nawet jeden z techników poruszał się jak wtedy. O dziwo, tym razem drugi nie wymiotował.

– Wiadomo już, kto to? – Czarny złapał posterunkowego, który był pierwszy na miejscu.

Ten spojrział na niego z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Czarny, idź się lecz – skwitował, podchodząc do nich.

– Ale że co? – zapytał dumnie Czarny, biorąc kolejny kęs.

– Jebie spalenizną na kilometr, a ty kebaba wpierdalasz?

– Spokojnie, naczelniku, naszego skwarka nie podjem – odpowiedział Czarny, machając widelcem w stronę spalonego człowieka.

– Ten sam sprawca czy mamy naśladowcę? – podjął Barczyński.

– Chuj go wie. Sprawa Wity została zatuszowana. Do mediów nie poszła informacja, w jaki sposób zginął.

Czarny spojrział na Marka. Wiedzieli, że na pewno nie zrobił tego ani Kruško, ani Niedźwiedzki. Ten pierwszy cały dzień spędził u Wojewody, drugi zginął z rąk pierwszego. To oznaczało, że mieli do wsadzenia i zabójcę podpalacza, i byłego kolegę.

– Ty, a gdzie w ogóle są te orły z wojewódzkiej? Nie widzę ich od kilku dni – zapytał Bary.

– Zaraz tu przyjadą. Dałem im miejsce w dochodzeniówce. Tam mogą pracować w spokoju.

– Chyba udawać, że pracują. Zwieźli kogoś ostatnio? W ogóle coś mają? Pierdolone dinozaury²⁰, tylko pączki wpierdalają – powiedział Barczyński.

– Te, komendant, zajmij się swoją robotą. Twoich chemików od mety też jakoś nie widziałem na komendzie – odpowiedział naczelnik. Nie wiedział ani o podejrzeniach co do Kruśki, ani co do Niedźwiedzkiego.

– Co ty ich tak kryjesz? Marzy się ciepły stołek w wojewódzkiej? – kontynuował Barczyński.

– Słuchaj, kurwa...

– Księżniczki, później potargacie się za włosy. Mamy albo sprawcę, albo ofiarę – przerwał im technik.

– Co? – zapytał naczelnik.

– Trzy metry od samochodu znaleźliśmy dowód osobisty. Leżał, jakby ktoś go nam naszykował. Albo po prostu wypadł uciekającemu w popłochu mordercy.

– Widzisz, kurwa, Bary? Trzeba zapierdalać, a nie stać w miejscu jak kołek. Dawaj ten dowód. Kto to? – Bandura się podniecił.

– Wstrzymaj konie, rycerzu! – powiedział technik. – Dowód zabezpieczamy, może będzie na nim jakaś daktyloskopia²¹. Dane są na niejakiego Rafała Maćkowiaka.

Barczyńskiemu zakręciło się w głowie. Jednocześnie poczuł mdłości, dreszcze i zimne poty. Miał wrażenie, że za chwilę zemdleje. Jego kurewstwo sięgnęło zenitu. Podczas spotkania z Alfą wydał wyrok na tego młodego chłopaka i teraz to zrozumiał.

²⁰ Dinozaury – określenie policjantów z długim stażem.

²¹ Daktyloskopia – technika śledcza polegająca na porównywaniu linii papilarnych znalezionych na miejscu zbrodni lub zdarzenia. W żargonie policyjnym słowo to oznacza odciski palców.

Rozdział 34

Wybiła czternasta. Ostatnie, co pamiętał Marek, to moment, gdy technik przeczytał imię i nazwisko ofiary.

Kolejne godziny minęły błyskawicznie. Razem z Czarnym jeździli za monitoringiem, ale to jego partner wszystko ogarniał. On siedział na miejscu pasażera i nawet nie wysiadał z samochodu – tłumaczył się problemami żołądkowymi. Później oglądali nagrania na komendzie, a Marek co chwilę wychodził do toalety. Sprawcy zabójstwa nie znaleźli, choć Barczyński doskonale wiedział, kto za nim stoi. Przeraziło go identyczne *modus operandi*²². Odkąd zobaczył spalone ciało kapusia, nie mógł pozbyć się myśli, że przez cały ten czas miał na wyciągnięcie ręki mordercę Wity, a przynajmniej zleceniodawcę.

Tylko skąd się znali i co zyskałby na tym Alfa? A może Wita nadepnął mu na odcisk?

Bandura puścił szybciej do domu każdego, kto w nocy stawiał się na wezwanie. Barczyński ledwo widział na oczy, ale postanowił zostać jeszcze chwilę. Siedział przed komputerem i pił piątą kawę, która nie miała prawa zadziałać. Potrzebował snu i obiecał sobie, że po powrocie do domu zdrzemnie się chociaż kilka godzin. Kolejną obietnicą było dorwanie Alfego i jego ekipy. Wprawdzie nie wiedział, kiedy to zrobi, bo nadal potrzebował pieniędzy, ale postanowił się przygotować i dowiedzieć o gangsterach kilku rzeczy. Drabinę wrzucił pierwszego na bęben²³. Stwierdził, że poszukiwanego będzie łatwo znaleźć.

Miał rację. Adam Drabinowski, trzydzieści dwa lata, zameldowany we Wrocławiu i poszukiwany za liczne rozboje. Łącznie do odsiadki miał dwa lata i osiem miesięcy, co wyjaśniało jego reakcję w taksówce. Drabina

wszystkie przestępstwa, które zostały mu udowodnione, popełniał we Wrocławiu – dlatego Marek w ogóle go nie kojarzył. Był napływowy, co mogło oznaczać, że cała ekipa Alfy pochodziła z innego miasta. To też wyjaśniałoby, dlaczego Lektor niczego się o nich nie dowiedział.

Dzięki Drabinie łatwo znalazł też Kamienia. W dwa tysiące ósmym wspólnie włamali się do osiedlowego sklepu, za co zostali ukarani rokiem pozbawienia wolności. Ksywa Włodzimierza Wilgockiego – w przeciwieństwie do jego kolegi – nie wzięła się od nazwiska. Zapewne chodziło o notorycznie spożywaną przez niego metamfetaminę, zwaną też kamieniem. Wilgocki również mieszkał i działał we Wrocławiu. Łącznie przesiedział w więzieniu prawie dziesięć lat, jedną trzecią życia.

W bazach danych Marek nie znalazł jednak ani Pisarza, ani Alfy. Miał kilka typów, ale szybko je zweryfikował po wrzuceniu do RDO²⁴. Łącznie przejrzał ponad dwadzieścia dwa zdjęcia, ale na żadnym nie znalazł mężczyzn. Będzie musiał się do nich zbliżyć i pod jakimś pretekstem zdobyć ich numery telefonów. Jeśli mają zarejestrowane na sobie karty SIM – w co szczerze wątpił – to szybko pozna ich tożsamość. Wydedukował, że łatwiej będzie mu zbliżyć się do Pisarza. Ciekawski prawiczek powinien być łatwym celem.

²² *Modus operandi* – sposób działania sprawcy przed, w trakcie i po popełnieniu przestępstwa.

²³ Bęben – policyjne bazy danych.

²⁴ RDO – Rejestr Dowodów Osobistych.

Rozdział 35

W domu zdrzemnął się dwadzieścia minut. Chciał zaopiekować się córką, ale Amelia uspokoiła go, że panuje nad sytuacją. Róża też była dzielna. Uśmiechała się do niego i co chwilę zapewniała, że jest gotowa walczyć. Czuł dumę.

Teraz, wywołany przez Alfę, jechał na kolejną robotę. Początkowo odmówił, szczerze tłumacząc się zmęczeniem, ale niemal natychmiastowa wpłata na zbiórkę zadziałała motywująco. Amelię okłamał, że znów ma wezwanie do roboty. Oczywiście nie uwierzyła, ale pocałowała go w czoło i poprosiła, żeby na siebie uważał.

Jechał na Koleckiego dwadzieścia przepelniony nienawiścią. Chciał bezpośredniego starcia z Alfą i wygarnięcia mu, że jest mordercą Wity. Zacisnął zęby i obiecał sobie, że tę partię rozegra, jak na prawdziwego psa przystało.

W domu czekał Pisarz z Tanią krzątającą się w tle.

– Cześć. – Marek wystawił dłoń na przywitanie. – Co dzisiaj?

– Mamy być w gotowości. Drabina i Kamień są w terenie. Jak coś się zesra, trzeba im pomóc.

– Padam na ryj, zrobisz małą czarną? – zapytał, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Kawy nie ma, ale red bull się znajdzie – odpowiedział z szerokim uśmiechem.

– Taki jak ten od Drabiny?

– To zależy, czy się podobał – odrzekł z przekąsem.

– Obejdzie się.

Marek usiadł na kanapie. Celowo nie wybrał fotela. Liczył, że za chwilę Pisarz się przysiadzie. Ten poszedł do łazienki. Marek usłyszał zza drzwi charakterystyczne wciąganie powietrza nosem i głośne westchnięcie. Oho, zaraz się zaczniesz – pomyślał.

Tania poruszała się po salonie z gracją, szykując ubrania na noc. Miała na sobie krótki zmysłowy szlafrok, którego celowo nie związała. Od czasu do czasu materiał się rozsuwał, by odsłonić koronkowe majteczki, zgrabny brzuch i skrawek jędrnych piersi. Uśmiechała się przy tym zalotnie i zakrywała z fałszywą skromnością.

Gdy Pisarz wyszedł z łazienki, wyglądał na odmienionego. Uśmiechał się od ucha do ucha. Cokolwiek wciągnął, dodało mu odwagi.

– Ej – zaczął, siadając obok Barczyńskiego – to prawda, że jesteś gliną?

Marek skinął głową, nie spuszczając wzroku z Tani.

– A masz przy sobie kłamkę? – zapytał, pociągając nosem.

– A ty znowu książkę piszesz?

– Kurwa, no tak już mam! Lubię wiedzieć.

– Alfę też tak wypytujesz?

Sprawdził w telefonie godzinę. Była dopiero dwudziesta trzecia, a on już ledwo widział na oczy.

– Nie daj się prosić. Masz to kopyto²⁵? – zignorował pytanie Marka.

– Nie.

– Ty, a w trakcie interwencji muszę dawać krawężnikowi²⁶ do ręki mój dowód osobisty? – Pisarz przysunął się bliżej. – Bo wiesz, do ręki to mogę mu dać mojego zwierza.

– Taa – rzucił Marek krótko. Jeśli chciał się przypodobać przestępcy, to musiał się bardziej postarać, ale po prostu nie miał siły.

– A co, jeśli...

– Chłopie, nie wygrasz. Trzeba okazać dowód, a jeśli policjant chce go od ciebie wziąć, to ma takie prawo. Chociażby po to, żeby sprawdzić jego autentyczność.

– A muszę się zatrzymać podczas kontroli drogowej? Ponoć nic z tym nie robicie.

Mężczyzna wykonywał wiele niepotrzebnych gestów. Co jakiś czas patrzył też na Tanię, która popijała herbatę w kuchni, po czym wymownie spoglądał na Marka.

– Niezatrzymanie się do kontroli drogowej jest przestępstwem – odpowiedział Marek, rozsiadając się wygodnie na kanapie. – Kiedyś nie było, teraz jest – dodał lakonicznie.

– Ooo! Widzisz, dobrze wiedzieć. Ty, a dymnąłbyś Tanię? – Spojrzał na kobietę.

Marek skwitował pytanie lekkim uśmiechem.

– Pies też człowiek. – Zaśmiał się.

– Ty – podrapał się po nosie – a jak sześćdziesiątka²⁵ podaje mnie na psiarni, ale nie ma żadnych dowodów, to jest to tylko zwykłe pomówienie, nie? I może mi na grzyba skiknąć kapuś jeden?

– Różnie bywa. Zazwyczaj cię zwiozą na komendę i będzie konfrontacja. W zależności od jej przebiegu albo cię wsadzą na dołek, albo postawią zarzuty i wypuszczą. Zależy też, o jakie przestępstwo chodzi.

– Zarzut z pomówienia? Kurewstwo.

– Taa. Ale spokojnie, wtedy masz sprawę w sądzie i nawet średnio ogarnięty papuga cię wybroni.

– Dobra, jebać to. – Chłopak zerwał się z kanapy i podszedł do stołu. – Chcesz? – Skierował butelkę piwa w stronę Marka.

– Po browarze odleciałbym w dwie sekundy. – Pokręcił głową.

– W dwie sekundy to skończyłbym w tej ślicznotce.

Marek uśmiechnął się przyjacielsko i spojrzał na Tanię.

– Ty, a jeszcze mam pytania – powiedział Pisarz, otwierając piwo.

– Dajesz. – Marek odchylił głowę i przymknął oczy. Miał wrażenie, że chłopak się zawahał.

– Ile grozi za gwałt zbiorowy?

Marek spojrzał na niego uważnie.

– Dużo – odpowiedział ostrym tonem. – Może i Alfa ma mnie w kieszeni, ale za taki manewr to cię zamknę bez zmrżenia oka.

– Jebnięty czy z policji? – zapytał chłopak. – Ciekawy jestem, to pytam. Zastanawia mnie, czy w takiej sytuacji warto zaufać wymiarowi sprawiedliwości.

Marek westchnął. Chciał dorwać Alfę za wszelką cenę i właśnie musiał wpłacić zaliczkę.

– Wiesz co? Daj mi tego red bulla.

²⁵ Kopyto – broń palna.

²⁶ Krawężnik – policjant wydziału prewencji pełniący służbę w terenie.

²⁷ Sześćdziesiona – nazwa pochodzi od art. 60 Kodeksu karnego, który mówi, że za współpracę z policją, w tym ujawnienie informacji dotyczących sprawców przestępstwa, przewidziane jest nadzwyczajne złagodzenie kary lub jej warunkowe zawieszenie.

Rozdział 36

Rozmawiali ponad trzy godziny. Pisarz okazał się świetnym ziomkiem. Nadal zadawał mnóstwo pytań, zwłaszcza dotyczących uniknięcia kary za przestępstwo czy udowodnienia komuś popełnienia przestępstwa, ale bez twardych dowodów. Marka najbardziej zaskoczyło pytanie, czy zabójstwo z zemsty podlega instytucji nadzwyczajnego złagodzenia kary lub jej zawieszenia. Jak na naćpanego i pijanego Pisarz wypowiadał się wyjątkowo trzeźwo. Coś musiało być nie w porządku, ale Marek nie chciał tego zauważyć. Jak miał to zrobić, skoro co chwilę zerkąła na niego śliczna Tania.

Nie wiedział, czy to był efekt działania napoju energetycznego, ale ta kobieta powodowała ciarki. W pewnej chwili, siedząc naprzeciwko Marka, upuściła łyżeczkę do herbaty. Żeby ją podnieść, odwróciła się do niego tyłem i na w pełni wyprostowanych nogach schyliła się po sztuciec. Ponętne opalone nogi oraz umięśnione kształtne pośladki sprawiły, że policjant poczuł mrowienie w kroczu. W tym czasie Pisarz znów ładował akumulatory w łazience. Tania wykorzystała moment, podeszła do Marka i delikatnie chwyciła go za rękę.

– Chodź ze mną – wyszeptała seksownie.

– Mam żonę – odpowiedział Marek tak cicho, jakby chciał, żeby tego nie usłyszała.

– Mnie ona nie przeszkadza – odpowiedziała, rozchylając skąpy szlafrok.

Markowi zaschło w gardle. Amelia była piękna, ale nie mogła równać się seksapilem z Ukrainką.

Nie wiedział, dlaczego za nią idzie. Nie chciał zdradzić żony, ale nie chciał też przegapić takiej okazji. Szybko przekalkulował, że oglądanie nagiego ciała nie zalicza się do kategorii zrad.

Stanęli przed łóżkiem. Dopiero teraz zauważył, że kobieta trzyma coś w dwóch palcach. Wolnym ruchem przyłożyła mu do ust małą twardą

pastylkę. Kątem oka zauważył, że jest niebieska.

– Co to? – zapytał nieśmiało. Czuł się jak gimnazjalista na pierwszej randce.

– Coś, co pozwoli ci dotrzymać tempa – powiedziała zalotnie.

Połknął tabletkę, która przeszła przez gardło wyjątkowo gładko. Tania pchnęła go na łóżko i zaczęła tańczyć. Gdy zauważyła zgrubienie na spodniach Marka, przeszła do rzeczy. Najpierw poleciła mu ściągnąć spodnie, ale pokręcił głową.

– Mmm, taki z ciebie twardy zawodnik? – zapytała z uśmiechem.

Nachyliła się ku niemu i od razu skierowała się w stronę rozporoka.

Rznął ją bez opamiętania. Właśnie mijała pełna godzina, a on nawet nie był blisko. Początkowo miał opory, ale gdy wzięła go do ust i skończył w niecałą minutę, postanowił bronić honoru. Cieszył się, że dała mu viagrę. Ten seks zapamięta do końca życia.

Nigdy wcześniej nie był tak agresywny i tak brutalny. Tania kazała mu bić ją po twarzy i przyduszać, co natychmiast mu się spodobało. Wchodził w nią szybko i mocno. Co chwilę zmieniali pozycję. Miał wrażenie, że doszła co najmniej dwa razy. Gdy zauważyła, że on ma z tym problem, położyła się na brzuchu, wypięła pośladki i kazała mu wejść w jej tyłek. Zrobił to bez wahania. To była jego fantazja. Kiedyś namawiał na to Amelię, ale nigdy się nie zdecydowała.

Brutalny seks dodał mu energii i pewności siebie. Zrobił to, o czym marzył. Zerznął Tanię tak, że ta jęczała pod nim jak żadna inna. Czuł dumę. Teraz pozostało rozjechać ekipę Alfę. Chciał zacząć od Pizarra lub Drabiny, ale chyba zmienił zdanie. Był niezniszczalny i musiał to wykorzystać. Ponoć Alfa miał przyjechać za godzinę. Zmierzy się z nim tu i teraz, ale na tak trudnego rywala jeden red bull to za mało.

– Młody, energetyka poproszę! – krzyknął w kierunku Pizarra.

Ten uśmiechnął się wymownie i zniknął w kuchni. Po chwili przyniósł otwartą puszkę.

– Niech moc będzie z tobą – powiedział zadowolony.

Rozmawiali przez kolejną godzinę. Nikt nie zadzwonił, dzięki czemu Marek dostał pieniądze za tak naprawdę siedzenie na dupie i świetny seks. Opowiadał Pisarzowi o ruchaniu z Tanią, jakby obaj nadal chodzili do szkoły średniej. Podniecali się każdym najmniejszym szczegółem, a Pisarz obiecał sobie i Markowi, że kiedyś też wypieprzy Ukrainkę, ale – jak stwierdził – musi jeszcze potrenować.

Kilka razy dopytywał Barczyńskiego o relacje z Alfą. Gdy Marek usłyszał tę ksywę, zaczął zgrzytać zębami i przeklinać. Pisarzowi najwyraźniej spodobała się ta reakcja.

Nienawiść wypełniała każdą komórkę jego ciała. Był wściekły. Na Kruškę, że ten zabił Niedźwiedzkiego. Na Alfę, że ten traktował go jak sprzedajnego śmiecia i debila. Zabił Witę i miał czelność udawać, że wszystko jest w porządku. No i wreszcie był wściekły na samego siebie, że dał się tak łatwo podejść temu gnojowi. Naiwnie wierzył, że ich znajomość skończy się dość szybko. Tymczasem właśnie zdradził żonę, po raz pierwszy w życiu świadomie ćpał, no i miał na sumieniu niewinnego chłopaka. Kapuś może nie był nieskazitelny, ale z całą pewnością nie zasługiwał na śmierć. Za wszystkie porażki Marka odpowiadał Alfa. To przez niego zaczął łamać swoje zasady. Już nawet nie mógł spojrzeć w lustro. Kiedyś widział w nim funkcjonariusza, któremu służba przynosiła satysfakcję. Teraz widział zaćpaną kurwę. Postanowił, że dziś rozwiąże problem z Alfą, a pieniądze dla córki zdobędzie w inny sposób.

Po chwili w progu zobaczył – pobudzonego jak zawsze – Kamienia, radosnego Drabinę oraz ich szefa. Mężczyźni się przywitali. Marek słyszał, że są zadowoleni z „dobrze wykonanej roboty”. Nie wiedział, o co chodziło. Podeszedł do gangstera i wyciągnął rękę na powitanie.

– Musimy porozmawiać – zaczął.

Ten zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

– Porozmawiamy wtedy, kiedy ja tak zdecyduję – odpowiedział arogancko.

– Słuchaj, albo rozmawiamy...

– Albo co? – Alfa mu przerwał.

Zrobił kilka kroków w stronę Marka. Rozmowy w pomieszczeniu ucichły.
– Naćpany? To do domu! – zarządził ostro.

Marek poczuł intensywny zapach drogich perfum. Żeby spojrzeć Alfie prosto w oczy, musiał podnieść głowę.

– Wiem, że zabiłeś Witę. Dojadę cię za to. – Nie chciał tego powiedzieć. Nie panował nad sobą.

– Osoby, które mi grożą, źle kończą – wycedził Alfa.

– Ja ci nie grożę, ja obiecuję.

Pierwsze uderzenie kolanem spowodowało, że Marek zgiął się w pół. Drugie rozcięło górną wargę. Marek padł na podłogę. Już chciał wstać, ale nagle poczuł silne kopnięcie w okolice żeber. Było ich tyle, że z pewnością nie kopał tylko Alfa. Gdy próbował wstać, kopali w nogi, a on upadał. Chciał chociaż spojrzeć na agresorów, ale na to też mu nie pozwolili.

Ciosy ustały po jakiejś minucie, choć dla policjanta ten zabójczy grad trwał o wiele dłużej. Alfa pochylił się nad nim i wysyczał:

– Ostatni raz zrobiłeś taką akcję. Znaj swoje miejsce, psie.

Przed twarzą położył mu telefon z galerią zdjęć, na których Marek rznął Tanię.

– Zabiłeś Maćkowiaka – wycharczał policjant, krztusząc się własną krwią.

Kolejne kopnięcie spadło na jego żebra. Alfa przyklęknął przed nim, złapał go za włosy i unióśł głowę.

– Taki śmieć jak Maćkowiak nie jest wart mojej uwagi. Ale moi koledzy nie byli pewni uczciwości tej kurwy. Dzięki tobie rozwiąłem ich wątpliwości. – Puścił go. – A tego całego Witka to nawet, kurwa, nie znam. Trzeba było zapytać jak człowiek, to może bym pomógł. A teraz to cię zniszczę, jeśli tylko podskoczysz wyżej, niż srasz. Na komendzie pewnie się ucieszą, że latasz dla grupy przestępczej.

– Nawet nie próbuj...

– Spierdalaj do domu i czekaj grzecznie na kolejne wezwanie!

Marek zaczął wstawać. Wszyscy na niego patrzyli – jedni z niedowierzaniem, inni z nienawiścią, a ktoś zaintrygowany.

– Aha – zaczął Alfa. – Jeśli chcesz kiedykolwiek jeszcze dostać ode mnie jakieś pieniądze, to przeproś wszystkich tu obecnych za swoje kurewskie zachowanie.

Na pewno tego nie zrobi. Nie będzie się kajał przed bandą naćpanych degeneratów. Zacisnął mocniej zęby, ale zaraz przypomniał sobie, o co walczy.

– Przepraszam – powiedział po chwili, ocierając krew z rozciętej wargi.

Z zainteresowaniem patrzył na przebieg zdarzeń. Był zaskoczony zachowaniem policjanta. Do tej pory myślał, że Alfa przyprowadził im chuja bez charakteru, którego miał w kieszeni od samego początku. Chyba się mylił. Pies rzucił się na ich szefa i chyba nawet mu czymś zagroził. Przez tę krótką chwilę udowodnił, że ma jaja – a raczej miał. Teraz pozostały resztki, gotowe na jeszcze jeden – zarazem ostatni – zryw.

Ale to chyba była szansa. Zniewolony pies mógł okazać się bardzo pomocny.

Rozdział 37

Rozebrał się do naga, nie zwracając uwagi na Lektora siedzącego w oddali. Dziś nie miał ochoty z nim rozmawiać. Patrzył przed siebie i myślał tylko o zbawiennym zimnie, które zaraz zaatakuje jego ciało.

Wszedł do wody i zdziwił się, że nie czuł niemal nic. Czuł się zaskakująco dobrze jak na ofiarę brutalnego pobicia.

Wszedł głębiej. Woda sięgała mu już po barki, ale nadal nic nie czuł. Trudno. Postanowił, że zadba chociaż o upragnioną ciszę. Zamknął oczy i spróbował się zrelaksować, ale w jego głowie pojawił się makabryczny obraz zamordowanego przełożonego. Niemal poczuł w nozdrzach smród spalonego mięsa. Po chwili ze łzami w oczach patrzyła na niego Iwona.

– Nie – powiedział do siebie.

To była jego chwila. Nic nie powinno jej zakłócać.

Zanurzył się cały. Postanowił, że policzy do dwudziestu, po czym się wynurzy.

...piętnaście, szesnaście... Ten sposób działał. Marek skupiał się tylko na upływającym czasie.

– ...siedemnaście, osiemnaście... – usłyszał gdzieś nad sobą.

...dziewiętnaście, dwadzieścia...

Ktoś położył mu dłoń na głowie i napał. Marek spróbował się wynurzyć, ale trzymająca go ręka była wyjątkowo silna.

...dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa...

Głos tłumiała woda, ale policjant wiedział, do kogo należy. Próbował wyrwać się ze stalowego chwytu, ale nic nie działało.

...dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

Czuł, że kończy mu się powietrze. Zaciśnął zęby i z całej siły spróbował się wybić. Opór był przerażająco mocny, ale Marek nagle poczuł, że się wynurza. Łapczywie łapał hausty powietrza i szukał wzrokiem napastnika.

Krople wody spływające po oczach utrudniały mu widzenie, ale po chwili zrozumiał, że nikogo tu nie było.

Spojrzał na wodę i stwierdził, że w kilka sekund stała się znacznie ciemniejsza. Poczul też ciepło. Ciecz stała się gęsta jak budyń.

Marek spojrzał na swoje ręce pokryte krwią. Widział, że coś się do niego zbliża. Czyjaś głowa powoli wyłaniała się spod powierzchni. Czerwona, miejscami spalona do kości twarz patrzyła na Marka.

Maćkowiak. To Maćkowiak patrzył wyłupiastymi oczami bez powiek i brwi. Spalone wargi miejscami odsłaniały przerażająco białe zęby. Tuż obok mężczyzny wynurzyła się Amelia. Gęsta krew spływała po jej łysej głowie, zapłakanych oczach i spuchniętych policzkach. Wyciągnęła w jego stronę rękę i zapytała:

– Dlaczego mi to zrobiłeś?

Marek nie mógł otworzyć ust. Chciał ją przeprosić, przytulić, ale mógł jedynie stać i patrzeć na osoby, które skrzywdził.

Nagle ktoś złapał go za barki i wcisnął pod wodę. Spanikowany otworzył oczy i zobaczył banknoty, które wciskały mu się do ust, nosa i uszu. Próbował się wydostać, ale pieniędzy było coraz więcej, a dłonie nie puszczały. Krzyczał, ale z jego ust wydobywały się jedynie bańki powietrza. Po chwili obudził się i wymiotował na podłogę.

Ta noc była okropna. Jakby Alfy było mało, Marek zaliczył też sprzeczkę z Amelią, która – gdy tylko zobaczyła go poturbowanego – kazała mu natychmiast jechać do szpitala. Oczywiście odmówił, choć miał wrażenie, że boli go każdy mięsień. Nawet leżenie w łóżku powodowało cierpienie.

Początkowo nie mógł zasnąć, ale w końcu odleciał, co nie było najprzyjemniejszym doznaniem.

Kilka godzin marnego snu, zimny prysznic i kawa postawiły go na nogi. Jechał do służby, choć nie bardzo wiedział, co dziś będzie robił. Ostatnio nie potrafił odnaleźć się w wydziale. Czuł na sobie spojrzenia kolegów i domyślał się, że spiskują przeciwko niemu. Był przekonany, że już wiedzą

o jego przestępczej działalności i szukają sposobu na efektowne zatrzymanie. Może nie wszyscy się domyślili, ale Kaniecki na pewno. W końcu od zawsze mieli ze sobą kosę i ten wykorzysta każdą dogodną sytuację, by go pogrążyć.

– Od jutra... – Bandura urwał, gdy zobaczył twarz Barczyńskiego. – A ty, kurwa, co? Pod pociąg wpadłeś?

– Spadłem ze schodów.

– Najebany?

– Trzeźwy nie wchodzę, bo mam lęk wysokości.

Naczelnik uśmiechnął się krzywo.

– W każdym razie od jutra macie nowego przełożonego – dokończył Bandura.

Policjanci spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Nie ma się co dziwić, chuj ze mnie, nie naczelnik. Morderca Wity dalej grasuje po mieście i wciąż zabija. Wojewódzka stwierdziła, że tak być nie może. Jutro podeślą tu jakiegoś swojego orła.

– Czyli będą czystki? – zapytał Mączyński.

– Na bank – wtrącił Życzyński. – Nie wiesz, jak to jest? Przyjdzie nowa miotła i pozamiata po swojemu.

Marek musiał się z nim zgodzić. Tak było od zawsze. Każdy, kto zostawał naczelnikiem lub komendantem, robił swoje porządki.

– A co z tobą? – zapytał Czarny.

– Pas. – Bandura wypuścił powietrze z płuc.

Wyglądało to, jakby pozbywał się trzydziestoletniego ciężaru służby. Na zmęczonej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Czas wyciąć tego raka. Niech żona w końcu nacieszy się mężem, a córka ojcem.

Rozdział 38

Przez cały dzień był nieobecny. Czarny kierował i jeździł po melinach i pustostanach, ale Marek myślał tylko o sytuacji z poprzedniej nocy.

Nie wiedział, co myśleć. Początkowo wierzył, że to właśnie Alfa za tym stoi, ale ten nie sprawiał wrażenia winnego. Może naprawdę pytał o Maćkowiaka dla innych? Chociaż Alfa to kawał skurwiela, a kłamstwo było dla niego chlebem powszednim.

Czarny właśnie skończył rozmowę telefoniczną.

- Mamy wszyscy zjechać do bazy.
- Co jest?
- Nie wiem, Bandura rzucił hasło, że mamy zjeżdżać.

Wszyscy zebrali się w pokoju odpraw. Takie spotkanie w godzinach popołudniowych mogło świadczyć przede wszystkim o tym, że szykowało się jakaś akcja, a to oznaczało liczne nadgodziny. Niektórzy już wypytywali, kto może zostać, a kto iść.

Życzyńskiemu pasowało jak zawsze. Młody żonkoś na dorobku potrzebował płatnych nadgodzin. Mączyński i Małecki pewnie już szukali wymówki. Ich żony zarabiały znacznie więcej niż oni, dzięki czemu wolny czas mogli poświęcać rodzinie. Kaniecki też nie narzekał na finanse, ale on został z czystej ciekawości i wiecznego pragnienia awansu. Nie wybaczyłby sobie, gdyby zrobili bez niego jakąś głośną akcję i zostali za to nagrodzeni. Czarny też zostanie – zawsze szukał dodatkowych pieniędzy i cieszył się z niespodziewanych nagród, nawet niewielkich. A Marek? Marek zostanie w robocie, bo od kiedy stał się kurwą, wolny czas był zabójczy.

Do pokoju wszedł Bandura z większym od siebie mężczyzną. Jego mina mówiła wszystkim obecnym, że to on jest nowym orłem wojewódzkiej, pozjadał wszystkie rozumy i zamierza zrobić u nich porządek.

– Chciałbym wam przedstawić nowego naczelnika tego wydziału – zaczął Bandura.

Orła powitała cisza.

– Nadkomisarz Amadeusz Ziemiowski – kontynuował. – Od jutra to on przejmuje stery, a ja idę na zasłużoną emeryturę. – Westchnął zadowolony.

– A kiedy jakieś pożegnanie? – zapytał Mączyński.

– Nie będzie. Prezentów też nie chcę. Proszę was o jedno. Z szacunku do mnie i moich lat służby... złapcie tego skurwiela. To będzie najlepszy prezent, jaki mogę sobie wymarzyć – dodał i wskazał ręką przybyłego.

– Dzień dobry, od jutra będę waszym przełożonym. Nie mam zamiaru ukrywać, że ten wydział trzeba naprawić. Skoro nie potraficie znaleźć zabójcy waszego byłego naczelnika, to coś tu jest nie tak.

– A ty, orle, znajdziesz? – zapytał Kaniecki. Chyba drażnił go fakt, że to nie on awansował na naczelnika.

– Po pierwsze, zwracajcie się do mnie per panie naczelniku. Po drugie, mam na koncie wiele sukcesów i tutaj postaram się o kolejny.

Zgromił wszystkich wzrokiem i dumnie usiadł na krześle Bandury.

– No to będzie ciekawie – mruknął Barczyński. Sam się zdziwił, że powiedział to na głos.

– Będzie – potwierdził z uśmiechem Ziemiowski. – Na początku polecą wszyscy, którym nie chce się pracować.

– Gdzie polecą? – zapytał Mączyński.

– Może na wakacje? – dodał Czarny.

Niektórzy zaśmiali się z jego żartu, ale inni bali się nawet kaszlnąć.

– Mogą lecieć, gdzie chcą. Wakacje, emerytura, dochodzeniówka, a nawet patrol pieszy – wymieniał nowy naczelnik.

– Na początek leniuchy, a później? – zapytał ze złością Kaniecki.

– Dinozaury i lewusy⁷⁸.

– Lewusy? Nie zapędzasz się? – zapytał Bandura, patrząc na nowego.

– Spokojnie, naczelniku. W każdym wydziale są lewusy – odpowiedział Amadeusz, uśmiechając się kpiąco.

Marka oblał zimny pot. Czuł, że jego dni są policzone. W końcu należał do obu kategorii. A jako były glina nie przyda się Alfie.

Musiał zacząć działać.

²⁸ Lewus – policjant, który współpracuje z przestępcami dla pieniędzy.

Rozdział 39

Minęły dwa dni od zmiany naczelnika. Zapowiadała się ciężka przeprawa. Ziemiowski był arogancki i pyszny. Marka już to nie interesowało, ale współczuł kolegom z wydziału. On kilka godzin wcześniej, jeszcze w nocy, podjął bardzo ważną decyzję.

Odetnie się od Alfy.

Zdawał sobie sprawę, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić. Porozmawiał z żoną i przygotował ją na trudne dni, ale nie zdradził jej szczegółów. Poprosił tylko, aby mu zaufała.

Róża miała się lepiej – mniej wymiotowała i nawet kilka razy się uśmiechnęła. Pieniądzy nie mieli wiele, ale efekty były tak dobre, że lekarka zastanawiała się, czy będą potrzebowali dziesięciu dawek. Z kolei Michał znów miał gorsze dni. Wydzwaniał do niego i się żalił. Marek obiecał i sobie, i jemu, że jutro przyjedzie z flaszką.

Wszystko powoli się układało... Tylko łańcuch Alfy palił coraz mocniej.

To był ten wieczór. Amelii powiedział, że jedzie coś załatwić. Nie wiedziała, że Marek po służbie zabrał ze sobą broń. Gdyby miała pojęcie, co mogło się dzisiaj wydarzyć, na pewno nigdzie by go nie puściła. Chociaż... Tuż przed wyjściem mocno się pokłócili, ale tym razem z jego winy. Przez zdradę miał wyrzuty sumienia i nie mógł patrzeć na żonę, choć to on zawiódł.

Według uzyskanych informacji Alfa miał uprawiać seks w domu na Koleckiego dwadzieścia. Młoda studentka liczyła na spory zarobek.

Zaparkował pięćset metrów dalej i postanowił, że pozostałą drogę pokona pieszo. Szedł w kompletnej ciemności i słyszał, jak wali mu serce. Alfa był

młodszy, silniejszy i przede wszystkim nieprzewidywalny. Marek nie miał pojęcia, jak skończy się ta konfrontacja.

W drodze analizował dziesiątki scenariuszy. Życie i służba nauczyły go, że zazwyczaj i tak wydarza się coś trudnego do przewidzenia, mimo wszystko zawsze warto mieć jakiś plan.

Przed domem zauważył starego opla, który z pewnością należał do studentki. Samochód Alfego stał obok. Postanowił, że poczeka, aż dziewczyna odjedzie. Nie chciał żadnych świadków.

Czekał godzinę. W końcu studentka wyszła szybkim krokiem, wsiadła do samochodu i bez chwili zastanowienia ruszyła z piskiem opon. Marek podbiegł do drzwi. Zawahał się i w ostatniej chwili postanowił jeszcze zaczekać. Wiedział, że Alfa nie zostanie tu na noc.

Już po kilku minutach usłyszał ruch w przedpokoju. Brzęk kluczy oznaczał, że ktoś szykuje się do wyjścia. Najpierw usłyszał szcęk zamka, później zobaczył, jak drzwi się otwierają. Wyciągnął broń i wycelował prosto w twarz mężczyzny.

– Co jest, kurwa?! – wrzasnął Alfa zaskoczony.

– Stój!

Metalowy szcęk zamka świadczył o przeładowaniu broni.

– O proszę! – Alfa się uśmiechnął. – Piesek w końcu zaczął gryźć.

– Jesteś mordercą!

– A ty znowu swoje? – Gangster pokiwał głową i ruszył w stronę policjanta.

– Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę!

– Zastrzel, panie policjancie! – Zbliżył się. – Zastrzel niewinnego człowieka!

– Nie jesteś niewinny.

Marek doskonale wiedział, że nie jest gotowy strzelić. Starał się grać na czas, ale nie miał pojęcia, po co to robił.

– Jestem tylko zwykłym bandytą. Kradnę, ale nie zabijam. Tłumaczyłem ci to już!

– Nie wierzę ci!

– To strzelaj.

Alfa stanął przed Markiem, chwycił za lufę i przyłożył ją sobie do czoła. Uśmiechnął się.

– Jeśli ty nie strzelisz, to on to zrobi. – Spojrzał ponad ramieniem policjanta.

Marek odruchowo spojrzał za siebie, co okazało się błędem. Alfa z całej siły kopnął go w krocze. Policjant zgiął się wpół i wypuścił broń z ręki. Bandzior trafił prawym kolaniem prosto w nos. Dla pewności uderzył jeszcze raz i pchnął Marka na ziemię.

– Ty kurwo! – wysapał.

Odszukał wzrokiem broń i poszedł po nią. Podniósł ją i wrócił do leżącego policjanta. Krew lała się strumieniem ze złamanego nosa. Dla pewności Alfa kopnął Marka jeszcze dwa razy prosto w twarz. Przyklęknął przy nim i przyłożył mu broń do skroni.

– Nie przeżyjesz tego, śmieciu, ale nie ma tak łatwo. Jak Kamień będzie cię zakopywał, ja wyślę do twojej żony zdjęcia ruchania Tani. Dla twoich przełożonych też coś się znajdzie. Najpierw cię zabiję, a później zniszczę.

– Zabijesz mnie tak samo jak Witę! – Barczyński się nie poddawał.

– Jednak masz policyjny nos! – powiedział zadowolony. – Zgadza się. Zajebałem twojego Filipka, choć był bardziej ogarnięty niż ty.

– I Maćkowiaka? – dopytywał.

– Tak, tę konfidencką kurwę też. Trochę żałuję, że najpierw ich zastrzeliłem, a dopiero później spaliłem.

– Dlaczego Wita?

– Bo tylko ja mogę kontrolować swój świat.

Alfa pociągnął za spust. Huk wystrzału rozniósł się po całej okolicy.

Pisarz obserwował, jak w trzech kopią policjanta. Jeśli glina miał choć trochę charakteru, to będzie chciał się zemścić – a to mogło okazać się bardzo przydatne.

Podszedł do Alfego i powiedział, że musi jechać do domu, bo jego chora babcia potrzebuje pomocy. Swoją nieobecność zawsze tłumaczył w ten sam sposób, a szef się na to nabierał. Czasami nawet dawał mu ekstrapensję. Gdyby nie zdarzenia z przeszłości, może by go nawet polubił. Ale ponad

rok temu Pisarz postanowił, że Damian Kraszycki – znany też jako Alfa – zginie z jego rąk. Nie zamierzał zmieniać planu.

Odjechał dwie ulice dalej. Wiedział, że glina będzie wracał tą drogą, i postanowił poczekać. Chciał z nim porozmawiać, choć wiedział, że to duże ryzyko. Wsparcie gliniarza mogło go znacznie przybliżyć do celu, ale jeśli policjant by się nie zgodził, musiałyby zniknąć. Już dawno zatracił się w zemście. Nic nie mogło go powstrzymać przed dorwaniem Alfę.

Punto Barczyńskiego skręciło w las. Kierowca albo chciał się wysikać, albo zauważył ogon. Pisarz skręcił za nim. Obawiał się, że ten zacznie uciekać, a nie miał zamiaru bawić się w nocne pościgi. Na szczęście policjant zatrzymał samochód, wysiadł i podszedł do niego.

– Co jest? – zaczął. – Nie wchodzę już w żadne lewe tematy. Kończę przygodę z wami.

– Idealnie.

– Albo tłumaczysz, o co ci chodzi, albo spierdalaj. – Splunął krwią. – Jak widzisz, trochę odczuwam wasz wpierdol.

– Poluję na Alfę.

– Nie czaruj. Pewnie to on cię za mną wysłał.

– Zabiję Alfę. Z twoją pomocą lub bez.

– Pierdolisz, Pisarz. Jak niby chcesz to zrobić?

Uśmiechnął się złowrogo.

– To może zacznę od początku. Nazywam się Ksawery Soliarz i jestem bratem Marceliny Soliarz.

– Nie znam.

– I nie poznasz. Skurwiele zgwałcili mi siostrę. Dorabiała jako striptizerka. Ponad rok temu te chuje zamówiły dwa tańce u mojej siostry z dojazdem właśnie na KołECKIEGO dwadzieścia. Możesz sobie wyobrazić, co było dalej. Nie powiedziała mi o tym. Kilka dni później nałykała się tabletek nasennych i już się nie obudziła.

– Skąd wiesz, że to oni?

– Zostawiła list. Uwierz mi, byli bardzo brutalni.

– Napisała, kto ją...

– Nie znała ich nazwisk – przerwał mu Soliarz. – Słyszała tylko, jak używali zwrotów „szefie”, „Kamień” i „Krata”.

– Krata? – zapytał Marek zaciekawiony. W ogóle o nim nie słyszał, odkąd zaczął się kontaktować z Alfą.

– O nim później. Pomożesz?

– Zaraz, zaraz. Dlaczego mam ci zaufać?

Marek zrobił krok w tył. Nerwowo się rozejrzył, ale byli sami.

– Kim ty w ogóle jesteś, że na własną rękę robisz akcję jak pieprzony Rambo? I jak znalazłeś się w ich grupie?

– Jestem dziennikarzem śledczym. Jeden bandzior wisiał mi przysługę, choć on nazywał to szantażem. – Soliarz uśmiechnął się krzywo. – Wcisnął mnie do grupy Alfy.

– A on tak chętnie cię przyjął?

– Akurat mieli wolny etat. Udawałem ciekawskiego debila i jednocześnie geniusza od bankomatów. Przestudiowałem cały internet. Wiedziałem, że aby wkupić się w ich łaski, muszę przyjść z czymś naprawdę grubym. Szybko spodobała im się łatwa i naprawdę duża kasa z bankomatów. Traktowali mnie jak swojego. A ja pytałem o wszystko. Na początku były to same głupoty, później korzystałem i z zaufania, i z tego, ile chlali. Najpierw zabiję zwyrodnialców, którzy zgwałcili moją siostrę, a później zniszczę ich medialnie. Wydam serię artykułów, może książkę. Mam tak gruby materiał, że wydawnictwa będą się o mnie bić.

– Skoro masz dowody, dlaczego nie pójdziesz z tym na policję?

Soliarz parsknął śmiechem.

– Naprawdę muszę to tłumaczyć akurat tobie?

Marek pokiwał głową.

– No to do czego jestem ci potrzebny?

– Moją siostrę zgwałcili Kamień, Krata i szef.

– Szef... czyli Alfa?

– Nie jestem pewien. Ponoć początkowo szefów było dwóch, ale nie udało mi się dowiedzieć, kim był ten drugi. Jak tylko dopytywałem, wszyscy nabierali wody w usta. – Soliarz zrobił krok w przód. – Jeśli mam kogoś zabić, muszę mieć pewność, że to właściwa osoba.

– Dlaczego mam ci zaufać? To wszystko brzmi jak pieprzenie.

– Wiesz, kim był Krata?

– A co on ma wspólnie...

– Krzysztof Kratczyk. – Wszedł mu w słowo.

– Kurwa!

– Tak. Wiem, że prowadziłeś tę sprawę.

Soliarz sięgnął do kieszeni po papierosy. Zapalił jednego i poczęstował Marka. Ten bez słowa sięgnął do paczki i wziął od niego zapalniczkę. Aby przyjąć taką ilość informacji, potrzebował wspomagacza, nawet jeśli miała nim być nikotyna, choć ostatni raz palił wiele lat temu.

– Teraz masz dwie możliwości. Możesz mnie zakuć i zawinąć na komendę, choć i tak nic nie powiem na papier. Możesz też z moją pomocą uwolnić się od Alfy.

Policjant zaciągnął się dymem i chwilę przytrzymał go w płucach. Już podjął decyzję, ale postanowił wykorzystać sytuację.

– Kim on jest?

– Nie wiem.

– Nie pierdol, dziennikarz. Albo mówisz mi całą prawdę, albo serio cię zakuwam.

– Damian Kraszycki. Skurwiel, jakich mało – powiedział po dłuższej chwili. – Nie miał łatwego życia, a teraz, jak złapał trochę pieniędzy i władzy, to się mści. Jego ojciec znęcał się nad nim i jego matką. Zajebał ją, gdy Alfa miał osiem lat. Starego Kraszyckiego zamknęli, a on trafił do domu dziecka. Jak tylko skończył osiemnaście lat, przyszedł do niego jakiś poważny gangus i zaproponował robotę. Nie wiem, kto to był, ale do dziś Alfa wspomina go jako swojego mentora, a nawet ojca. Tego prawdziwego zabił. Upozorował przedawkowanie hery.

– Jaki masz plan? – zapytał Marek, opierając się o samochód.

– Znowu go zaatakujesz. – Uśmiechnął się.

– I znowu dostanę wpierdol?

– Trochę.

– Męczysz mnie. Mów, jaki jest plan.

– W tygodniu Alfa często bzyka studentki.

– Gdzie?

– Na KołECKiego, a gdzie. Czekasz, aż studentka wychodzi, walisz go w tubę i grozisz bronią. Wtedy on przestraszony opowiada ci o wszystkim, a ja i moje minikamerki wszystko nagrywamy.

– Albo on zabiera mi broń i mnie zabija.

– On zabiera ci broń, ale ty masz w magazynku naboje ćwiczebne, które nie strzelają. Wtedy wchodzi ja i ratuję cię z opresji.

– Słaby ten plan. – Marek znów splunął krwią.

– Nic lepszego nie mamy.

– A jeśli nie przyzna się do zamordowania Wity?

– Nie musi.

Pisarz wyciągnął z kieszeni telefon i odtworzył nagranie. Marek rozpoznał głos Drabiny.

– „Pisarz! Słyszałeś, co się odjebało? Co? Kurwa, szef uciszył naszego pieska! Chyba zajebał mu kulkę w łeb. Przecież to był naczelnik kryminalnych. Kurwa, mamy przejebane! Chyba muszę spierdalać z miasta”.

– Wita siedział w kieszeni Alfego od dawna – wyjaśnił Soliarz.

Ciężar tych słów przygniół Marka. Nie mógł uwierzyć, że Filip był skorumpowany. Każdy, ale nie on! Marek traktował go jako policyjny wzór do naśladowania!

Po chwili chaotyczne myśli zaczęły się powoli układać w całość. Świetne wyniki, wykrywanie spraw, które były nie do wykrycia, a także odzyskiwanie skradzionych aut – teoretycznie spisanych na straty. Marek dostawał od Alfego pieniądze, a Wita najwyraźniej informacje, dzięki którym przy okazji miał wykończyć rywala gangusa.

– Wasz naczelnik chciał zerwać układ, bo Alfa wymagał coraz więcej. Ale takich układów się nie zrywa.

Krew trysnęła mu na twarz. Na ustach poczuł resztki mózgu. Huk wystrzału był tak donośny, że dzwoniło mu w uszach. Ciało bezwładnie upadło obok niego.

– Kurwa, co ty zrobiłeś?! – wrzasnął.

– Zabiłem mordercę i gwałciciela – odpowiedział Soliarz.

Chował się w domu od ponad pięciu godzin. Wiedzieli, że Alfa tu będzie, ale nie znali dokładnej godziny.

– Miałeś go najpierw rozpytać! – wysapał.

Podniósł się i otarł krew z twarzy.

– Rozpytałem Kamienia. Wszystko wyśpiewał. Ten sztywny chuj zgwałcił moją siostrzyczkę. Niczego więcej nie potrzebowałem.

– Czyli jego też zabiłeś?

Pisarz wzruszył ramionami.

– Kurwa, co dalej?! Zajebałeś trzech ludzi!

– A ty mi pomogłeś przy jednym.

– Kurwa, Pisarz!

Marek chodził nerwowo w kółko. Nawet nie zauważył, że wdepnął w kałużę krwi.

– Zrobiłeś chociaż to, o co cię poprosiłem?

Pisarz skinął głową.

– Jutro będziesz to miał.

– Dobra... Kurwa! A co teraz?! Mamy trupa, a ja jestem cały ujebany jego juchą!

– Tak jak było umówione. Palimy to kurewstwo, tylko daj mi chwilę.

Chłopak pochylił się nad ciałem Kraszyckiego i sięgnął do kieszeni spodni, z której wyciągnął kluczyk. Pobiegł do pokoju, w którym Marek uprawiał seks z Tanią. Po minucie wyszedł z uśmiechem na twarzy, trzymając w rękach dwie szmaciane torby.

– Co to? – zapytał Marek.

– Zdrowie twojej córki.

Soliarz wyciągnął w jego stronę jedną z toreb.

Barczyński zmarszczył brwi, ale złapał za torbę, położył ją na ziemi i otworzył. Tak wielu banknotów jeszcze nie widział.

– Pozostałości z akcji. Temu panu już się nie przydadzą.

Soliarz spojrział szyderczo na denata, po czym wniósł do budynku dwa kanistry. Chwilę potem dom na KołECKIEGO dwadzieścia stanął w płomieniach.

Serce Marka waliło jak dzwon, mimo że od zabójstwa Alfy minęło już dobre pół godziny. Słyszał strażackie syreny i sygnały pogotowia oraz policji. Po tylu latach służby potrafił je rozróżnić.

Nie mógł uspokoić myśli. Zabił człowieka, a przynajmniej pomógł w tym Soliarzowi. Choć nawet nie wiedział, czy Pisarz naprawdę się tak nazywał. Czuł się podle – przede wszystkim przez to, że odczuwał także ulgę. Pozbył się poważnego problemu i zdobył pieniądze dla córki. Owszem, nadal był kurwą, nawet jeszcze większą niż kilka dni temu, ale miał kasę. Dużo kasy. Może nawet wystarczy na studia Róży?

Siedział w samochodzie i zastanawiał się, gdzie i jak ukryć gotówkę. Po chwili rozniósł się dźwięk wiadomości w aplikacji Signal. Serce podeszło mu do gardła. Do tej pory w ten sposób kontaktował się z nim tylko jeden człowiek.

Trzęsącymi się dłońmi wyciągnął telefon z kieszeni i odblokował ekran. Wiadomość przysłał mu nieznany numer.

Prewencja złapała gościa o pseudonimie Drabina. Ponoć chce się rozpruć na jakiegoś Alfę i sprzedajnego gliniarza. Odkręć to.

Marek zaczął panikować. Opuścił szybę, ale to niewiele pomogło. Czuł coraz silniejszy ucisk w klatce piersiowej. To koniec. Za chwilę ktoś przesłucha Drabinę, a on pograży go na całego. Już widział oczami wyobraźni płaczącą Amelię i horror za kratami, urządzony przez tych, których sam tam posłał.

Nerwowo potarł skronie i kilka razy głęboko odetchnął. Nie zastanawiał się, kto do niego napisał. Teraz musiał jak najszybciej znaleźć wyjście z tej marnej sytuacji.

Postanowił, że najpierw schowa pieniądze. Mogą go zamknąć, ale musi zadbać o rodzinę. A miał na to jeszcze kilka dobrych godzin.

– O kurwa.

– No – potwierdził, gdy już w telegraficznym skrócie opowiedział bratu o całej sytuacji.

Ten słuchał uważnie. Marek widział, że jest przerażony. Co jakiś czas głośno przetykał ślinę i nerwowo pocierał skronie dłońmi.

– Jakies pomysły? – zapytał.

– Amelia wie?

– Nie. Domyśla się, że coś jest nie tak, ale nie ma pojęcia, jak bardzo.

– Może uciekniesz z kraju? Jako gliniarz dobrze wiesz, do którego najlepiej pojechać.

– Wiem. Ale co z Amelią i Różą?

– Przywiozę je do ciebie – mówił rozgorączkowany.

– Zapomnij. Najdalej pojutrze dostaniecie ogon.

– Kurwa, Marek, ale zjebałeś! – krzyknął Michał.

– No.

– Nie możesz pójść siedzieć! – Michał najwyraźniej zaczął panikować.

– Chyba muszę. Moja żona i córka nie zasłużyły na wieczną ucieczkę.

Przyznam się i poproszę o zatuszowanie sprawy w mediach.

– Kurwa, nie możesz! – powtórzył. – Róża cię potrzebuje.

– To dla niej się sprzedałem. To dla niej zabiłem.

– Marek...

– Nie tłumaczę się – przerwał bratu – tylko utwierdzam w przekonaniu.

Zło ma swoje konsekwencje. Moje dopadły mnie szybciej, niż myślałem.

O kasie nikomu nie powiem. Jak sprawa ucichnie, zadbaj, żeby dostały całość.

– Zadbam – powiedział Michał powoli, po czym przytulił brata.

Marek otarł łzy i powiedział:

– Jadę wytłumaczyć to jakoś żonie, a ty, braciak... odwiedzaj mnie co jakiś czas, co?

Rozdział 40

Kaniecki był wkurwiony. Nienawidził nocnych dyżurów zdarzeniowych. Miał swoje lata i organizm odmawiał posłuszeństwa. Ale w miesiącu musiał zaliczyć chociaż jedną taką służbę. Najgorsze były dalekie wyjazdy. Oczy same mu się zamykały i często zaliczał pobocze. Ponad dwadzieścia lat w tym głównie odcisnęło swoje piętno. Już dawno powinien zostać naczelnikiem tego kurewskiego wydziału lub chociaż oficerem, tymczasem nikt mu nawet tego nie zaproponował.

Filip Witczyński stawiał na tę kurwę Barczyńskiego, a Bandura długo nie pogrzał stołka. Jasne, Bary miał lepsze wyniki i więcej pracował, ale to Kanieckiemu należały się awanse. Był mądrzejszy, inteligentniejszy i sprytniejszy. Gdyby tylko chciał, miałby znacznie lepsze wyniki niż ta łysa pała. Tylko po co? Robił i tak zbyt wiele jak na pieniądze, które mu płacili. Jak dostanie awans i podwyżkę, to może zacznie pracować więcej. Może.

Obudził go dyżurny. Ponoć jakiś poszukiwany, którego złapały koty, chciał sprzedać grupę przestępczą. Rozłączył się z westchnięciem i leżał jeszcze przez kilka minut. Jakby ten gość nie mógł zostać przesłuchany rano. Ilu to już bandytów miało informacje godne świadka koronnego? Zawsze okazywały się bzdurami wyssanymi z palca.

Usłyszał, że ktoś wchodzi do wydziału. Wychylił się ze swojego pokoju i zauważył dwóch przewencjuszy i wyższego o głowę mężczyznę z kajdankami na rękach i nogach.

– Aż taki niebezpieczny? – zapytał z drwiną.

– Nie, ale nam spierdalał – odpowiedział wysportowany starszy posterunkowy.

– Z komendy już nie spierdoli – stwierdził złośliwie. Nie lubił kotów, więc nie zamierzał być dla nich miły. – Siadaj, chłopie. – Wskazał zatrzymanemu krzesło.

Posterunkowi stanęli w progach. Zapewne chcieli zobaczyć, jak pracuje kryminalny. Służba w pionie operacyjnym była marzeniem większości młodych policjantów. Cóż, Kaniecki nie zamierzał im ułatwiać.

– Wypierdalać, koty! – warknął, piorunując ich wzrokiem.

Funkcjonariusze odwrócili się na pięcie i wyszli bez słowa.

– Takim memem nie spierdoliłeś? – Spojrzał na zatrzymanego. Uśmiechał się drwiąco.

Mężczyzna trochę się rozluźnił, najwyraźniej zadowolony z postawy policjanta.

– A wie pan, jestem po maratonie ćpania i dzisiaj akurat zabrakło mocy⁷⁹.

– Dużo masz do odpierdzenia⁸⁰? – zapytał Kaniecki, włączając laptopa.

– Prawie trzy lata.

– No i co chcesz ugrać, panie?

– Macie znajomości i możliwości. Chcę obrożę⁸¹ albo odróbkę godzin⁸².

Kaniecki uśmiechnął się pod nosem. Nie było takiej możliwości. Chłop został zatrzymany i poszły na to kwity. Jedyne wyjście z tej sytuacji to doprowadzenie go do aresztu lub zakładu karnego.

– Dużo chcesz.

– Dużo też dam.

– No to słucham.

Kaniecki rozparł się na krześle.

– Wie pan, kto to Alfa? – zapytał wyraźnie podenerwowany chłopak.

– Nie.

– Ostatnio poszedł u was bankomat, nie?

Kaniecki nachylił się w stronę mężczyzny.

– Kontynuuj – zachęcił.

– W końcu!

Całą karierę czekał na taki temat. Teraz na pewno awansuje. Drabinowski należał do grupy przestępczej, która działała na ich terenie. Nie wiedzieli o nich, ale opisywane przez niego akcje pokrywały się z zebranymi informacjami. Słuchał go prawie dwie godziny. Ten cały Drabina przyznał się do kradzieży z włamaniem do pięciu bankomatów. Pogrążył też

niejakiego Włodzimierza Wilgockiego, pseudonim Kamień, i ich szefa o pseudonimie Alfa. Danych tego drugiego nie znał.

Gówniarz nabrał się na słodkopierdzącą gadkę i uwierzył, że policja mu pomoże. W rzeczywistości oprócz zaległej odsiadki dostanie też spory wyrok i łatkę kapusia. Trudno. Nie był stąd, a zanim w ogóle wyjdzie, Kaniecki już dawno będzie na zasłużonej emeryturze.

Zatrzymany mówił też o jakichś gwałtach, ale dyżurny sprawdził system i stwierdził, że nie mieli takich zgłoszeń. Może to później zweryfikuje. A może nie. Te wszystkie informacje były tylko przystawką, malutkim krokiem w kierunku wyższego stanowiska. Adam Drabinowski wyjaśnił⁸³ w protokole przesłuchania podejrzanego, że w ich grupie przestępczej znajdował się też policjant. Nie znał jego danych, ale doskonale pamiętał, jak wygląda. Ponoć gliniarz miał chorą córkę i potrzebował pieniędzy na jej leczenie. To dzięki temu Alfa go zwerbował.

Skurwiel Barczyński! Nieskazitelnym, najlepszym z najlepszych, orzeł wśród operacyjnych!

Kaniecki nie potrzebował kawy. Gotował się do akcji. Przez chwilę zastanawiał się, jak to zrobić. Czy dzwonić do Bandury po radę, do komendanta, a może nowego naczelnika, żeby od razu mu się przypodobać? Z ogromną przyjemnością założy kajdanki temu skorumpowanemu chujowi i wystawi pierś do przypięcia orderu.

⁷⁹ Moc – środki odurzające lub psychotropowe, które mają działanie pobudzające.

⁸⁰ Odpierdzieć – odbyć wyrok pozbawienia wolności.

⁸¹ Obroża – nadajnik systemu dozoru elektronicznego.

⁸² Odróbka godzin – kara ograniczenia wolności w formie nieodpłatnej kontrolowanej pracy na cele społeczne.

⁸³ Świadek zeznaje, a podejrzany wyjaśnia. Różnica polega na odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania/wyjaśnienia. Świadek ma obowiązek mówienia prawdy, w przeciwieństwie do podejrzanego.

Rozdział 41

Nie spał całą noc. Siedział oparty o drzwi i nasłuchiwał, czy już po niego idą. Amelii powiedział jedynie, że dał ciała i prawdopodobnie rano zostanie zatrzymany. Przyjęła to wyjątkowo spokojnie. Płakała, ale przytuliła go i nie wypytywała o szczegóły. Zapewniała, że nie zostawią go samego. Powiedział jej, że nie musi się bać o finanse, bo o wszystko zadbał. Nie zdradzał szczegółów. Obawiał się, że w desperackiej próbie uratowania go powie funkcjonariuszom o pieniądzach i zostaną z niczym.

Ostatecznie nikt po niego nie przyszedł – ale Marek tego też się spodziewał. Zapewne ludzie z BSW czekali na niego w komendzie i wyciągną go z niej w kajdankach w ramach przestrogi dla innych. Nie miał pojęcia, kto przesłuchiwał Drabinę, ale ten ktoś na pewno za nim nie przepadał. W innym wypadku dostałby jakieś info.

Gdy wychodził z domu, pocałował Różę na pożegnanie. Amelia stała w progu ze łzami w oczach. Przytuliła go i pocałowała w policzek. Kilka razy zaszlochała, ale starała się trzymać fason.

W drodze do pracy Marek wyobrażał sobie setki scenariuszy zatrzymania. Albo przejmą go tuż po tym, jak minie bramkę wejściową, albo będą czekać za zamkniętymi drzwiami jego pokoju. Pogodził się z losem. Zdecydował, że do niczego się nie przyzna i odmówi składania wyjaśnień. Nie miał pojęcia, co wypaplał Drabina, a nie chciałby wkopać się jeszcze bardziej.

Bramkę minął bez żadnych problemów. Przywitał się z policjantami stojącymi w palarni, zaczerpnął głębiej powietrza i wszedł do komendy. Rozglądał się w poszukiwaniu elegancko ubranych mężczyzn. Wcisnął guzik przywołujący windę. Chyba jeszcze nigdy nie miał tak wysokiego ciśnienia.

Wszedł do wydziału i od razu zobaczył bladą twarz Czarnego.

– Kurwa, Bary, dzwoniłem!

Zachowanie jego partnera zdradzało, że coś nie gra. Marek poklepał się po kieszeniach i zrozumiał, że nie ma przy sobie telefonu. Przypomniawszy sobie, że zostawił go w domu jeszcze przed spotkaniem z Alfą. Pewnie się rozładował.

Czarny podszedł do niego, złapał go pod rękę i nerwowo poprowadził do ich pokoju.

– Co ty odpierdalasz?! – warknął Marek, gdy zobaczył, że są sami w pomieszczeniu.

– Zesrało się, kurwa. Tylko cicho!

Marek poczuł, że coś jest nie tak.

– W nocy koty zatrzymały jakiegoś poszuka⁸⁴, który rozpruł się jak czterdziestoletnia dziwka.

– No i? – Marek czuł, że serce zaczyna mu walić jeszcze szybciej.

– Gość podał, że jakiś pies od nas latał dla jego grupy przestępczej.

Marek zbladł. Czuł, że zbliża się jego koniec.

– Nie dał imienia i nazwiska, ale wtrącił, że ten pies ma chorą córkę. – Czarny uważnie obserwował partnera.

– Pierdolisz! Co to za dzban? – zapytał, próbując zmylić kolegę.

– Nie wiem. Jakiś gość z Wrocławia, ale to jeszcze chuj. – Czarny przybrał poważny wyraz twarzy. – Kurwa, nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć... – dodał po chwili.

– Najlepiej wprost. – Marek z trudem przełknął ślinę.

– Jeszcze w trakcie przesłuchania tego poszuka na komendę zgłosił się twój brat.

– Co, kurwa?!

– Przyznał się do współpracy z grupą przestępczą i wyjebania razem z nimi ostatniego bankomatu.

Marek poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

– Powiedział jedynie, że wszedł w grupę przestępczą. Ochujał ich, że jest kryminalnym, i odmówił składania wyjaśnień.

– To przecież niemożliwe! Gdzie on jest?

– Na dołku. Punkt szósta zrobili konfrontację twojego brata z tym gościem.

– No i pewnie ten chuj zobaczył, że nie chodziło o mojego brata?

– Wręcz przeciwnie. Rozpoznał go i podał na papier. Michał też go rozpoznał, nawet podał jego pseudonim, Winda czy jakoś tak, po czym

odmówił składania wyjaśnień.

– Kurwa, kurwa, kurwa! To niemożliwe!

– Wszystko się zgadzało. Ten cały Winda jeszcze przed konfrontacją opisał wygląd Michała. Zgadzało się.

– Niby jak?!

To było niemożliwe. Byli bliźniakami jednojajowymi, ale obecnie różnili się chociażby włosami. Marek ściął je na zero i utrzymywał ten stan.

– Kurwa, Bary, mówię ci, zgadza się wszystko! Łącznie z łysiną.

– Ja pierdolę! – wrzasnął Marek. – Dlaczego nikt mnie nie poinformował?!

– Windę przesłuchiwał Kaniecki. Skurwiel ponoć nakręcił się, że to ty jesteś tym skorumpowanym psem. No i nawet chciał dzwonić do orła z wojewódzkiej, ale wtedy przyszedł twój brat i wyjaśnił zagadkę.

– Chcę go zobaczyć.

Marek otworzył drzwi.

– Czeka! – Czarny złapał go za bark. – Nowy naczelnik powiedział, że nie masz prawa się zbliżyć do brata. Ponoć coś mu się nie zgadza i teraz razem z Kanieckim go maglują.

– Kurwa mać! Dlaczego od tego nie zacząłeś?! Gdzie?!

– Pokój Kanieckiego.

Wbiegł do środka bez myślenia o konsekwencjach. Nowy naczelnik spiorunował go wzrokiem.

– Wynocha! – krzyknął.

– Nic nie mów! Zaraz będzie adwokat! – powiedział do brata Marek, ignorując polecenie przełożonego.

– Barczyński! – Kaniecki zerwał się z fotela i stanął na wprost Marka. – Wypierdalaj!

– Tobie zaraz wypierdolę!

Marek zrobił krok w jego stronę. Naczelnik dopiero teraz zerwał się z krzesła i stanął między policjantami.

– Aspirancie, jak mi stąd nie wyjdiesz, to wyjebię ci takie postępowanie jak stąd do Częstochowy!

– Jebią mnie wasze postępowania! Jestem gliniarzem, do kurwy nędzy, a to mój brat! Tak traktujecie swoich?

– Dwa zdania nienawiązujące do sprawy – powiedział Amadeusz po chwili.

– Ale naczelniku! – zaprotestował Kaniecki.

– Dla ciebie też bym to zrobił – warknął, by zdusić dyskusję w zarodku.

– Wszystko dobrze? – zapytał Marek. Dopiero teraz zauważył, że jego brat też jest łysy.

– Tak. – Uśmiechnął się słabo. – W końcu musiałem się tu zgłosić.

– Ale przecież nie brałeś udziału w tym kurewstwie.

Naczelnik i Kaniecki obserwowali obu mężczyzn.

– Brałem, Marek. Pamiętasz naszą zabawę z dzieciństwa?

Pamiętał. Łzy same napłynęły mu do oczu.

⁸⁴ Poszuk – poszukiwany.

Rozdział 42

Iwona rozpakowała nieoznaczoną białą kopertę, którą ktoś zostawił przed jej drzwiami. W środku znajdowała się płyta DVD z podpisem: „Morderca Filipa”. Zakręciło jej się w głowie. Nie wiedziała, kto przyniósł płytę oraz co dokładnie się na niej znajduje, ale wiedziała jedno: jak najszybciej musiała ją odtworzyć.

Trzęsącymi się rękoma włożyła płytę do napędu. Na nagraniu było dwóch mężczyzn. Jeden z nich leżał na podłodze na brzuchu, a drugi klęczał jednym kolaniem na jego plecach i przykładał mu broń do skroni. Mężczyzna na podłodze miał zamazaną twarz. Tego drugiego nie znała, chociaż jego twarz była widoczna. Gdy usłyszała, jak mężczyzna trzymający broń przyznaje się do zabicia jej męża, poczuła nadchodzący szloch. Po chwili huk wystrzału sprawił, że głośniki zacharczały. Iwona podskoczyła, ale nadal wpatrywała się w nagranie. Ciało napastnika opadło bezwładnie, a film się skończył.

Zaczęła płakać. W końcu po tylu dniach pozwoliła dojść żałobie do głosu. Po dłuższej chwili otarła łzy i lekko się uśmiechnęła. Morderca jej męża zginął – tylko to się liczyło.

Czuł dumę. Film był najlepszym prezentem, jaki mógł sobie wymarzyć na zakończenie przygody ze służbą. Nie wiedział, kto przyniósł mu płytę, ale rozpoznał leżącego na nagraniu mężczyznę. W końcu pracował z Barczyńskim ponad dziesięć lat. Był mu wdzięczny. Policjanci tak nie pracują, ale skoro Marek w tym uczestniczył, to najwyraźniej nie było innego wyjścia. Otworzył butelkę piwa i uniósł w toaście.

– Za Witę.

A jednak Kruško się pomylił. Czuł do siebie żal. Gdy strzelał do Niedźwiedzkiego, był przekonany, że to właśnie on zabił jego ukochanego. Owszem, zżerały go wyrzuty sumienia, ale tłumił je zemstą i litrami alkoholu. Już stał się wrakiem, ale ten film zmiażdżył resztki jego człowieczeństwa.

Zabił niewinnego człowieka.

– Pieprzony Barczyński – warknął.

Wiedział, że płyta i nagranie są od niego. Pamiętał, co obiecał mu podczas ich ostatniego spotkania. Teraz pozostało się wykapać, wytrzeźwieć i pójść na komendę, aby przyznać się do zabójstwa.

Albo...

Nie zastanawiał się długo. Wstał, otworzył kanapę i wyciągnął z niej swoją służbową broń. Jego życie skończyło się kilka dni temu.

Ślamazarnie, jakby od niechcenia, przeładował waltera i przyłożył do skroni.

Spust okazał się zaskakująco lekki.

Epilog

Marek dostał cynk, że Lektor chce się spotkać. Miał dla Barczyńskiego wiadomość. Uznał, że jak zwykle powinien być na cmentarzu.

Gdy wjeżdżał na parking, od razu zauważył bentleya. Starszy mężczyzna siedział przy grobie jak co tydzień. Marek wysiadł z samochodu, podszedł do niego i bez słowa usiadł obok. Lektor nawet nie spojrzał w jego stronę.

– Gdy się krzywdzi człowieka, należy czynić to w ten sposób, aby nie trzeba było obawiać się zemsty⁸⁵ – powiedział tylko cicho.

Marek nic z tego nie zrozumiał. Popatrzył na Lektora, a potem na nagrobek. I zamarł. Bogumiła Kraszycka...

Mężczyzna wstał.

– Zabiłeś mi syna, którego nigdy nie miałem. Teraz twój świat zapłonie.

⁸⁵ Niccolò Machiavelli, *Książe*, tłum. Jan Malarczyk, 1980.

Podziękowania

Na wstępie chciałbym podziękować wszystkim ludziom, którzy na Instagramie obserwują konto policjant_czytaipisze. To Wy daliście mi moc i motywację do pisania. Czasami wątpiłem w swoje umiejętności i realność moich marzeń. Wasze wiadomości podnosiły mnie na duchu. Wielu z Was towarzyszy mi od samego początku. Znam Wasze imiona, zawody, a nawet poczucie humoru. Nie ma słów, które wyrażą moją wdzięczność. Po prostu dziękuję Wam, że byliście przy mnie podczas spełniania marzeń.

Oczywiście przede wszystkim chcę podziękować mojej Żonie. Nie jest łatwo pogodzić karierę pisarza z już i tak mocno absorbującym zawodem policjanta. Dziękuję za wsparcie, jakie mi okazałaś, za odciążenie od obowiązków, które wiecznie nam się mnożą, abym mógł spełniać swoje marzenia. Dziękuję Ci za to, że wspólnie stworzyliśmy oazę, do której chętnie wracam po ciężkim dniu. Ty i nasz synek jesteście dla mnie wszystkim.

Moje pisarskie początki nie były łatwe, ale spotkałem na swojej drodze pisarzy, którzy poświęcili dla mnie swój czas. Detektyw Piotr Kościelny, którego książki pochłaniam jedną za drugą, był wobec mnie wyjątkowo otwarty. Udzielił mi kilku praktycznych rad, które przydały mi się już na etapie wysyłania propozycji wydawniczej. Mam nadzieję, że kiedyś uda nam się spotkać na obiecaną pizzę.

Na nurtujące mnie pytania chętnie odpowiadał Tomasz Żak, który jest po prostu świetnym gościem. Choć na co dzień nie piję piwa, z tym Panem chętnie bym to zrobił.

Poprzez portal społecznościowy nawiązałem kontakt z Jakubem Bączykowskim, który ma na swoim koncie dwie powieści. Dzięki za rady i mam nadzieję, że kiedyś przybijemy piątkę.

Pewien pisarz, który od lat gra w ekstralidze, zaskoczył mnie chyba najbardziej ze wszystkich. Po pierwsze tym, że pomimo swoich licznych

obowiązków znalazł dla mnie czas, po drugie otwartością i chęcią pomocy. Tak, Panie Wojciechu, dziękuję Panu za zaangażowanie i poświęcony czas. Choć Wojciech Chmielarz sam zaproponował, abyśmy byli ze sobą po imieniu, to jednak nadal ciężko mi przełamać tę barierę. Zdaję sobie sprawę, że uzyskałem od Pana wsparcie, które na tym etapie mojej drogi ku marzeniom jest nieocenione. Dziękuję Panu także za twórczość, z której uczyłem się niczym najpilniejszy uczeń. Mam nadzieję, że kiedyś będę miał zaszczyt porozmawiać z Panem w cztery oczy.

Podziękowania należą się także mojemu przyjacielowi, który jest ze mną od lat. Przyjaźń nie jest pustym frazesem, to wyboista droga, która sprawdza naszą cierpliwość i lojalność. My radzimy sobie świetnie. Dziękuję, Krystian!

Nie mogę pominąć płaszczyzny zawodowej, bo ta stanowi co najmniej połowę mojego życia. Chciałbym podziękować moim przełożonym, którzy umożliwili mi osobisty rozwój i spełnienie marzenia. To dla mnie wiele znaczy.

Tobie, Radku, dziękuję za wspólną wieloletnią służbę. I za to, że przekonałeś mnie, aby wydać książkę pod moim prawdziwym nazwiskiem. Twoje stalowe argumenty w połączeniu ze zdaniem mojej żony dodały mi odwagi.

Oczywiście muszę także podziękować całemu wydawnictwu Prószyński Media za to, że dostałem szansę. To wspaniałe uczucie móc ujrzeć swoją książkę, a bez Was to nigdy by się nie stało. Bardzo dziękuję Pani Annie Derengowskiej za wyłowienie mnie wśród tak licznych propozycji wydawniczych. Pani Małgorzacie Teodorczyk za poświęcony czas, dopilnowanie każdego aspektu związanego z wydaniem mojej pierwszej książki oraz empatię i zrozumienie mojego służbowego położenia. Dziękuję także Pani Joannie Regińskiej za liczne pomysły związane z promocją mojej książki i dyspozycyjność. Zapewne moje – czasami banalne – pytania potrafią zmęczyć. Dziękuję całej ekipie!

Mógłbym tak dziękować w nieskończoność, dlatego przepraszam, jeśli o kogoś nie wspomniałem. Myślę, że to tyle. Żartuję, Siostrzyczko, Ty i Twoja wspaniała córka jesteście w gronie najbliższych mi osób. Każdemu życzę takiej relacji ze swoim rodzeństwem. Pracowaliśmy na nią wiele lat i zdecydowanie było warto. Dziękuję, że jesteście.